



Słupski Uniwersytet Trzeciego Wieku

Mój Nowy Dom

MÓJ NOWY DOM

WSPOMNIENIA SŁUPSKICH OSADNIKÓW

Prace zgłoszone na konkurs literacki
zorganizowany przez
Słupski Uniwersytet Trzeciego Wieku

S Ł U P S K 2 0 0 9

MÓJ NOWY DOM

Prace zgłoszone na konkurs literacki zorganizowany przez
Słupski Uniwersytet Trzeciego Wieku



w ramach ogólnopolskiego konkursu dotacyjnego.



Koordynator projektu – Urszula Wyrwa

Dotacja Towarzystwa Inicjatyw Twórczych „e” ze środków
Polsko- Amerykańskiej Fundacji Wolności

towarzystwo
inicjatyw
twórczych



POLSKO-AMERYKAŃSKA
FUNDACJA WOLNOŚCI

Wydanie I Słupsk 2009

Copyright © Słupski Uniwersytet Trzeciego Wieku

Wydawca – Słupski Uniwersytet Trzeciego Wieku
ul. Braci Gierzyńskich 1, 76-200 Słupsk, tel. 059- 845 64 41

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna z części książki nie może być publikowana bez zgody wydawcy.

Wykorzystane w publikacji zdjęcia pochodzą
z prywatnych archiwów mieszkańców Słupska.

Projekt okładki, redakcja, wstęp - Jolanta Nitkowska- Węglarz

ISBN 978-83-928540-0-5

Przygotowanie do druku i druk – Drukarnia BOXPOL

ul. Wiejska, 76-200 Słupsk, tel./fax 059 8424371, boxpol@post.pl, www.boxpol.pl

SPIS TREŚCI

<i>Jolanta Nitkowska-Węglarz</i>	Niespokojny Słupsk	5
<i>Zygi 0321</i>	Dwa słupskie lata	14
<i>Jamnik</i>	Moje spotkania z Niemcami	24
<i>Zula</i>	O niesfornej kozie i zakopanych skarbach	28
<i>Weronika</i>	Ten krzyk słyszę do dziś	33
<i>Mieszko</i>	Oczami dziecka	41
<i>Gryf Pomorski</i>	Aparat fotograficzny był zawsze ze mną	47
<i>Leszczyna</i>	Długa droga do Słupska	51
<i>Szczęśliwa babcia</i>	Swoje myśl, a co gadają – słuchaj.	60
<i>Wieśniak</i>	Przyjechaliśmy na Pomorze	69
<i>Kasztan</i>	Obrazy w oknach	79
<i>Maso</i>	Geodeta – fachman od gruntów	85
<i>Halszka</i>	Tramwajem do przeszłości	87
<i>Mała</i>	Trzy domy	94
<i>Teresa</i>	Od spalonego domu do spółdzielczego mieszkania	102
<i>Słupszczanka</i>	Tekturowa walizeczka.	104
<i>Słupszczanka – Pelagia</i>	Wędrowka śladami przeszłości	110
<i>„Powroty”</i>	Powroty	119
<i>Jodła</i>	Nie żałuję żadnej decyzji.	123
<i>Kaśka</i>	Starych drzew się nie przesadza	126
<i>Jana</i>	Mój Nowy Dom.	130

NIESPOKOJNY SŁUPSK

Pamięć zaciera kontury wydarzeń, mylą się daty, nazwiska, miejsca. Pokolenie ludzi, którzy przybyli do Słupska po wojnie, by tu zacząć nowy etap własnego życia, zaczyna się kruszyć.

Coraz mniej ludzi potrafi opowiedzieć o osobistych doświadczeniach przeżytych tutaj po przyjeździe z innych miejsc kraju. Milkną bezpośredni świadkowie, natomiast czas uaktywnia historyków – badaczy powojennej rzeczywistości, dla których upływ półwiecza jest koniecznym dystansem, pozwalającym na obiektywną ocenę zjawisk.

Żeby młodym Czytelnikom ułatwić lekturę wspomnień słupszczyzan, nadesłanych na konkurs literacki pt. „Mój Nowy Dom”, trzeba choć kilkoma kreskami naszkicować obraz lat 40. i 50.

My posłużymy się dokumentami i badaniami słupskich historyków, dla których zjawiska społeczne, polityczne i gospodarcze nie są tajemnicą.

JAK WYGLĄDAŁ SŁUPSK PO ZAKOŃCZENIU WOJNY?

W Archiwum Państwowym w Słupsku znajduje się relacja pierwszego słupskiego prokuratora – Wacław Michałowskiemu z 3 maja 1947 r., gdzie opisuje on stan bezpieczeństwa miasta w sierpniu 1945 r.:

„Przyjechałem do Słupska w celu zorganizowania Prokuratury w dniu 2 sierpnia 1945 r. Słupsk na 40 tysięcy mieszkańców, liczył zaledwie 4 tysiące Polaków szukają-

cych tu zatrudnienia, ale za to był odwiedzany przez tłumy „szabrowników”, którzy tu przyjeżdżali wiadomych celach. Wszystkie miejscowe władze państwowe i samorządowe znajdowały się w stanie organizacji. Stan bezpieczeństwa był rozpaczliwy. Tłumy rozzuchwalonych bezkarnością „szabrowników”, Milicja Obywatelska, która wówczas niczym się od nich nie różniła oraz żołnierze rosyjscy, zdemoralizowani wojną, rabowali w biały dzień, a po tym przepijali swoje „zarobki” w licznych restauracjach, które prosperowały świetnie”.

Jak ocenia prof. Zenon Romanow z Instytut Historii Akademii Pomorskiej w Słupsku z publikacji „Zajęcie Słupska przez armię Czerwoną w 1945 r.,” początki polskiej władzy w mieście wcale nie były takie łatwe:

– *Pierwsi przedstawiciele polskiego Rządu Tymczasowego pojawili się w Słupsku w połowie kwietnia 1945 roku. Pełnomocnik rządu na obwód słupski, Jan Kraciuk, nominowany na to stanowisko przez pełnomocnika rządu na okręg Pomorza Zachodniego, Leonarda Borkowicza, przyjechał do Słupska 12 kwietnia. Komendant Kukarkin kazał go aresztować. Jednak po 12 godzinach zwolnił go i przydzielił budynek na rogu Bachstrasse 1 (Starzyńskiego). Z kolei pełnomocnik Jan Kraciuk mianował burmistrzem Słupska Włodzimierza Fedorowicza, który 24 kwietnia przystąpił do organizowania Zarządu Miasta. Współpraca między władzami polskimi i komendanturą sowiecką była zła. Komendant Kukarkin nie uznawał władz polskich, ponieważ nie miały one żadnych pełnomocnictw od dowództwa I. frontu białoruskiego. Dopiero, gdy Jan Kraciuk pojechał do Legnicy i uzyskał pełnomocnictwo od marszałka Konstantego Rokossowskiego, stosunek komendantury wojskowej do polskiej administracji zmienił się całkowicie. Nowym komendantem wojskowym został mjr Pietuchow, z którym współpraca ułożyła się nieco lepiej. Jednym z pierwszych zarządzeń nowego komendanta było polecenie opróżnienia przez Niemców willi przy Birkenallee (R. Traugutta), Haselweg (W. Sikorskiego) i Jungfemsteig (Kościuszki) w terminie do 8 maja i przekazania ich polskim urzędnikom. W ciągu maja i czerwca 1945 roku w Słupsku istniała swoista trójwładza: wojskowa komendantura sowiecka i podporządkowany jej Deutsche Zivilverwaltung oraz polski urząd pełnomocnika rządu na obwód słupski przy Gołdstrasse 12 (Zamenhofa) oraz pracujący od 8 maja przy Bachstrasse 1 (Starzyńskiego) polski Zarząd Miejski.*

W ciągu lipca 1945 roku komendantura sowiecka przekazała władzom polskim większą część miasta. Oddano wówczas wodociągi, gazownię, wszystkie elektrownie wodne, stacje rozdzielcze i całą sieć elektryczną w mieście i powiecie, pocztę przy ul. Łukasiewicza, kino „Polonia”, browar i większą część budynków mieszkalnych i użyteczności publicznej. Zakończeniem tego procesu było uroczyste przekazanie ratusza, które nastąpiło 10 sierpnia 1945 roku. Ale to wcale nie oznacza kresu radzieckiej władzy. Prof. Romanow zaznacza, że Rosjanie zatrzymali dla siebie wiele kwartałów miasta. Zajmowali całe ulice: K. Rokossowskiego (Bohaterów Westerplatte), Gdyńską, J. Kozietulskiego, J. Lelewela, E. Lotha, Na Wzgórzu i Obrońców Wybrzeża oraz kilkadziesiąt obiektów przemysłowych

i rolnych w różnych częściach miasta, a także wiele domów i mieszkań. Do nich należały także koszary przy ul. Rokossowskiego (Bohaterów Westerplatte) i Kozietulskiego oraz gmach szpitala przy ul. Obrońców Wybrzeża. Kiedy opuścili szpital w 1951 roku, (najnowocześniejszy przed wojną obiekt na Pomorzu), przedstawiał koszmarny widok. Wielu słupszczyzan zdewastowany szpital pamięta doskonale. Doprowadzanie go do ładu trwało wiele miesięcy.

Choć w Słupsku nie toczyły się walki zbrojne, miasto wyszło z wojny ze spalonym przez Rosjan śródmieściem, które przez wiele lat nie mogło się podźwignąć. Słupski historyk – Zdzisław Machura tak przedstawia widok miasta zapamiętany początku lat 50.:

„Stan Słupska w latach pięćdziesiątych pamiętam z własnych obserwacji. Kiedy przyjechałem do tego miasta, aby podjąć tu pracę, po wyjściu z pociągu ujrzałem prowizoryczny barak, zastępujący centralną część dworca kolejowego zniszczonego w czasie działań wojennych. Aleja Wojska Polskiego była wspaniała, szeroka z dwoma brukowanymi ulicami, tramwajami i szeroka aleja dla pieszych w środku. Po prawej stronie alei ciągnęły się ogródki przydomowe, oddzielone od chodnika lanymi z żelaza niskimi płotkami. Był czerwiec. Kwitły bzy i inne kwiaty. Wszystko to sprawiało wrażenie pięknego, zadbanego miasta. Ale zmieniło się ono po wejściu w rejon starówki. Tu otwierał się widok na zniszczone miasto. Za Nową Bramą widać było potężną bryłę kościoła Mariackiego i pocztę. Cała dzisiejsza ulica Nowobramska wówczas nie istniała. Później założono tu skwer. Przy rynku stały nienaruszone trzy kamieniczki z dawnej zabudowy i budynki banku. Od niego w kierunku zamku było wielkie gruzowisko. Sam zamek i Brama Młyńska były prowizorycznie zabezpieczone dachami, ale w środku nie miały żadnych stropów. Działał młyn zamkowy, przyjmując od okolicznych chłopów zboże na przemiał. Zniszczona była cała dzisiejsza ulica Grodzka i początek ul. Kilińskiego. Zniszczone były narożne budynki w kierunku mostu na Słupi. Zniszczona była dzisiejsza ulica Garncarska. Nienaruszona była część miasta wokół ratusza, po obu stronach al. Wojska Polskiego i dzielnice willowe na peryferiach oraz domki na osiedlach robotniczych. Zachował się w miarę dobrze cały prawobrzeżny Słupsk z wyjątkiem ul. Garncarskiej. Jeszcze wówczas nikt nie myślał o odbudowie miasta. Niemców już wtedy prawie nie było. W miarę upływu czasu poznałem kilku pozostałych w Słupsku. Polacy mieszkali w domach ponemieckich, coraz bardziej zagęszczanych w miarę wzrostu liczby mieszkańców. Willa, w której zamieszkałem była zajęta przez czterech lokatorów. Mieszkało się razem, korzystając ze wspólnej kuchni i łazienki. Zatrudnienie mieszkańcom dawały kolejno uruchamiane zakłady pracy: Słupskie Fabryki Mebli, Zakłady Sprzętu Okrętowego, Fabryka Cukrów „Pomorzanka” mleczarnia, krochmalnia, Fabryka Maszyn Rolniczych. Prosperował już spółdzielczy i państwowy handel (PSS i MHD), gastronomia ze słynnym „Metrem”, „Centralną” i „Franciszkanami”. Było wiele małych knajp, barów, budek z piwem i barów mlecznych. Wielu mieszkańców miasta znajdowało zatrudnienie w wojsku i milicji. W Słupsku i Redzikowie stacjonowały trzy jednostki wojskowe, o sile pułku

każda oraz działało Centrum Wyszkozenia Milicji Obywatelskiej, które było wtedy największą szkołą tego typu w kraju i kształciło do 2 tysięcy milicjantów rocznie – oficerów i podoficerów. Potrzeby kulturalne mieszkańców zabezpieczały trzy kina „Polonia”, „Kolejarz” i „Gwardia” oraz liczne zespoły amatorskie – chóry, orkiestry, teatrzyki. Miasto liczyło ok. 50. tysięcy mieszkańców i coraz bardziej przejmowało w tamtych latach rolę centrum produkcyjno-usługowego dla całego regionu słupeckiego, złożonego z powiatów ; sławieńskiego, bytowskiego i miastecckiego. Następne dziesięciolecie pozwoliło miastu się wspinać rozwijać.”

NOWA SPOŁECZNOŚĆ SŁUPSKA

Potrzeba było sześćdziesięciu lat dystansu, by można było poznać oceny historyków dotyczące tworzenia się nowej społeczności miasta. W powojennej, socjalistycznej historiografii pisano o jednolitej społeczności tam, gdzie naprawdę było morze konfliktów. Dopiero najnowsze badania ujawniają, jak trudna była integracja społeczności na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Zanim się temu problemowi przyjrzymy, warto spojrzeć na zachowane dane z pierwszego powszechnego spisu ludności (przytaczam je za publikacją prof. Hieronima Rybickiego „nazywali ich Słowińcami”). W 1950 roku, który to rok umownie bywa przyjmowany za datę zakończenia procesów osiedleńczych, Słupsk liczył 33 115 mieszkańców., w tym autochtonów było 1 089, a ludności napływowej 32 026. Już te liczby mówią o nigdy wcześniej niespotykanej, masowej wymianie ludności. Podczas spisu pytano ludność o miejsce zamieszkania przed wybuchem wojny w 1939 r. Pewien odsetek odpowiedzi mógł być fałszywy, ale zakładano wówczas pojawienie się sporego marginesu błędów. Najliczniejsza grupa przybyszy to repatrianci z kresów II Rzeczypospolitej – 11 425 osób, druga pod względem liczności 5 246 osób – to mieszkańcy Warszawy i jej okolic. Z rejonu bydgoskiego – 2 545, poznańskiego – 1288, łódzkiego – 1579, kieleckiego – 1902, lubelskiego – 2175, gdańskiego – 1876, białostockiego – 830, olsztyńskiego – 165, koszalińskiego – 66, katowickiego – 321, krakowskiego – 695, rzeszowskiego – 828. Z zagranicy przyjechało 471 osiedleńców, a niewiadomego pochodzenia było 556 osób. Prof. Hieronim Rybicki pisał, że w wyniku wymiany największą grupą narodowościową stali się Polacy:

„Ludność c niemiecka po wysiedleniach latach 40. i 50. oraz emigracji w następnych dziesięcioleciach jest w zdecydowanej mniejszości (w latach 1945-51 wysiedlono ze Słupska i powiatu 122 471 obywateli niemieckich). Zmieniła się też panująca religia. Obecnie większość ludności jest wyznania rzymskokatolickiego, inne wyznania jak protestanckie, greckokatolickie, czy prawosławne mają niewielu wyznawców. Napływowa ludność polska nie była jednolita kulturowo. Pochodziła regionów o różnym poziomie

rozwoju gospodarczego i kulturalnego. Część przesiedliła się dobrowolnie z przeludnionych terenów Polski, inni przybyli z polskich ziem na wschodzie zajętych przez ZSRR i zostali zmuszeni do opuszczenia swojej, lokalnej Ojczyzny. Byli też osadnicy pochodzenia ukraińskiego, którzy zostali przesiedleni przymusowo ze względu na toczące się walki etniczne.”

Dziś historycy nie kryją, że procesy osadnicze były bardzo skomplikowane, trudne a wzajemne współżycie przybyłych tu ludzi dalekie było od socjalistycznych opowieści o integracji.

Prof. Wojciech Sakson badający procesy osadnicze w Słupsku i jego okolicach napisał, że miały one własną dynamikę i specyfikę, odróżniającą je od innych terenów. W pracy „Kształtowanie się nowej społeczności powiatu słupskiego po 1945 r. na tle przemian społecznych na Ziemiach Zachodnich i Północnych” prof. Sakson pokazał charakterystyczne postawy poszczególnych grup osadników i wzajemne relacje między grupami:

„Ogół przesiedleńców charakteryzował się niezwykle zróżnicowaniem postaw oraz motywacji przybycia na te tereny. Wśród ludności polskiej napływającej po zakończeniu II wojny światowej z Ziem Dawnych na obszar Pomorza Środkowego wyróżnić można trzy grupy. Pierwszą z nich stanowili tzw. osadnicy dla szabru. Był to klasyczny typ osadnictwa przygranicznego. Cechowało się ono przede wszystkim grabieżą majątku (inwentarza, ziarna, wszelkiego rodzaju sprzętów gospodarskich itp) oraz rozbojem. Przeciwnieństwo „osadnictwa-szabrownictwa” stanowiło osadnictwo nazywane pionierskim. Były to większe lub mniejsze grupy osiedleńców, którzy przybyli na ziemię słupską z przekonaniem o potrzebie jej zagospodarowywania i odbudowy. Niektórzy postrzegali to jako swoistą misję, obowiązek obywatelski. Grupy osadników pionierów tworzyli np. nauczyciele, kolejarze, pracownicy administracji państwowej różnego stopnia. Także rolnicy. Wywodzili się oni głównie z Pomorza Gdańskiego i Wielkopolski. Trzeci dominujący typ osadników stanowili tzw. „prawdziwi” lub „normalni” przesiedleńcy. Przybywali oni na te tereny kierując się różnymi motywami. Z reguły była to dążność do poprawy dotychczasowego bytu, ale najczęściej powodem opuszczenia rodzinnych stron była bieda i niedostatek. Wśród tej grupy dominowali przesiedleńcy z Lubelszczyzny, Rzeszowszczyzny, Kielecczyzny i Mazowsza.

Wśród społeczności przesiedleńców z Ziem Dawnych dominowała postawa „zdobywczą”, dążenie do odegrania decydującej roli. U podstaw tego leżało przekonanie o niekwestionowaniu „Lepszej polskości”, a co za tym idzie poczucie wyższości wobec innych grup. Nawet Kresowian postrzegano jako „zsowietyzowanych”, a więc gorszych Polaków. Niemców i ludność rodzimą, żyjącą w poczuciu krzywdy i głęboko przeżywającą upadek dotychczasowego porządku, co związane było z totalną klęską III Rzeszy, oraz ludność ukraińską traktowano często z kolonialną pogardą. (...) W grupie tej, dość zróżnicowanej pod względem regionalnym tliły się liczne, wewnętrzne konflikty. (...)

Przeszkadzało to w integracji grup ludności zamieszkałych na Ziemi Słupskiej. W miejscu pracy i zamieszkania tworzyły się podziały regionalne, prowadzące do szczególnie dużych problemów w środowiskach, gdzie spotykały się mocno zróżnicowane kulturowo i społecznie grupy. (...) Wysiedleńcy z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej wyróżniali Słupsk i powiat wśród innych regionów Ziemi Zachodnich i Północnych. Dla Kresowiaków utrata „małej Ojczyzny” w której żyli od pokoleń była osobistym dramatem. Wiązało się to z rozpadem społeczności, w której dotąd żyli. Przyjazd na Pomorze Środkowe wymagał wielu wyrzeczeń i trudów. Optymiści oczekiwali na możliwość powrotu do domu. Pesymiści byli przekonani, że przyjazd na Ziemię Nowe, jest tylko kolejnym przystankiem w niekończącej się przymusowej wędrówce (...) Ogół Kresowiaków raniło i bulwersowało określenie ich mianem „przybyszów zza Buga”, szczególnie deprymowało ich wpisywanie do dowodów osobistych sformułowania „urodzony w ZSRR”. Po początkowym okresie samoizolacji społeczności kresowej, co wynikało głównie z odmienności kulturowej, społeczność ta stała się elementem bardziej dynamicznym i dążącym do współpracy z innymi grupami regionalnymi.”

Samoizolacji nie pokonała natomiast ludność ukraińska, którą w ramach akcji: „Wisła” przesiedlono w 1947 r.

„Przybycie Ukraińców na Pomorze Środkowe zapoczątkowało w życiu tej grupy wieloletni okres izolacji społecznej, charakteryzującej się antagonizmami, wrogością i nieutrzymywaniem stosunków sąsiedzkich i towarzyskich z pozostałymi grupami ludności – pisze prof. Sakson. „Upłynąć musiało wiele dziesięcioleci zanim ludność ukraińska, a szczególnie pokolenia urodzone na Pomorzu zaczęły traktować ten teren jako swoją „małą ojczyznę”

Profesor W. Sakson ocenia, że proces integracji ziemi słupskiej ze społeczeństwem globalnym trwał pół wieku. Nadal jednak odróżnia mieszkańców tego terenu od tych z Ziemi Dawnych nieukształtowana jeszcze świadomość lokalna i regionalna, typowa dla społeczności postemigracyjnych.

LUDZKIE LOSY

Konkurs „Mój Nowy Dom” zorganizowany przez Słupski Uniwersytet Trzeciego Wieku był poszukiwaniem odpowiedzi na pytanie, jak układały się ludzkie losy po przyjeździe do Słupska.

Zafascynował mnie temat konkursu „Mój nowy dom”. Jaki ogromny potencjał poznawczy tkwi w tym sformułowaniu! Plonem konkursu powinna być wiedza o tym, jak w pierwszych latach powojennych zdobywano mieszkania, jak w nich ludzie mieszkali, jak urządzali, jak toczyło się ich życie codzienne, co jedli, na czym spali, jak zawierali małżeństwa, jak się bawili, jak się ubierali, jak radzili sobie z brakiem wielu rzeczy, jakich mieli sąsiadów, jaką rolę pełniły

podwórka, jak wyglądały domowe uroczystości – chrzciny, komunie, śluby, pogrzeby... Pytania można by mnożyć. Wszystkie zawierają się ten sam wątek jednostkowej biografii – nowy dom. Cóż to jest nowy dom – musiałam odpowiedzieć na to pytanie, by odnaleźć wątki niezbędne. Człowiek przybyły skądś staję przed nowym domem w Słupsku. Jaki jest ten dom? Po prostu inny. Każdy tę chwilę pamięta i obraz, jaki miał przed oczami w 1945 r., czy niewiele później. W tym domu mieszkają ludzie, których trzeba było poznać. Są postacie szczególne, które śmieją się albo straszą. W moim domu był to Heinz Isetzky (przedwojenny właściciel kamienicy), doskonały mechanik nie mówiący słowa po polsku, odludek i milczek. Rodzice straszili nim niegrzeczne dzieci – Heinz miał je zabierać do torby. W nowym domu rodzą się więzi między ludźmi – jest pralnia i strych, gdzie kobiety ustalają reguły życia we wspólnocie. Malinowska robi pranie w poniedziałek, Kowalska we wtorek... Wszystkie panie nawzajem sobie pomagają. Dzieci na podwórku wychowują się same. Samorzutnie ustalają zasady pierwszeństwa, najstarszy jest zawsze odpowiedzialny za maluchy i rozliczany z opieki. Są w domu rewiry zakazane dla dzieci, gdzie nie wolno wchodzić. W naszym domu były to podziemne schrony, gdzie znajdowaliśmy talerze, krzesła, także broń. Za wyprawy do lochów i w staromiejskie gruzy grozi lanie z rodzicielskiej ręki, ale wszyscy szukają skarbów. Każdy z uczestników konkursu przeżywał podobne doświadczenia i na pewno ich nie zapomniał. Ten nowy dom, w którym się znaleźli miał jakieś meble, coś w nim było nowego, coś w nim intrygowało, wywoływało jakieś emocje. O klimacie domu stanowią szczegóły. Przykład, pierwszy lepszy z brzegu. Pamiętam, że w naszym domu, w sobotę rano Niemki myły chodniki przed budynkiem. Wtedy rodzice byli jeszcze w pracy, natomiast po południu, wszystkie dzieci były po kolei kąpane w wielkiej wannie w pralni. Pierwsze były zawsze te najmłodsze. Klatka schodowa była ważnym miejscem spotkań, a dla dzieci było to połączenie świetlicy z przedszkolem. Jedyna, niepracująca babcia opiekowała się codziennie dziećmi z kamienicy, a chleb polany wodą i posypany cukrem był demokratycznym posiłkiem dla nich wszystkich. Skoro w mojej kamienicy tak było, musiały także w innych domach rodzić się zasady współżycia sąsiedzkiego, hierarchia spraw ważnych i pilnych oraz reguły tolerancji sąsiedzkiej, ustępowania innym lub dobijania się własnych spraw. Byli w tym wszystkim jeszcze Niemcy i Rosjanie, którzy komplikowali codzienne bytowanie Polaków. Jak zapisywali się w ich pamięci? Okrucieństwo mieszało się z litością – każde doświadczenie było inne. Nowy dom, to także wojskowy, zdobyczny mundur ojca przeniecony na kostium dla mamy, a później na ubrania dzieci. Jak sobie radzili lokatorzy ponemieckich mieszkań z zimą, co jedli w ogołoconym z jedzenia mieście? Jak poznawali swoich przyszyłych małżonków? Jak wyglądało narzeczeństwo? Jak wyglądała uroczystość weselna? Moja matka zawarła ślub w tej samej sukience, w której stała za ladą sklepu, ojciec miał wojskowe, kupione na rynku za flaszkę bimbru, konne

bryczesy i buty oficerki. Na starych zdjęciach słupszczan wielokrotnie widziałam welony uszyte z niemieckich firan i suknie z kotar. Strach w tamtym czasie mieszał się z wolą używania, odbicia sobie wojennej nędzy. Czego się bali mieszkańcy domów, z czego się cieszyli? Takich wrażeń nie sposób zapomnieć, bo one stanowią niezbywalną, życiową prawdę powojennych osiedleńców. Dom – to prawda o człowieku, miejscu i czasie.

W wielu wspomnieniach pojawiają się soczyste obrazy z życia domowego, zabaw na podwórkach, kontaktów z sąsiadami Niemcami i czerwonoarmistami, sposobów zarabiania na życie i radzenia sobie z kłopotami. Opowieść o Cygance i powracającym pierścionku, czy o wyprawie na gapę słupskim tramwajem lub o kozie, co zjadła kwiaty pod pomnikiem to są wspaniałe obrazy literackie, które można przeczytać w tej książce. Są w niej przejmujące obrazy bytowania Niemców w Słupsku. Fragment opowiadający o podwórkowym przywódcy zabierającym niemieckim dzieciom zabawki jest literacką perełką. Kilka oszczędnymi słowami potrafiła autorka oddać prawdę o zemście, litości, sprawiedliwości i krzywdzie. Piękna opowieść o opiekunce – Niemce, którą obdarowano na drogę za Odrę kawałkiem metki jest lepszym dowodem tolerancji Polaków, niż zawile traktaty. Chwyta za serce wzruszający fragment opowiadający o spotkaniu dziecka z uwięzionym przez UB na ul. Kilińskiego ojcem. W konkursowych pracach wiele jest przeżyć, które zachowały świeżość mimo upływu ponad pół wieku. One tkwią w pamięci autorów czasem jak cierń, czasem jak kwiat. Z zapamiętanych szczegółów zrodził się przecież *Ich Nowy Dom*.

CZY TO JEST CIEKAWY?

Takie pytanie mogłam zadać sobie jako juror i redaktor książki, która trafia do rąk, zwłaszcza młodych, Czytelników. Każdy z jurorów zaproszonych do oceny prac był pewny, że to przedsięwzięcie bardzo cenne i ważne. Komisja Konkursowa w składzie: dr Marianna Borawska – Akademia Pomorska w Słupsku, Jolanta Nitkowska-Węglarz, dziennikarka, pisarka – członek ZLP oraz dr Bronisław Nowak – Instytut Historii Akademii Pomorskiej w Słupsku powołana do oceny prac nadesłanych na konkurs ogłoszony przez Słupski Uniwersytet Trzeciego Wieku pt.: „MÓJ NOWY DOM” na posiedzeniu w dniu 28 listopada 2008 r. przyznała I miejsce pracy nr 9 godło „JAMNIK”, II miejsce pracy nr 6 godło „ZULA”, III miejsce pracy nr 8 godło „WERONIKA”. Wyróżnienia przyznano: pracy nr 12 godło „MIESZKO”, pracy nr 18 godło „GRYF POMORSKI”, pracy nr 13 godło „WIEŚNIAK”. Komisja podkreśliła, że wiele prac było równorzędnych, a o wyborze zadecydowały walory poznawcze i szczegóły odnoszące się do początków organizowania życia polskiego w Słupsku. Uwagę zwracał autentyzm trudnych i pełnych niebezpieczeństw

pierwszych powojennych miesięcy, urządzenie mieszkań, odgruzowywanie miasta, ale także entuzjazm i zapał nowych osiedleńców, tworzenie miejsc rozrywki i początków życia kulturalnego. Oceniono, że prace cechuje oszczędny, a zarazem bardzo sugestywny język, oddający niepowtarzalną atmosferę tamtego czasu.

Dla współczesnej młodzieży ważne powinny być zwłaszcza te wypowiedzi, które oddają umiejętność współistnienia przybyłych na te ziemie Polaków z niedawnymi wrogami – Niemcami. Tolerancja i humanitaryzm nie zostały przekreślone przez wojnę – prace pokazują, że nawet po doznanych od Niemców krzywdach, w Polakach nie było ducha zemsty, odwetu i niszczenia wszystkiego co niemieckie.

Ten rodzaj konkursu daje dzisiejszym, młodym słupczanom możliwość poznania autentycznej rzeczywistości przeżywanej przez pokolenie ich dziadków.

Jako dowód zainteresowania młodzieży przedstawiam tekst wspomnień ze Słupska, pokazujący jakby inną odsłonę tamtego czasu. Zamieszczono je w 2008 r. na internetowym Pomorskim Forum Eksploracyjnym. Śledziłam wspomnienia internauty Zygi 0321 z wielką ciekawością, bowiem pisał on kolejne fragmenty „przymuszony” przez młodzież, zadającą mu ogromne ilości pytań. Jeżeli ktoś powie, że powojenna przeszłość dziadków nie interesuje współczesnej młodzieży, to się bardzo mocno myli.

Jolanta Nitkowska-Węglarz

DWA SŁUPSKIE LATA

Mieszkałem w Słupsku w latach koniec kwietnia 1945 r. do 1947. Mam miłe wspomnienia i wiedzę z tego okresu. Napływ ludności, organizacja życia, wysiedlenie mieszkańców niemieckich, pierwsze referendum, wybory do sejmu.

Prowadzenia samochodu nauczyłem się już w 1942 roku, kiedy przez okupanta zostałem zagoniony do roboty w majątku rolnym do pracy w kuźni i orki traktorem „lanz buldog” ps 45. W Słupsku przydałem się jako jeden z nielicznych z umiejętnością prowadzenia samochodu. Po wyremontowaniu Opla p4, a później „Adlera” 6 cyl. zostałem zatrudniony jako kierowca w Komitecie Powiatowym PPR. Oczywiście zakres czynności był dużo szerszy: ochrona budynku i ludzi tam zatrudnionych, pisanie referatów na maszynie /chyba remington/ zaopatrzenie różnych stołówek, konserwator wszystkiego od prądu do kanalizacji. Organizowanie życia młodym przybywającym z rodzinami, zakładanie harcerstwa /jeszcze przedwojennego/ wspólnie z nieżyjącym już Eligiuszem LASOTĄ, założycielem tygodnika „PO PROSTU”, oczywiście ZWM również. W lutym 1946 roku powstaje nawet ORMO. W kwietniu 1947 zostałem skierowany do Oficerskiej Szkoły WP. Do Słupska już nigdy nie wróciłem, czego bardzo żałuję.

I tak dwa lata spędzone w tym mieście pozostawiło niezatarte wspomnienia: dobre i złe.

Byłem na jednej z pierwszych narad u Sekretarza Powiatowego. Zrozumiałem, że ci ludzie przysłani tu do zarządzania „zagospodarowaniem” Ziemi Odzyskanych, nie bardzo wiedzą, jak się do tego zabrać. Narada trwała dość chaotycznie, ponieważ okazało się, że jednak każdy z uczestników narady ma swoje własne

i gotowe plany. Nie było żadnych urzędów, posterunku policji, szkół, przedszkoli czy żłobków. Nie było przecież sklepów, gdzie można się było zaopatrzyć w jakąkolwiek żywność, napoje czy papierosy. Nikt się jednak nie spodziewał, że jutro rano na pewno będzie dostawa świeżego pieczywa, mleka czy dla dzieci jakichś frykasów. Jedynie na końcu al. Wojska Polskiego po lewej stronie urzędował PUR, czyli popularny w tym czasie przedstawiciel władzy w terenie Państwowy Urząd Repatriacyjny. Narada trwała dosyć długo. Siedziałem przy maszynie i czekałem na konkretne ustalenia, aby je uwiecznić, przepisać na zdobycznym papierze, nie raz na odwrocie papieru zapisanego po niemiecku. Jednym z pierwszych punktów priorytetowych było zorganizowanie żywności dla ludności już osiadłej i przybyśzów przyjeżdżających już w większych grupach. Specjalistą od zaopatrzenia został wyznaczony wielofunkcyjny człowiek, zatrudniony w Komitecie jako dozorca, konserwator, konwojent i teraz zaopatrzeniowiec. Nazywał się Walter i pochodził z Ziemi Kaszubskiej. Dobrze mówił po polsku. Niemiecki znał z urodzenia. Mieliśmy jeden samochód osobowy, adler sześciocyldrowy bez siedzeń wewnątrz, bez dachu nad głowami, ponieważ był kiedyś kabrioletem. Teraz służył kilku osobom do jazdy „w teren”. Ja prowadząc ten samochód siedziałem na kanistrze, oczywiście pełnym benzyny, zdobyczej od „Ruskich”. Do spraw zaopatrzenia zdobyliśmy z Walterem poczciwego konia i furmankę. Wyścieliliśmy wóz słomą, „uzbroiliśmy” siebie i furmankę w dwa karabiny mauzer i dwie parabele, spory koszyk amunicji i tak pojechaliśmy w pierwszy rejs po zaopatrzenie. Na wioski, gdzie jeszcze zamieszkiwali gospodarze niemieccy. Teraz tylko powiem, że nie wolno nam było zabierać niczego, czy „konfiskować”. Mogliśmy za to „stracić posady”.

Późną jesienią 1945 i wiosną 1946 roku na lotnisko w Jezierzycach, kilkanaście kilometrów na wschód od Słupska, zaczęły lądować amerykańskie samoloty wojskowe. Były to różne samoloty, małe, duże i potężnie wielkie. Samoloty, które kilka miesięcy wcześniej walczyły w powietrzu na frontach II wojny światowej. Można powiedzieć, że miały jeszcze ciepłe silniki. Niektóre podziurawione od kul wroga. Był to dar rządu amerykańskiego dla narodu polskiego. Maszyn tych było około setki. W tym czasie do władz powiatu dotarły informacje, od zamieszkałej już polskiej ludności, o zorganizowanych grupach bojowych przemieszczających się po okolicach. Zorganizowaliśmy rozpoznanie i ustalono, że są to niedobitki żołnierzy armii niemieckiej. Po jakimś czasie okazało się, że to po prostu „VERWOLF”. Musieliśmy szybko rozpoznać teren powiatu, ze szczególnym zwróceniem uwagi na bunkry, schrony i inne miejsca umożliwiające kryjówki bandom i dokonywanie nagłych wypadów zbrojnych. Jednym z pierwszych miejsc które VERWOLF zaatakował, było właśnie lotnisko w Jezierzycach. Mieliśmy tam już ochronę. Może nam się tak wydawało. Teren wielohektarowy, brak oświetlenia, środków łączności, środków poruszania się, brak jakiegokolwiek doświadczenia. Było nas pięciu, czasami trzech, czasami sześciu. Byliśmy wszyscy młodzi.

Od 16 do 20 lat. Mieliśmy dużo broni i amunicji, bardzo dużo. Myślę, że to nas usposabiało, że damy sobie na pewno radę w razie napadu. No i odparliśmy. Kilkakrotnie Verwolf atakował nasze lotnisko i próbował zniszczyć co się da. Jednak nasza determinacja zwyciężyła. Tym razem. I następnym. Bandy gromiono coraz większymi siłami, doświadczonymi ludźmi, niemal prosto z frontu. Ale jednak to były ciężkie dni. Trwało tak prawie cały 1946 i prawdopodobnie 1947 r.

Może mnie ktoś poprawi we wspomnieniach, może sam coś przypomni i opisz. Może zaprzeczy i poda inną wersję wydarzeń. Przecież to minęło już ponad 60 lat. Fakty się zacierają, nazwiska się zacierają i wydarzenia kiedyś mogły wyglądać inaczej.

Pociągi na stacji SŁUPSK przyjeżdżały raz, dwa razy w tygodniu, potem coraz częściej i częściej. A za tym i ludzie przybywało coraz więcej i więcej. W czerwcu zgłosił się człowiek, który pasował nam do obsadzenia go na stanowisko Komendanta Służby Ochrony Kolei. Był to człowiek inteligentny o nazwisku M. Nazwisko ukryję, chociaż pamiętam, ponieważ nie konsultowałem, czy sobie życzę podania nazwiska do publicznej wiadomości. Został mianowany Oficerem z poleceniem zabrania się do pracy już od dzisiaj. Na Strażników już mieliśmy kilku chętnych. Od kilku dni już „pracowali” przy pilnowaniu dworca i wielu pomieszczeń dworcowych oraz drobniejszego dobytku przynależnego do stacji kolejowej. Sprawa Ochrony dobytku kolejowego została rozwiązana. Komendant Pan M. w 1946r. opuścił Słupsk i wyjechał do Warszawy gdzie objął wysokie stanowisko w turystyce. Później dotarła do mnie wiadomość, że Pan M. wyjechał „na kontrole” swoich zagranicznych placówek do Stanów. Prawdopodobnie kontrolował je do końca swoich dni. W którymś innym transporcie wyłowilem kilku, jak się później okazało, zdolnych mechaników samochodowych. Teraz uruchamiamy piękną halę na warsztat samochodowy. Samochodów do remontu jest dużo. Nie ma za to części, narzędzi. Polak to jednak człowiek operatywny i po kilku dniach mamy wyremontowany pierwszy samochód OPEL P4. Proszę zwrócić uwagę, że nic nie piszę o wynagrodzeniach dla osób, które podjęły pracę i ciężko pracują w bardzo trudnych warunkach.

To mnie zachęca do myślenia i wspomnień. Jednak cały czas mam nadzieję, że są wśród nas jeszcze ludzie z tamtych czasów żywi i zdrowi. Myślę, że się włączą i razem będziemy wspominać. W Słupsku na Alei Wojska Polskiego mieszkało dwóch braci. Jeden to Olek Szulc, drugiego młodszego już imienia nie pamiętam. Pochodzili z „polskich” Kaszub. Przyjechali się osiedlić na stałe. Mile wspominam rodzinę Państwa Barwiejuków lub Bardwiejuków. Dwie miłe córki Anna i Barbara. Tata pracował w komitecie na fizycznym stanowisku. Przyjechali na „Zachód za chlebem z za Buga”. Zostali tu na zawsze. My, młodzi ludzie musieliśmy ciężko pracować i uczyć się. Pomagaliśmy dorosłym, jak umieliśmy i ile mogliśmy. Przydzielano nam poważne zadania, jak dla dorosłych. Musieliśmy zadbać również

o to co się młodym ludziom należy. Trochę rozrywki po trudach dni. Otrzymaliśmy zgodę na wykorzystanie dwupiętrowego budynku na siedzibę dopiero co założonej organizacji młodzieżowej. Nazywała się Związek Walki Młodych. W tej siedzibie w wolnych chwilach urządzaliśmy sobie wieczorki taneczne. Olek z bratem – Szulcowie grali na akordeonie i mandolinie, ja natomiast na fortepianie. Wieczorki taneczne przyciągały coraz więcej młodzieży, a nawet i rodzice przychodzili potańczyć.

Gorzej było z marynarzami na przepustce z USTKI. Jednak jutro zawsze przypominało o rzeczywistości. Teraz mnie i Elka Lasotę (tak, to ten od „PO PROSTU”) obarczono odpowiedzialnością za zorganizowanie harcerstwa. Oczywiście, że dostaliśmy „wytyczne” co i gdzie zrobić. Już mieliśmy dla siebie motocykl marki Zindapp. Marka dzisiaj już zapomniana. Trzeba wyszukać budynek na siedzibę dla harcerzy, odpowiedniego przywódcę na harcmistrza powiatowego i pomóc co nieco urządzić wewnątrz. Przez najbliższy miesiąc nie widzieliśmy Słupska, no może... z daleka. Musieliśmy odwiedzić młodych ludzi w „terenach” i „pomóc im się zorganizować”. W niedalekiej przyszłości zaczęły się poważne kłopoty z władzami z Warszawy, bo nasze organizacje składały się z młodzieży, która nie chciała być „prawą ręką partii”. Wychowani przez przedwojennych rodziców. O tym, jak nas chciał rozjechać „ruski” ZIS załadowany żołnierzami. O potyczce zbrojnej jaka się wywiązywała opowiem coś więcej za chwilę.

Do Słupska przyjechałem wraz z moim ojcem w pierwszej połowie kwietnia. Ojciec mój został skierowany do pracy. Sam dojazd zajął nam około trzech dni. Trochę pociągami, no może większą część drogi, trochę samochodami, łapanymi na drogach nieraz po kilku godzinach oczekiwania, aż ktoś się zlituje, zatrzyma i zabierze. Najgorszym odcinkiem do pokonania w wielkim strachu był drewniany most przez Wisłę w Toruniu. Pociąg przejeżdżał w ślimaczym tempie. Można było zejść na pobocze i iść równo z pociągiem. Most bujał się na strony. Woda przeciwpożarowa w beczkach stojąca na poboczu wylewała się z beczek. Ja wlałem na dach wagonu, ponieważ uznałem, że w razie katastrofy spadną z dachu pociągu do wody i tym się uratuję. Siedzący pasażerowie stłoczeni wewnątrz wagonów nie mieli by takich szans. Do Słupska dotarliśmy późnym wieczorem. Nocowaliśmy na dworcu, jak wielu innych podróżnych. W rozmowie z nimi dowiedzieliśmy się, że jedni wyjeżdżają do Polski, inni właśnie przyjechali z Polski. Za pracą. Noc była bardzo chłodna. Nie można było zasnąć. Z dalszych rozmów dowiedzieliśmy się, że niemieckie wojska opuściły Słupsk na początku marca 1945 roku. Bez boju, bez zniszczeń w mieście. Nie zdołali nawet wyburzyć obiektów strategicznych, czy zakładów przemysłowych. Ucieszyliśmy się słysząc takie opowieści. Źródłem wiadomości byli Polacy wywiezieni do Słupska „na roboty” w czasie wojny. Oni naprawdę dużo wiedzieli i widzieli. Nad ranem dotarły do nas opowieści o najgor-

szym. O zniszczeniu Starego Miasta. Po prostu o spaleniu miasta przez wojska Armii Czerwonej. Zbombardowaniu części dworca kolejowego z dział i moździerzy. Prawdopodobnie dla statystyki. Wówczas jeszcze tego nie rozumiałem. Jak to możliwe? Przecież to nasi przyjaciele. I wiadomo już było, że to Nasz Kraj, Polska Ziemia. Zniszczenia oszacowaliśmy po kilku dniach. Mogliśmy tylko rozpaczać lub nawet wyć. Ale po cichu. Pracę rozpoczęliśmy od dziś, pracowaliśmy co dzień, w niedziele i święta. Praktycznie 24 godziny na dobę. Spanie na wygodnych poniemieckich kanapach dawało szybki wypoczynek. Oczywiście stojących w biurach. Po kilku tygodniach zaczęliśmy urządzać mieszkania i sprowadzać rodziny z dotychczasowych miejsc zamieszkania. Pod koniec maja 1945r. na dworcu PKP witałem wraz z ojcem mamę, moje trzy siostry i jedynego brata. W Słupsku pachniało już domem rodzinnym. Zaczął się dla mnie i wielu mieszkańców inny świat.

Pierwszym przybyszom do Słupska od razu mieszkań nie przydzielano. Musieli jeszcze trochę poczekać. Na powstanie odpowiednich Urzędów, na zatrudnienie urzędników. Na razie korzystano z pomocy kilku pracowników PUR-u i pracowników komitetu PPR.

Proszę pamiętać, że jeszcze nie przeprowadzono przesiedleń mieszkańców niemieckich. Dlatego w większości mieszkało się wspólnie. Z rodzinami niemieckimi. Nie słyszałem o skargach na Niemców lub Niemców na Polaków w czasie wspólnego zamieszkania. Z chwilą rozpoczęcia przesiedleń przybywało mieszkań do zasiedleń Polakami. Teraz kilka osób dopełniało ewidencji, teraz już kierowano przyjezdnych do odpowiednich mieszkań. W pobliżu miejsca podjętej pracy. Tak, mieszkania po wyjściu rodzin niemieckich zostały z wyposażeniem. I nie tylko. Szafy były pełne ubrań, a w piwnicach worki obuwia. Trudno to opisać, ale w mieszkaniach było więcej jak „wszystko”. Rodzinom niemieckim wolno było zabrać to, co uniosą osobiście. Ewentualnie ręcznym wózkiem. Punkt zbiorczy, przed odprowadzeniem wysiedleńców na dworzec do wagonów był przy ulicy Wojska Polskiego, niedaleko fabryki maszyn. Mieli oni cały czas naszą ochronę, nawet zbroją, ponieważ już pojawiły się elementy, nazwane „SZABROWNIKAMI” i inni rabusie.

Do Słupska przyjeżdżało coraz więcej rodzin. Byli natychmiast kierowani do pracy w już na nowo uruchamianych zakładach produkcyjnych. A nawet fabrykach. Wymienię tu: warsztaty samochodowe, fabrykę cukierków „Pomorzanka”, fabryka maszyn rolniczych, browar, gazownia. Otrzymywali od razu mieszkania, zaproponowane im lub wskazane przez przybyszów. Z tym problemów nie było. Mieszkań pustych było coraz więcej, ponieważ akcja przesiedleńcza była sprawniejsza. Wśród przyjeżdżających „osiedleńców” coraz wyraźniej dawało się zauważyć nowy problem. Dotychczas go nie było. W pojedynkę i grupowo. Pociągami i samochodami. Osobowymi i ciężarówkami. Byli i niżej posażni na piechotę. Były to BANDY SZABROWNIKÓW. Jedni byli uzbrojeni w zwykłą palną

broń. Inni „uzbrojeni” w „oryginalne dokumenty” od władz centralnych w Warszawie. Z dużymi pieczęciami różnego kształtu i koloru i wiele różnych podpisów. Co gorsze podpisy osób na wysokich stanowiskach. Rządowych cywilnych, wojskowych i „od kultury”. Z takimi dokumentami ci ludzie nie parali się poszukiwaniem na własną rękę. Przychodzili np. do Komitetu Partii, machali przed nosem Sekretarzowi i wydawali polecenia, co należało im przygotować do przewiezienia do Warszawy celem „złożenia do MUZEUM!!!!!!!!!!!!!!” Przyznam, że kilka razy i kilku grupom udało się wyprowadzić lokalną władzę w pole. Ale do czasu. Nasze działania i świadomość również się doskonaliły. Pierwsza grupa wpadła przy rekwirowaniu obrazu Kossaka „Ułan na koniu.” Obraz ten odebrałem od niemieckiego gospodarza mieszkania. Nie miał z nim co zrobić. Początkowo chciał go zabrać. Mieliśmy już kilka sztuk obrazów i dzieł sztuki. Ten jednak powiesiłem na ścianie w Komitecie. Zobaczył go „przedstawiciel Muzeum” z Warszawy. Wybitny znawca sztuki i wieloletni pracownik Muzeum, jak się przedstawił. Poprosił również o zapakowanie „tego ułana”, bo – jak powiedział, dla obrazów MATEJKI jest miejsce tylko w Muzeum. Ci panowie długo nie opuścili Słupska. To było przyczynkiem do „otwarcia” oczu na nowe zjawiska: złodziejstwa pod różną postacią i szabrowaniem Ziem Odzyskanych ze wszystkiego, co się dało. To był jeden z fragmentów opowieści, co zostało wyszabrowane i wywiezione w nieznane. Jeden taki transport został zatrzymany koło Ciechanowa, czy Mławy. Na samochód załadowany dziełami sztuki natknęła się Milicja. Obrazy te na pewno trafiły do muzeum. Mój „Ułan na koniu” J. Kossaka znajduje się w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Jest w Polsce.

Od Niemców mieszkających jeszcze w naszym słupskim powiecie otrzymaliśmy dużo ciekawych informacji o tym, co się złego działo w terenie. Informacje dotyczyły również działań niedobitków Verwolfu, jak i nowego zjawiska, jakie zawitało na Ziemi Zachodnie razem z falą ludzi przyjeżdżających celem zasiedlenia. Zjawisko dotąd nieznane chyba nigdzie na świecie. Szabrownictwo, kontrabandy czy po prostu zwykłe złodziejstwo. Przyjeżdżali pociągami i samochodami. Osobowymi i ciężarowymi. Jedni uzbrojeni w palną broń, inni w „papiery” ze stemplami przeróżnych urzędów w Stolicy i „podpisami osobistości na wysokich szczeblach”. Z tymi było ciężiej walczyć jak z VERWOLFEM. Doskonalenie metod walki z bandami utrudniał brak sprawnej komunikacji z Centralami w kraju. Telefony dobrze, że zadziałały na razie lokalnie. Byliśmy zdani na własne siły. Wszystko było w organizowaniu. Brak ludzi. Milicja liczyła na cały powiat kilku ludzi. Najcięższy był rok 1945 i 1946. Demobilizacja wojska po zakończeniu działań wojennych zasilła nasze urzędy w ludzi doświadczonych w bojach i obytych w trudach „partyzanckich działań”. Nareszcie zrobiło się bezpieczniej.

1945 r









MOJE SPOTKANIA Z NIEMCAMI

Jadę tramwajem przez centrum Melbourne z moją 8-letnią córką. Naprzeciw nas siedzą dwaj młodzi Niemcy. Patrząc przez okno wesoło rozmawiają; podoba im się to, co widzą. Wyglądają na studentów, turystów zwiedzających ten tak odległy od Europy kraj – kontynent. Nie trudno odgadnąć, że to Niemcy z RFN. Patrzę i myślę z goryczą – kto z naszej polskiej młodzieży może wybrać się do Australii w celach turystycznych? Ja z rodziną trafiłam tu jako emigrantka z biletem w jedną stronę, świadoma tego, że może nigdy więcej nie zobaczę swojej ojczyzny i bliskich mi osób. Córka pyta, jakim językiem oni mówią. Wyjaśniam, że to Niemcy, nasi sąsiedzi w Europie. Po chwili chłopcy podrywają się z miejsc i pośpiesznie kierują się do wyjścia. Na siedzeniu pozostał aparat fotograficzny. Moja córka biegnie za nimi. Ja wołam za nią „wróć”. Zatrzymuje się i wraca na miejsce. Mówi, chciałam powiedzieć im, że zostawili „camera”. Niebezpiecznie jest biec po tramwaju w ruchu, tłumaczę dziecku. Patrzy mi w oczy zdziwiona. Ten argument jej nie przekonał. Tramwaj zatrzymał się. Niemcy wysiedli. Na następnym przystanku podeszłam do motorniczego i powiedziałam mu o pozostawionym na siedzeniu aparacie fotograficznym. Skinął głową. Hindus, emigrant tak jak ja, przybył tu w poszukiwaniu znośnych warunków do życia. Stojąc na ulicy widziałyśmy jak szedł w głąb tramwaju do miejsca gdzie leżał aparat.

Mija wiele lat od tego wydarzenia. Mogę już odwiedzać Polskę. Przyjeżdżam do mojego miasta rodzinnego Słupska, na miesięczny urlop. Zmęczona i objuczona zakupami kieruję się do ławki, naprzeciw zatrzymanego w czasie tramwaju u wylotu średniowiecznej bramy miejskiej. Na ławce leży coś czarnego. Przyglą-

dam się, wygląda na kamerę video w czarnym futerale. Rozglądam się dookoła. Widzę w pobliżu ludzi wsiadających do auta. Zbliżam się do nich z zapytaniem – „czy państwo nie zostawili kamery?”. Pada odpowiedź „nie”. Wracam do ławki. Zastanawiam się w jaki sposób postępuje się w tym mieście ze znalezionymi rzeczami. Dzwonię do bratowej, u której mam być za godzinę na obiedzie. Radzi mi poczekać. Może ktoś wróci po zgubę. Tak się stało. Po kilku minutach widzę pędzącą w moim kierunku młodą kobietę, dużą, grubą, wyglądającą raczej mało schludnie. Staje przede mną zdyszana i mówi jedno słowo „kamera”. Wręczam jej kamerę trochę zdziwiona ... „a to pani zostawiła kamerę”. Słyszę niemieckie podziękowanie „danke”!

Za chwilę podchodzi do nas reszta rodziny. Przedstawiają się: rodzice młodej kobiety i jej narzeczony. Dziękują mi i zapraszają na piwo. Przyjmuję zaproszenie. Siadamy pod parasolem przy najbliższym „wodopoju”. Ojciec rodzinny dziennikarz mówi po angielsku, mój niemiecki jest szczątkowy. Mimo to wiele sobie wzajemnie wyjaśniliśmy. Takie ja przynajmniej odniosłam wrażenie.

Dowiedziałam się, że przejeżdżali przez Słupsk w drodze powrotnej z Gdańska, skąd pochodzi rodzina młodego mężczyzny. Auto mieli wypełnione żywnością zakupioną w Słupsku. Ojciec rodziny na odwrocie paragonu ze sklepu napisał mi ich adres w Berlinie. Zapraszał w odwiedziny. Dałam im moją wizytówkę. Zapytali jak trafiłam do Australii. Czy urodziłam się w Słupsku? Nie, ja też należę do wypędzonych ze swojej ojczyzny położonej na wschód od Bugu. Tylko, że o nas, chociaż było nas tak wielu, świat nie wie. Na Święta Bożego Narodzenia dostałam kartkę z Berlina z życzeniami i wspomnieniem z naszego spotkania... „in polnische Słupsk”. Karta trafiła do mojego archiwum pamiątek rodzinnych.

Moja pierwsza wizyta w Słupsku od kiedy wyemigrowałam do Australii to nie tylko odnowienie więzów rodzinnych i dawnych przyjaźni, ale też wędrówka po miejscach gdzie mieszkałam, bawiłam się i uczyłam.

Stałam przed kamienicą na ul. Świętego Piotra. Tu kazano wprowadzić się mojej rodzinie i kilku innym z transportu, którym przywieźli nas z Wołkowyska (miejsca mego urodzenia) na Ziemię Odzyskane we wrześniu 1945 roku.

W kamienicy obok mieszkali Niemcy. Okna ich kamienicy były zabite deskami na parterze i pierwszym piętrze. Nie dziwiło mnie to wcale, przecież byłam dzieckiem wojny. Wychodzili grupkami do miasta i do pobliskich wsi w poszukiwaniu żywności, tak opowiadali mi rodzice. Wracając do kamienicy wołali, pamiętam, wydając z siebie dźwięk podobny do przeciągłego „uu uu uu”. Otwierało się wówczas okno na górze, wychylała się głowa kobiety, a po chwili otwierały się ciężkie drewniane drzwi wejściowe do kamienicy. Od wewnątrz te drzwi zabezpieczone były przed staranowaniem żelazną sztabą, tak powiedzieli nam chłopcy z podwórka, którzy po wyprowadzeniu się Niemców odważyli się spenetrować kamienicę. Czego bali się Niemcy pozostali w swoim mieście, którzy nie mieli

możliwości podążania za wycofującą się, pokonaną armią? Przecież nie nas – wysiedleńców ze wschodu. Po mieście już o zmroku grasowali żołnierze radzieccy. Szabrowali, plądrowali opuszczone mieszkania, wille podmiejskie, niszczyli zabijki, gwałcili, mordowali i to nie tylko pokonanych Niemców.

Do naszych drzwi często pukały Niemki z dziećmi prosząc o jedzenie. Nasza mama zawsze coś dla nich miała. Pytałam dlaczego oni nie mają co jeść. Nasi domownicy, a wśród nich wdowa po zamordowanym w radzieckiej niewoli polskim oficerze, dawali im pierwsze lekcje historii. Tak traktuje się pokonany naród, który rozpętał tę straszliwą wojnę. Nikt nie przewidywał wówczas, że historia już niedługo zatoczy koło... .

Kiedy okolica była spokojna, to znaczy że w pobliżu nie było widać mundurów radzieckich, wypuszczano nas dzieci polskie i niemieckie na podwórze „studnię”. Mimo naszej świadomości, kto tu rządzi bawiliśmy się zgodnie. Aż pewnego dnia na podwórku pojawił się starszy od nas chłopiec Polak. Natychmiast objął nad nami dowództwo. Mały chłopiec Niemiec zwykł przynosić na podwórko zabawki: autko, pociąg, piłkę. Pozwalał nam dzieciom polskim bawić się tymi cudami, na które nie było miejsca w walizkach i tobołkach wysiedleńców ze wschodu. Chłopiec „herszt” nie zadawał się tylko wspólną zabawą. Kiedy wołano go do domu wyrwał autko, czy piłkę z rąk małego Niemca i niespiesznie opuszczał podwórko. Niemiec biegł z płaczem po schodach na najwyższe piętro naszej kamienicy. Czeakałam, co na to powiedzą jego rodzice? Nic! To była dla mnie lekcja stosunków społecznych, prawo jest po stronie silniejszego. Mały Niemiec przestał przynosić zabawki na podwórko. Pewnego dnia zobaczyłam na podwórku nową dziewczynkę. Z jej ubioru i uczesania odgadłam, że to Niemka. Dziewczynka przyciskała do piersi lalkę. Rozglądała się lękliwie. Widywałam ją w oknie na piętrze nad nami. Wreszcie zeszła do nas. Widocznie pragnienie zabawy z rówieśnikami było silniejsze od strachu. Patrzyłam na dziewczynkę i nabierałam odwagi żeby zrobić pierwszy krok. Podszedł do mnie „herszt” i zapytał – „ładna lalka?”. Skinęłam głową. Bez wahania podszedł do Niemki, wyrwał jej lalkę i podając mi ją powiedział – „masz Lilka, teraz jest twoja”. Przyglądałam się lalce z zachwytem. Kiedy mama zawołała mnie do mieszkania przyniosłam ze sobą lalkę. Zapytana skąd mam lalkę, opowiedziałam co zaszło. Mama powiedziała – „musimy zwrócić dziewczynce lalkę”. Poszłyśmy do mieszkania nad nami. Nikt nie reagował na pukanie. Mama zaczęła objaśniać po niemiecku, po co przyszła. Otworzyły się drzwi. Mama podała kobiecie lalkę, za kobietą stała dziewczynka, usłyszałyśmy – „danke schön”.

To jest jeden z najlepiej zachowanych obrazów – wspomnień mojego wczesnego dzieciństwa.

Po około roku przenieśliśmy się na ulicę Słowiańską, bliżej centrum miasta. Było bezpieczniej i wygodniej. Nasz ojciec – technik budowlany, wyremon-

tował ze znajomymi wysiedleńcami kilka mieszkań w ładnej kamienicy, przed wojną zamieszkiwanej przez profesorów gimnazjum nad Słupią. Kamienica nr 1 stoi do dziś, choć straciła balkony od ulicy i większość ozdobnych terakotowych kafelków.

Mama razem ze swoją siostrą otworzyła sklep spożywczy na ulicy Św. Piotra, na krótko jednak. Nasi wyzwoliciele nie mieli zwyczaju płacić za pobrany towar. Kiedy mama szła do sklepu zostawiała mnie z gospożą Niemką. Kobieta mówiła, że głoduje. Nam się też nie przelewało. Mama zauważyła, że pod opieką gospośi chudnę. Pewnego dnia miała usmażyć naleśniki. Najwidoczniej nie umiała tej sztuki kulinarnej. Ciasto kapało na płytę kuchenną. Obserwowałam ją siedząc na stołku. Zrobiłam uwagę – „Sie braten, Sie das essen”. Odwróciła się ze złością i pchnęła mnie. Spadłam ze stołka. Poskarżyłam się mamie. Gospośia musiała się z nami pożegnać. Wkrótce miałam nową opiekunkę. Pamiętam jej imię do dziś, Boldoanka. To była młoda dziewczyna bardzo blada i szczupła. Ukrywała się przez długi czas w piwnicy w obawie przed Rosjanami. Przeprowadziła ją do naszego sklepu stara ciotka – babka, jedyna ocalała z jej rodziny. Nauczyłam się od niej niemieckiego na użytek codzienny.

Pewnego letniego wieczoru wołała mnie na kolację, z balkonu wychodzącego na ulicę. Podbiegłam do balkonu i prosiłam ją, żeby pozwoliła mi dokończyć zabawę. Otrzymaawszy jej zgodę, zwróciłam się do towarzyszy zabawy po polsku – „bawimy się dalej”.

Ulicą przechodziła obok nas kobieta, stara w mojej ocenie, zatrzymała się jak wryta – To ty jesteś polskim dzieckiem i mówisz po niemiecku? Jak ci nie wstyd?!. Broniałam się: – to nasza gospośia Niemka, ona nie rozumie po polsku!.

– To niech się uczy, tu jest teraz Polska! – zauważyła kobieta już mniej gniewnie.

Boldoanka nie nauczyła się polskiego. Skorzystała z możliwości przesiedlenia do Niemiec. Odprowadzaliśmy ją i jej ciotkę – babkę na dworzec. Pociąg miał stać przez wiele godzin na dworcu, aż wszystkich załadują i skontrolują, powiedział nam sąsiad kolejarz – Józef Stańdo. Mama chciała zrobić Boldoance szczególną przyjemność.

Dowiedziała się, gdzie można kupić świeżą metkę, przysmak Niemców. Pamiętam szłam z mamą bardzo daleko po ten specjał. Kiedy dotarliśmy znów na dworzec, szłyśmy wzdłuż wagonów wołając imię mojej niedawnej opiekunki. Wyrzała oknem. Mama podała jej pakunek. W tym momencie podszedł do nas polski kolejarz i radził nam niezwłocznie opuścić dworzec. Zwróciłyśmy uwagę rosyjskiego żołnierza konwojującego wagon Boldoanki. Uśmiechnęłam się do niej ostatni raz i pomachałyśmy jej na pożegnanie.

O NIESFORNEJ KOZIE I ZAKOPANYCH SKARBACH

Do Słupska przyjechałyśmy 20 kwietnia 1946 roku. Ponad dwa tygodnie trwała podróż z Syberii, nieludzkiej krainy, gdzie się urodziłam i gdzie spędziłam pierwsze najtrudniejsze chwile mojego życia.

Przyjechałam z mamą i babcią. Tato już nie żył. Był czołgistą i zginął na wojnie. Mama znalazła się na Syberii przypadkowo. Była w ciąży i pojechała do Orzyszek, do swojej siostry, która miała tam majątek ziemski. Jej mąż był w partyzantce, więc Rosjanie przeznaczyci rodzinę do wywózki na Syberię. W 1940 roku wywieziono wszystkich.

Do Słupska przyjechała mama celowo, bo tu mieszkał jej starszy brat ze swoją rodziną. Chciała mieć w nim jakieś oparcie, bo nie miałyśmy nic, co by nam pomogło w życiu.

Wujek mieszkał przy ulicy Wrocławskiej w niewielkim domku, w którym właśnie zwolniły się trzy pokoje z kuchnią na parterze. Mieściła się tam również restauracja.

Dom ten należał do stolarza, który w pomieszczeniach gospodarskich trzymał maszyny stolarskie, deski i trociny. W jednym z pomieszczeń mieszkała Niemka z niepełnosprawnym synem, która miała już wyjechać do Niemiec i od której mama kupiła łóżka i jakieś najpotrzebniejsze rzeczy.

Rozpoczął się nowy etap w naszym życiu. Początki były bardzo trudne, ale po sześciu latach spędzonych w tragicznych syberyjskich warunkach, kiedy nieraz jedynym posiłkiem były obierki wyrzucone na śmietnik przez Kirgizów – nic już nie było takie złe.

Mama znalazła pracę w Domu Matki i Dziecka przy ulicy Lelewela. Do pracy miała daleko i musiała do niej chodzić pieszo, co było bardzo niebezpieczne szczególnie wieczorem, gdy szła na nocną zmianę. Ruiny spalonych domów w śródmieściu i pijani radzieccy żołnierze – to wszystko budziło strach i obawy.

Na początku ulicy Wrocławskiej były zburzone kamienice, do których nie było wolno nam dzieciom się zbliżać, ale wiadomo, zakazany owoc smakuje najlepiej. Jak tylko była okazja, ja z moimi kuzynami penetrowaliśmy to gruzowisko. Pewnego razu mój 11-letni kuzyn znalazł tam pistolet i przyniósł go do domu ku przerażeniu mojej cici. Posterunek milicji mieścił się wprawdzie niedaleko, bo przy ówczesnej ulicy gen. Pankowa, ale ciocia obawiała się, że jej nie uwierzą i będzie musiała się tłumaczyć i że mogą ją uwięzić. W domu odbyła się narada w tej sprawie. Ciocia miała znajomą, która gotowała obiady dla milicjantów, a wśród nich był narzeczony jej córki. Poradziła ona cici, aby dała jej pistolet, a ona odda go milicji. Okazało się, że pistoletu nie oddała, a wykorzystała go do straszenia narzeczonego córki, że go zastrzeli jeśli się z jej córką nie ożeni, bo chciał ją zostawić dla innej panny. W rezultacie nikt się nie pytał skąd ma ten pistolet, a za napaść na funkcjonariusza milicji dostała wyrok 8 lat więzienia.

Inne „polityczne” wydarzenie było związane z naszą kozą, naszym pupilem. Pewnego razu koza zniknęła. Ciocia kazała więc swojej córce odszukać kozę. Miałyśmy wtedy po 8 lat i do pomocy w szukaniu kozy zwołałyśmy wszystkie swoje koleżanki, ale nigdzie jej nie było. Tymczasem nadszedł brat jednej z naszych koleżanek i jak się dowiedział o naszym zmartwieniu zaczął się śmiać. Okazało się, że nasza koza zawędrowała aż na Plac Zwycięstwa, gdzie obgryzała kwiaty ze świeżo złożonych wiązanek pod pomnikiem z „czerwoną gwiazdą”. Koza wróciła do domu sama. Nie przyprowadziłyśmy jej do domu, bo bałyśmy się, że zostaniemy zamknięte w więzieniu za „znieważenie” pomnika.

Bardzo ciekawe były wyprawy z babcią na Stary Rynek. Na środku rynku stał pomnik, a wokół były stoły zбите z desek i można było kupić tam wszystko. Taki pchli targ. Mnie fascynowały zabawki, a szczególnie taka piękna, duża lalka co zamykała oczy i zginała ręce. W porównaniu z moimi lalkami, które moja babcia szyła mi z różnych gałąnów był to ósmy cud świata.

Moja babcia nie była młoda i nie nadawała się już do żadnej pracy, a że przed wojną miała restaurację i była świetną kucharką, postanowiła handlować cukierkami i lodami własnego wyrobu. Cukierki były w smaku podobne do krówek. Masę na cukierki babcia wylewała na blachę i kroїła w kostki, a lody były kręcone przez godzinę w formie obłożonej lodem, z której później wyjmowała je łyżką i kładła na wafle. Jej wyroby znikwały w ciągu godziny, a zarobione pieniądze pozwalały na zakup nowych surowców i na przeżycie.

W 1947 roku poszłam do szkoły przy ulicy Deotymy. Uczyła mnie pani B. Ojakowa cudowny pedagog, który jest w mojej pamięci do dnia dzisiejszego.

Rosłam wraz z moim miastem. Zmieniało się tak, jak ja. Znikały ruiny, gruz, zaczęły kursować tramwaje, a wieczorem zapalano lampy gazowe.

Miasto się zaludniało. Przyjechał również mój dziadek z kresów i wielu innych znajomych mojej rodziny z Oszmiany. Chodziliśmy na spacerów po mieście. Najbardziej lubiłam chodzić do centrum na Aleję Sienkiewicza z pięknymi kamienicami, otoczonymi estetycznymi płotami, za którymi rosły magnolie, róże i była czynna fontanna.

Pewnego dnia po lekcjach postanowiłam zwiedzić miasto sama, ale za to tramwajem. Nie miałam pieniędzy na bilet, a jazda kusiła mnie bardzo, więc wsiadłam się między wsiadającymi i zajęłam miejsce przy oknie. Siedziałam cichutko. Na końcowym przystanku wszyscy wysiedli i nie bardzo wiedziałam, co ze sobą zrobić. Podeszła do mnie bileterka i pyta, czemu nie wysiadasz? Z kim przyjechałaś? A może się zgubiłaś? Ja w płacz i mówię, że u nas w Czkałowie nie było tramwajów, a tylko mróz i śnieg i jeszcze bardziej się rozplakałam, bo przypomniałam sobie, że nie wolno mi nikomu mówić, że byliśmy na zesłaniu, na Syberii. Ale o dziwo, kobieta ta też miała łzy w oczach, posadziła mnie koło siebie i powiedziała mi potem, gdzie mam wysiąść.

Tramwaje zlikwidowano w 1959 roku. Ulice były wąskie, przybywało samochodów, a miasto rozrastało się w szybkim tempie. Zniknęły gruz. Zaczęto również wyburzać budynki stanowiące przeszkodę w przystosowaniu miasta do zwiększającego się ruchu komunikacyjnego. Szkoda jednak takich budynków, jak Stary Teatr, Dom Kolejarza, czy Stara Poczta. Budynki te miały swój urok. W Starym Teatrze była swoista atmosfera, jakby z dawnych czasów – najbardziej podobały mi się balkony. W teatrze odbywały się nie tylko spektakle teatralne, ale również uroczystości i imprezy rozrywkowe, jak bale sylwestrowe.

Dom Kolejarza tętnił życiem. Były tam różne kółka zainteresowań dla młodzieży, ćwiczyły tam młodzieżowe zespoły muzyczne i odbywały się bale sylwestrowe. Bawili się starzy i młodzi.

Dobrze pamiętam czyny społeczne. Już w szkole były przymusowe wyjazdy na wykopki lub sadzenie lasu. To była niezła frajda; po pierwsze dzień wolny od nauki, po drugie świetna zabawa na wolnym powietrzu.

Dzisiaj nasza młodzież tylko raz w roku zbiera śmieci po niefrasobliwych mieszkańcach.

Kolejny etap w rozwoju miasta to budowa osiedli. Bloki stawiano jeden po drugim, a mieszkania były ciasne i często z kuchniami bez okien. Chodziło o to, żeby w nich upchnąć jak najwięcej rodzin tym bardziej, że do miasta napływało dużo wykształconej młodzieży mieszkającej na wsiach.

Wybudowano także tzw. wieżowce: 12-piętrowe budynki. Niektóre z nich wskutek pewnych niedociągnięć i błędów budowlanych przezwano „zemstą Koszalina”, jako że władze wojewódzkie znajdowały się wtedy w Koszalinie.

W 1963 roku wyszłam za mąż. Mieszkaliśmy wówczas przy ulicy Żeromskiego, w jedynym bloku gdzie ubikacja była na klatce schodowej dla trzech rodzin. Mieszkanie było szczytowe, wilgotne i zimne. Na parterze mieszkała rodzina Romów. W każdy piątek zbierali się, ładowali do samochodu bagaże, sprzęt muzyczny i jechali, prawdopodobnie do NRD muzykować. Żyli dostatnio. Ich córka Samanta i jej mąż występowali często w telewizji z zespołem Roma. Romowie byli w Słupsku od wyzwolenia. Teraz, gdy idę ulicą Wojska Polskiego brakuje mi ich widoku. Wyjechali, tak jak niektórzy słupszczanie za granicę szukać lepszego życia.

Pamiętam jedno zdarzenie, które przytrafiło się mojej starszej córce. Nigdy nie wierzyła we wróżby, a zwłaszcza cygańskie, ale pewnego razu, gdy była już mężatką, dała się skusić na wróżenie obcej Cygance spoza Słupska. Mówiła jej – jesteś w ciąży choć o tym jeszcze nie wiesz – połóż mi na rękę pierścionek, on zniknie, ale jak dojdiesz do domu będziesz go miała z powrotem na palcu i tylko nikomu o tym nie mów. Córka przyszła do mnie do pracy i opowiedziała o tym zdarzeniu. Kazałam jej zgłosić to na milicji, ale po Cygance nie było śladu.

Po paru tygodniach Cyganka znów pojawiła się w bramie domu. Córka powiadomiła milicję – Cygankę zabrano, pierścionek wrócił do właścicielki, a wróżba się spełniła: za osiem miesięcy córka urodziła synka, mojego wnuka.

Wspomniałam już o czynach społecznych. Jednym z nich był czyn pierwszomajowy. Pracowałam wtedy w WPHW i plantowaliśmy teren wokół nowo wybudowanych domów na Zatorzu brodząc po kostki w błocie. Na rozgrzewkę dano nam grochówkę z kiełbasą.

Wtedy nie myślałam, że to będzie moje miejsce na ziemi, bo do tej pory było nim śródmieście, gdzie znałam każdy zakamarek. Teraz obie moje córki kupiły mieszkania na Zatorzu, a ja z mężem mieszkam tu już siedemnaście lat. Tylko starszy syn mieszka ze swoją rodziną w Koszalinie.

Dzielnica Zatorze powstała, jak wiadomo, na terenach dawnych ogródków działkowych. Uchroniły się dwa drzewa owocowe – jabłonki. Ciekawostką jest to, że w pniu jednej z nich były dziury, przez które można było wsadzić rękę na wylot. Kiedyś w tym dziurawym pniu dzieci rozpałyły ognisko, a drzewo – na przekór wszystkiemu zakwitło na wiosnę i jesienią obficie wydało owoce.

Inną ciekawostką był pociąg, który w pierwszych powojennych latach przejeżdżał przez ulicę Przemysławą, Wrocławską i Poznańską, dojeżdżał do składu opałowego oraz tartaku. Przez most na Słupi tory prowadziły do Dębnicy Kaszubskiej i dalej w kierunku Bytowa. Tego mostu na Słupi dzisiaj już nie ma; został rozebrany w latach 60-tych tak samo, jak wcześniej tory.

Koło nasypu torów był rów, w którym stała brudna woda. Z tego powodu i ze względu na przejazd kolejowy nie wolno było nam tam chodzić, ale na nasypie zostały odkryte „skarby”. Robiliśmy regularne wyprawy po te „skarby”, którymi

były przez kogoś zakopane porcelanowe talerze, całe i dużo potłuczonych, ale najważniejsze były dla mnie kolorowe szklane kulki. Jak się rozniosła wieść o tym „skarbie”, ktoś przez jedną noc rozkopał cały nasyp i nasze wyprawy się skończyły.

Nie jestem literatką, może te moje wspomnienia nie są istotne albo może są śmieszne, ale moje życie jest związane z miejscem, w którym żyję. Jak już wspomniałam ,w Słupsku jest moje miejsce na świecie – moje i moich dzieci i wnuków, które tu się urodziły i czują się świetnie.

Zula

TEN KRZYK SŁYSZĘ DO DZIS

Mój Nowy Dom znalazłam w Słupsku. To jest teraz moje Miasto, mój Dom. Jestem córką uczestnika Powstania Wielkopolskiego, a równocześnie oficera lotnictwa. Jestem siostrą partyzanta. Moje dzieciństwo przed wojną było szczęśliwe. Mieszkaliśmy w Poznaniu, obok lotniska Ławica. Ojciec „oblatywał” samoloty. Mama zajmowała się czwórką dzieci.

Okres okupacji niemieckiej, który spędziłam w Wielkopolsce wspominam jako okres biedy i upokorzeń. Równocześnie też jako okres tajnych spotkań patriotycznych, pożegnania brata udającego się do partyzantki. Po zakończeniu działań wojennych patriotyczna, a zarazem tajna działalność ojca i brata była przez nich obu kontynuowana. Przypominam sobie ten czas, gdy my – dzieci bawiliśmy się obok domu, gdzie odbywały się tajne zebrania. Dziś to sobie jasno uzmysławiam. Wtedy wiedziałam, że w domu trwa gra w karty. Kiedy trzeba było, robiliśmy dużo hałasu, aby odwrócić ewentualną uwagę „zainteresowanych osób”. Sytuacja była niebezpieczna. Zaczęły się prześladowania w innych rodzinach, co zmusiło naszą do zmiany miejsca zamieszkania.

ROK 1947

Z całym dobytkiem przyjechaliśmy do Słupska.

Była możliwość zamieszkania w domu jednorodzinny przy ul Arciszewskiego. Ojciec jednak bał się rozpoznania i wybrał jedno z pustych mieszkań w domu

wielorodzinnym niedaleko cmentarza. Mieszkanie było zdemolowane, szyby wybite. Ale był to Nasz Nowy Dom. Myśleliśmy, że tu będziemy bezpieczni. Po krótkim czasie bracia rozjechali się. Nasz Partyzant do Warszawy, drugi brat – do Poznania. W Naszym Domu mieszkaliśmy z rodzicami i siostrą. Ojciec rozpoczął pracę w Fabryce Mebli, mama zajmowała się domem. Wydawało się, że życie zaczyna się normować. Było biednie, ale spokojnie i szczęśliwie. Szczęście nie trwało jednak długo.

ROK 1948

Pewnego dnia, jesienią ojciec nie wrócił z pracy. Został aresztowany i osadzony w budynku Urzędu Bezpieczeństwa w Słupsku przy ulicy Kilińskiego (obecnie gimnazjum społeczne).

Wiadomość o aresztowaniu ojca otrzymaliśmy od nieznanego nam osoby. Rozpoczęły się starania o nawiązanie kontaktu z ojcem. Bez efektu. Do domu zawiątała bieda. Mama zmuszona była podjąć jakąkolwiek pracę. Przy ulicy Kaszubskiej, w pobliżu obecnej restauracji „Kluka” znajdował się barak, a w nim „skubano” drób. Pamiętam te straszne momenty, gdy mama wracała z pracy pokryta insektami z drobiu.

Ukończyłam szkołę podstawową nr 2. Nigdy nie zapomnę dyrektora szkoły pana Rogozińskiego – człowieka o wielkim sercu, który rozumiał dzieci mające problemy rodzinne.

Nie zapomnę również jednej z nauczycielek, która grupie sześciu dziewcząt powierzyła pieczę nad nieoznakowaną mogiłą, znajdującą się po lewej stronie cmentarza, licząc od wejścia głównego. Przed Świętem Zmarłych porządkowałyśmy mogiłę i zbierałyśmy od ludzi świece, aby zapalić je na tej mogile w Święto Zmarłych. Trwało to kilka lat. Pewnego roku – wydaje mi się, że był to rok 1952 lub 1953 w Święto Zmarłych do nas stojących nad mogiłą podeszło kilku mężczyzn i kobieta. Spytałi – czy wiemy kto leży w mogile. I kto nam polecił opiekę nad mogiłą. Odpowiedziałyśmy, że leżą tutaj pomordowani w obozie jenieckim, który znajdował się w pobliżu Słupska. Nazwiska nauczycielki nie podałyśmy.

Przybysze powiedzieli nam, że leżą tutaj pomordowani aktorzy z Warszawy i Łodzi. Dali nam dużo świec i dziękowali za opiekę nad mogiłą. Spytałi o kościół pod wezwaniem św. Ottona. Wskazałyśmy drogę. Później dowiedziałyśmy się od księdza, że ludzie ci przeżyli obóz, w którym zginęli aktorzy pochowani na słupskim cmentarzu. Dziś nie ma już śladu tamtej mogiły.

Nawiązując do kościoła pod wezwaniem św. Ottona pamiętam, że zbierała się tam słupska młodzież. Wśród tej młodzieży także ja byłam. Ksiądz, o ile dobrze pamiętam o nazwisku Baronowski mówił nam o miłości ojczyzny i bliźniego.

Z kościołem pod wezwaniem św. Ottona jestem emocjonalnie do dziś związana.

ROK 1949

Uczęszczałam do szkoły średniej. Bieda i potrzeba ratowania ojca spowodowały, że chciałam przerwać naukę. Dyrektorka szkoły, do której uczęszczałam przekonała mnie bym tego nie robiła, argumentując moimi dobrymi wynikami w nauce. Otrzymałam pomoc materialną w postaci stypendium. Mieszkałyśmy w pobliżu gmachu Urzędu Bezpieczeństwa. Często przechodziłam obok tego budynku.

Pewnego dnia usłyszałam dochodzący z piwnicy tego Urzędu Bezpieczeństwa głos ojca: Weroniko! Weroniko! Pobiegłam do okienka, schyliłam się i płacząc wołałam: – Tatus! Tatus! Ojciec prosił mnie, aby mama przygotowała w buteleczce tabakę o smaku miętowym, taką jak zawsze zażywał. Mama przygotowała tabakę. Przybiegłam do budynku Urzędu Bezpieczeństwa, schyliłam się i zawołałam: – Tato!.... Tato zapytał: – To ty Weroniko?.....

Natychmiast wyszedł z budynku mężczyzna w wojskowym ubraniu. Krzykiem i groźbą zastrzelenia odpędził mnie. Ojciec krzyczał: Uciekaj dziecko! Uciekaj!

Ten krzyk słyszę do dziś.

Muszę tu dodać, że z mężczyzną tym spotkałam się w 1972 roku w zakładzie pracy, w którym wówczas pracowałam. Był portierem.

Mama zabroniła mi mówić o tej sprawie. Dziś już ten człowiek nie żyje.

ROK 1950

Ojciec przeniesiony został do więzienia w Słupsku. Poradzono nam, by udać się do Prokuratury w Koszalinie, aby uzyskać pozwolenie na widzenie się z ojcem. Ja – młoda wówczas dziewczyna podjęłam się tego zadania. Pełna strachu i obaw udałam się do Prokuratury w Koszalinie. Spotkałam tam dwie przyjazne kobiety. Jedna z nich wysłuchawszy celu mojej wizyty skierowała mnie do odpowiedniego pokoju. Druga kobieta – prokurator zobaczyła moje oczy pełne łez, wysłuchała mnie. Mówiłam, że ojciec nie popełnił żadnego przestępstwa. Był oficerem lotnictwa.

Ku mojej radości zezwolenie na widzenie otrzymałam.

Udałyśmy się z mamą do więzienia. Sala przegrodzona siatką. Po jednej stronie ojciec w grupie innych więźniów, po drugiej stronie siatki odwiedzający, a wśród nich – my obie z mamą. Ojciec powiedział, że jest bardzo chory.

Ma być rozprawa. Podał nam nazwisko pani adwokat, która broni więźniów politycznych. To nazwisko w brzmieniu fonetycznym – to Simonajec. Jej biuro mieściło się w 2-gim lub 3-cim domu po prawej stronie Alei Sienkiewicza idąc od strony ulicy Kilińskiego. Rozmowa nie trwała długo. Pani adwokat zapytała czy mamy pieniądze?... My oczywiście ich nie posiadaliśmy.

Do rozprawy ojca nie doszło. Został zwolniony ze względu na zły stan zdrowia. I to była okrutna prawda. Ojciec był bardzo chory. Dopiero po około pół roku rozpoczął pracę w Fabryce Mebli. Odwiedzali nas często w tym czasie pracownicy Służby Bezpieczeństwa kontrolując czy przebywają u nas obce osoby. Ojciec bardzo często chorował. Nigdy nie powrócił do zdrowia i wkrótce zmarł.

Ze względu na trudne warunki materialne zmuszona byłam iść do pracy i podjąć naukę w szkole wieczorowej. Zakład pracy skierował mnie do Studium Organizacji Wynałazczości przy Politechnice Warszawskiej. Studium ukończyłam. Pracowałam w bibliotece zakładowej, w biurze konstrukcyjnym. Tutaj poznałam przyszłego męża.

ROK 1954

Pobraliśmy się. Początkowo mieszkaliśmy razem z rodzicami męża. W 1956 roku otrzymaliśmy mieszkanie z zakładu pracy.

MÓJ NOWY DOM W SŁUPSKU MIAŁ DRUGI ETAP... SZCZĘŚLIWY.

Urodziłam dwóch synów. Obaj uczyli się w Słupsku. Jeden ukończył wyższą uczelnię w Słupsku, drugi – technikum mechaniczne. Założyli własne rodziny. Synowie są słupszczankami. Jestem babcią i prababcią. Dwóch wnuków ukończyło szkoły w Słupsku. Na cmentarzu w Słupsku na ul. Kaszubskiej są groby moich najbliższych. Moja rodzina jest w Słupsku. To jest nasze miasto. Tu jest Nasz Dom. Nie zamieniłabym Słupska na żadne inne miasto.

Weronika









OCZAMI DZIECKA

Na mój nowy dom z konieczności muszę spojrzeć oczami dziecka, którego zainteresowania i ciekawość były całkiem inne, niż ludzi dorosłych. Czas robi swoje i ludzie, którzy przybyli na Ziemię Słupską na początku swojej dorosłości czyli w wieku 18 lat, w chwili obecnej mają lat ponad 80, a wielu z nich spoczywa na cmentarzu. Siłą rzeczy, w latach czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku nie mogłem być ani bohaterem z okresu wojennego, ani bohaterem pracy socjalistycznej, ani przodownikiem pracy. W tym okresie wzrastałem i dorastałem, a moje wspomnienia będą obrazami powojennej rzeczywistości widzianymi oczami dziecka.

Ojciec po wojnie, w poszukiwaniu domu, objechał niemal całe ziemie zachodnie, zwane Ziemiami Odzyskanymi, aż trafił do Słupska. Miasto i okolica bardzo mu się podobały i wybrał swój nowy dom w Kobylnicy, a właściwie w Kublicach, gdyż tak miejscowość ta wówczas się nazywała. Latem 1945 roku ściągnął tu rodzinę to jest: mnie, mamę i babcię. Z dworca kolejowego w Słupsku do Kobylnicy jechaliśmy wynajętą furmanką. Chłopca sześciolatniego wszystko zachwycało, dziwiło i ciekawiło. Byłem zauroczony drogą, którą jechaliśmy. Przydrożne drzewa między Słupskiem i Kobylnicą stanowiły uroczą aleję, a drobna kostka brukowa niczym nie przypominała nawierzchni dróg z okolic Przeworska. Jazda taką drogą była dla mnie wielką przyjemnością. Po drodze mijaliśmy wiele opustoszałych domów, a także domy przystrojone biało-czerwoną flagą co oznaczało, że dom jest już zajęty przez Polaka.

Byłem bardzo ciekawy naszego nowego domu. Wreszcie jest! Na zakręcie drogi ukazał się żywopłot z tui, odgradzający od ulicy ogródek, za którym stał partelowy dom z czerwonej cegły. Najbardziej z domu cieszyła się mama, gdyż pragnęła mieszkać w domu z ogródkiem kwiatowym i żywopłotem. Ja też byłem zachwycony, gdyż nowy dom był wygodniejszy i ładniejszy od tego, w którym przejściowo mieszkaliśmy w okolicy Przeworska, zmuszeni uciekać z Kałusza przed wywózką na Sybir. Tutaj był prąd elektryczny i światło – a nie lampa naftowa, obok domu była pompa zamiast studni, wybrukowana jezdnia, kanalizacja itp. Tutaj nawet deszcz był inny niż w Przeworsku. Tam chwila deszczu powodowała powstawanie dużych kałuż i błota, a tu nawet po długotrwałych opadach można było przejść suchą nogą. Sam dom składał się z czterech pokoi, kuchni, spiżarni i dużego strychu. Po przybyciu zajęliśmy dwa pokoje, a w pozostałych dwóch mieszkali nadal Niemcy. Kuchnia była wspólna. Jak wspomniałem wcześniej, przed domem był ogródek kwiatowo-owocowy, oddzielony od ulicy żywopłotem. Obok domu było spore podwórkó, na którym stały budynki gospodarcze. W jednym z tych budynków był mały warsztat ślusarsko-elektryczny, z którego najbardziej cieszył się ojciec. Za podwórkiem był ogród warzywno-owocowy.

Wakacje tego roku były bardzo słoneczne. Nie mogłem się doczekać chwili, kiedy zobaczę swoją szkołę i zacznę się w niej uczyć. W końcu przyszedł dzień, kiedy rodzice zapisali małego Miecia do drugiej klasy. W klasie byłem najmniejszy i najmłodszy. Niektórzy moi koledzy byli ode mnie starsi nawet o 6 lat i mieli już pod nosem czarny meszek. Okres okupacji nie pozwolił im rozpocząć nauki we właściwym czasie i stąd takie różnice wiekowe. Świetnie się jednak rozumieliśmy i lubiliśmy. Jeszcze w 1945 roku Polaków w Kobylnicy było mało i nie miałem wielu kolegów. Z kolegami Polakami spotykałem się najczęściej w szkole, a po powrocie do domu bawiłem się przeważnie z niemieckimi dziećmi. Już po kilku tygodniach wzajemnego obcowania dobrze ich rozumiałem, a po paru miesiącach niektórzy sąsiedzi na podstawie mojej „znajomości” języka niemieckiego myśleli, że jestem Niemcem. Tak było do roku 1947-1948. W tych latach ostatni Niemcy wyjechali z Kobylnicy za Odrę i skończyła się nauka języka obcego.

Ale nie na długo. Już w piątej klasie trzeba było zacząć naukę języka rosyjskiego.

Jeszcze w okresie wakacji 1945 roku w szkole „urzędowali” radzieccy żołnierze. Po ich wyjeździe szkoła nie wyglądała zachwycająco. Rodzice uczniów pomagali porządkować klasy, uzupełniali meble, naprawiali sprzęt, malowali pomieszczenia. Budynek szkolny był dla mnie ogromnym gmazyskiem. Teraz, gdy spoglądam na starą szkołę odnoszę wrażenie, że ten gmach zmaliał i wrósł w ziemię.

Klasy nie były liczne i z tej przyczyny, jak i z powodu braku dostatecznej liczby nauczycieli, uczyliśmy się w klasach łączonych: w jednym rzędzie siedzieli np. uczniowie klasy siódmej, a w drugim rzędzie uczniowie klasy szóstej. Nauczyciel najpierw tłumaczył lekcje jednej klasie, zadawał cichą pracę i przechodził do drugiego rzędu. Oczywiście przedmiot był jeden.

Kierownik szkoły oraz jeden nauczyciel mieszkali w Kobylnicy. Dwie nauczycielki mieszkały w Słupsku: jedna przy ulicy Szczecińskiej i dojeżdżała do szkoły rowerem, druga mieszkała przy obecnej ulicy Solskiego i do szkoły dochodziła piechotą. Pierwszy kierownik szkoły przyszedł prosto z frontu w randze kapitana. Długo jeszcze nosił mundur i polową rogatywkę.

W pierwszych latach za przewinienia stosowano często kary fizyczne takie jak: bicie po dłoniach drewnianym piórnikiem, linijką lub kijkiem (tzw. łapy), szarpanie za uszy, klęczenie w kącie na podłodze oraz kary psychiczne – pozostawianie po lekcjach (tzw. koza), sadzanie chłopca w jednej ławce z dziewczyną (to był największy wstyd i największa kara), sadzanie w ławce na końcu na tzw. oślim miejscu. Każda pierwsza lekcja zaczynała się modlitwą, a ostatnia modlitwą kończyła.

Jak już wspomniałem, rozpiętość wieku w poszczególnych klasach była dość duża. Do szkoły dojeżdżali rowerami, ale częściej dochodzili, również uczniowie z okolicznych wsi. Nie zawsze rodziców było stać na nowe ubiory i z tego powodu większość nosiła ubrania przerabiane. Ciężko było z butami. W lecie wiele osób chodziło boso lub w drewniakach. Swoją drogą drewniakami to był świetny pomysł zapożyczony od Niemców. Każdy Niemiec miał w domu kilka par drewniaków. Kształtem przypominały laczki na grubym drewnianym spodzie i posiadały skórzany nosek. Ponieważ „Alki”, „Nordur” ani innej fabryki obuwia nie było a w sklepach ubogo, zamawiano obuwie u szewców na miarę. Raz kupiono mi juchtowe buty w Wiejskim Domu Towarowym w Słupsku, który znajdował się przy ul. Poniatowskiego obok szpitala. Buty były brzydkie, ale miały podkówki i przy chodzeniu stukały. Z tego powodu bardzo je lubiłem. W 1947 lub 1948 roku wprowadzono do szkoły granatowe lub czarne fartuchy dla dziewcząt, granatowe ubrania dla chłopców oraz granatowe czapki z twardym daszkiem. Spodnie miały niebieskie lampasy, a marynarki takie same wypustki wokół mankietów. Denko czapki też było otoczone niebieską wypustką. Nad daszkiem, gdzie zwykle jest orzełek, był umieszczony okrągły metalowy znaczek, na którym widniała otwarta książka i litery SP (Szkoła Podstawowa). Ze względów finansowych nie było obowiązku noszenia tych strojów, gdy rodziców nie było stać na zakup, ale było takie zalecenie.

Pamiętam dwie organizacje, do których należeli uczniowie: harcerstwo i PCK. Harcerstwo w pierwszych latach po wojnie organizowało się na zasadach przed-

wojennego skautingu. Należeliśmy do hufca w Słupsku. Nasza drużyna miała nr 10 i nosiliśmy zielone chusty. Mundurki były w kolorze khaki, krótkie spodnie do połowy uda i rogatywki z zielonym otokiem. Drużynowy dojeżdżał rowerem ze Słupska. Zastępowy mieszkał w Kobylnicy. Na zbiórkach uczyliśmy się zasad postępowania harcerskiego, piosenek, zdobywaliśmy sprawności. W maju w programie zbiórek było uczestnictwo w nabożeństwach majowych. Wchodziliśmy w szyku do kościoła, ustawialiśmy się na środku przy ławkach w dwóch rzędach i na stojąco uczestniczyliśmy w nabożeństwie. Chodziliśmy też na uroczystości do Słupska. Pamiętam jeden zlot drużyn harcerskich przed pomnikiem na Placu Powstańców Warszawy. W pobliżu był Dom Hufca. Było bardzo dużo harcerzy. Dni prawdziwego harcerstwa były już jednak policzone...

Jeszcze parę słów o wyposażeniu uczniów w pierwszych latach po wojnie. Kłopoty były ze wszystkim. Nie było książek, zeszytów, przyborów szkolnych, tornistrów, czasem nawet atramentu. Książkę do nauki czytania każdy miał taką, jaką był w stanie zdobyć. Praktycznie każdy miał inną. Na początku nauki miałem książkę z III lub z IV klasy szkoły przedwojennej. Były w niej bardzo fajne wiersze i czytanki. Ponieważ był tam również wiersz o urodzinach Józefa Piłsudskiego, kazano mi książkę wymienić. Ojciec zdobył gdzieś jakąś powieść. Tekst był bardzo trudny dla ucznia II i III klasy i nie rozumiałem, o co tam chodzi. Nauczyć się czytać jednak było można, bo przecież w niej były polskie litery. Nauczyciel podchodził do każdego ucznia z osobna i zaznaczał do domu kawałek tekstu do nauczenia się czytać. Zeszytów początkowo też nie było. Zeszyty do rachunków ojciec zszywał mi z papieru kancelaryjnego, a język polski pisałem w kopiałach (co druga kartka miała linijki i to tylko z jednej strony). Taki zeszyt przechowuję jeszcze w swoim domowym archiwum. Atrament do kałamarzy był nalewany z litrowych butelek. Gdy atramentu brakowało, robiliśmy go sami rozpuszczając w wodzie środki ołówków kopiowych. Uczono nas pisania kaligraficznego. Do tego najlepiej nadawały się stalówki zwane krzyżówkami. Parę stalówek mam jeszcze do dziś. Tornister miałem przerobiony z parcianego wojskowego chlebaka.

Dużą dla nas pomoc stanowiły dary z UNRRA rozdzielane przez Polski Czerwony Krzyż. W paczkach były zeszyty, ołówki, kredki, gumki, torby na książki, słodycze, konserwy, mleko w puszkach, odżywki, drobne artykuły odzieżowe itp. W szkole dawano nam również obowiązkowo tran. Ustawialiśmy się z łyżkami w kolejce, nauczyciel nabierał tran z konwi i nalewał do łyżek. Zagryzaliśmy kawałkiem chleba z solą. Niektórych odrzucało. Ja nie miałem wstrętu do tranu. W szkole występowała co pewien czas wszawica. Z PCK przychodziły jakieś preparaty, którymi obowiązkowo posypywano wszystkim głowy. Przypuszczam, że preparatem tym był DDT.

Chcę jeszcze wspomnieć o imprezach, jakie były organizowane z udziałem szkoły.

Już tradycyjnie w Domu Ludowym w Kobylnicy w okolicy świąt Bożego Narodzenia organizowane były jasełka. Harcerze organizowali ogniska, na które zapraszali mieszkańców Kobylnicy. Przy ogniskach tańczono, śpiewano, przedstawiano różnego rodzaju skecze. Furmankami jeździliśmy do Słupska na święta majowe. Po wojnie obchodzono jako święto dni 1 Maja, 3 Maja i 9 Maja. W tych dniach zawsze odbywały się parady na placu przed ratuszem. Odprawiana była również polowa Msza Święta. Widzino było pierwszą wsią w okolicy, w której powstała spółdzielnia produkcyjna. W nagrodę w 1950 roku władze wyróżniły tę miejscowość i zorganizowały w niej gminne obchody dnia 1 Maja. Program artystyczny przygotowała szkoła z Kobylnicy. Aktywnie uczestniczyłem w tej imprezie, bowiem kierownik szkoły kazał mi się nauczyć na pamięć znalezionej w jakimś czasopiśmie tekstu pt. „Jak 1 Maja stał się świętem robotniczym”. Było to dość mozolne zadanie, gdyż tekst obejmował prawie trzy strony druku A-4, a o tym wyróżnieniu mnie dowiedziałem się w kwietniu. Na szczęście wszystko przebiegło płynnie i z pochwałą. W 1948 roku gościliśmy w Kobylnicy ks. biskupa, który udzielał sakramentu bierzmowania. Na powitanie biskupa kazano mi nauczyć się wiersza. Tekst wiersza napisał pewien nauczyciel historii, któremu z przyczyn o których głośno się nie mówiło, władza zakazała nauczania w szkole. Treść tego i innych wierszy, którymi popisywałem się na różnych uroczystościach pamiętam do dziś.

Muszę wspomnieć jeszcze o kinie, które w tym czasie odgrywało dużą rolę w życiu kulturalnym mieszkańców. Od czasu do czasu z nauczycielką chodziliśmy do kina „Polonia” w Słupsku, przeważnie na rosyjskie bajki. Do Kobylnicy przynajmniej raz w miesiącu przyjeżdżało wiejskie kino objazdowe. Filmy wyświetlano w Domu Ludowym, który stanowił swego rodzaju centrum kultury i rozrywki. Wyświetlano głównie filmy produkcji polskiej, radzieckiej, francuskiej i włoskiej. Pamiętam z tego okresu filmy: „Zakazane piosenki”, „Skarb”, „Gromada”, „Nie ma pokoju pod oliwkami”, „Fanfan Tulipan”, „Upadek Berlina”. Przyjeżdżał też teatr kukielkowy, jeszcze wówczas prywatny - „Tęcza”. Kiedyś jako mały chłopiec pomagałem przy noszeniu dekoracji i za to dostałem darmowy bilet na bajkę o śpiącej królewnie. Teatr ten zorganizował i był jego właścicielem pan Tadeusz Czapliński z żoną Elżbietą. Później, już w życiu dorosłym poznałem bliżej państwa Czaplińskich i dowiedziałem się od nich, że nazwa teatru wzięła się od imion właścicieli (T Tadeusz, E Elżbieta, CZA Czaplińscy). W Domu Ludowym odbywały się zabawy, loterie fantowe, zebrania gromadzkie, szkoła wystawiała przedstawienia itp. Do szkoły przyjeżdżał pan z filmami edukacyjnymi. Na koniec zawsze puszczał film o myszce Miki, którą wszyscy uczniowie uwielbiali.

Z naszego domu Niemcy wyjechali w 1948 roku. Byli jednymi z ostatnich, którzy opuścili Kobylnicę. Niemiec był elektrykiem i jako fachowiec z tej dziedzi-

ny był potrzebny stacjonującym tu Rosjanom. Z tego powodu tak długo nie pozwalali mu wyjeżdżać. Po wyjeździe Niemców rozlokowaliśmy się w całym domu. Niemcy nauczyli nas przygotowywać melasę z buraków cukrowych. Był to gęsty, brunatny syrop, który służył nam w domu do słodzenia kawy, herbaty, a także do smarowania chleba. Utrzymywaliśmy się z pracy rodziców: matka uprawiała ogród, mieliśmy „poniemiecką” krowę, kozę, kilka sztuk drobiu, kilka królików. Chleb był pieczony w domu, albo kupowany u miejscowego piekarza. Ojciec pracował najpierw w PKS-ie, a od końca lat czterdziestych aż do emerytury zatrudniony był w zakładach mleczarskich w Słupsku przy ulicy Bałtyckiej. Tu organizował pierwszą w Polsce wytwórnię proszku mlecznego i mleka skondensowanego, po uruchomieniu której został kierownikiem.

Życie mieszkańców Kobylnicy i Słupska wzajemnie się zazębiało. Bliska odległość miejscowości od siebie była korzystna dla obu stron. Mieszkańcy Kobylnicy znajdowali w Słupsku pracę, a także korzystali ze sklepów, zakładów usługowych, szkół średnich, biur, kina itp. Z kolei mieszkańcy Słupska odwiedzali Kobylnicę w celu nabycia płodów rolnych, owoców, nabiału itp. Komunikacji między Słupskiem, a Kobylnicą jeszcze nie było. Gospodarze mający konie jeździli do miasta furmankami, a w zimie saniami. Większość ludzi jednak odległość tę pokonywała piechotą. Do Słupska chodziłem z mamą lub z babcią realizować kartki żywnościowe. Najczęściej czyniliśmy to w sklepie przy Al. Wojska Polskiego 5 (dawniej Dworcowej). Książki kupowałem w księgarni „Oświata”. Znajdowała się ona na parterze byłego Domu Towarowego. Postój taksówek i dorożek był koło kawiarni „Franciszkańskiej” od strony obecnego Ronda Solidarności. Pamiętam, że taksówką o numerze bocznym 5 był zielony Opel. Do dzisiaj czuję w ustach smak lodów z Zielonej Budki, która stała w okolicy obecnego przejścia podziemnego.

„I to by było na tyle” - jak powiadał niezapomniany profesor mniemanologii stosowanej Jan Stanisławski. Kończę wspomnienia z pierwszych lat pobytu na Ziemi Słupskiej. Na tych stronach ukazałem parę obrazów, które towarzyszyły mi po wprowadzeniu się do mojego nowego domu. Wszystko, co opisałem dotyczy pierwszych powojennych pięciu lat. Pozostało jeszcze wiele okrucich zamkniętych w komórkach mózgowych, które być może kiedyś wydostaną się na zewnątrz. Nadszedł czas, że wyjechałem z Kobylnicy, by po pięciu latach powrócić z żoną i osiedlić się już w Słupsku. Tutaj rozpocząłem pracę zawodową i po czterdziestu trzech latach pracy przeszedłem na emeryturę. Tutaj urodzili się moi synowie, tutaj sprowadzili z innych miast swoje żony, tutaj urodzili się moi wnukowie, tutaj na cmentarzu spoczywają moja babcia i ojciec, tutaj odnalazłem swój nowy dom.

Mieszko

APARAT FOTOGRAFICZNY BYŁ ZAWSZE ZE MNĄ

Przyjechałem do Słupska w 1945r. w końcu sierpnia. Miałem 25 lat i... aparat fotograficzny.

Urodziłem się w 1920r. w Gostkowie pow. Przasnysz na Mazowszu w biednej rodzinie robotniczo-chłopskiej. Byłem najstarszy z pięciorga rodzeństwa. Z własnej inicjatywy utworzyłem oddział strzelców w swojej rodzinnej miejscowości. Jeździłem na uroczystości państwowe 3 Maja, 15 Sierpnia i 11 Listopada do Przasnysza i podobały mi się pokazy wojskowe. Poszedłem do koszar powiedzieć o tym, że też chcielibyśmy z chłopakami ćwiczyć. Przyjechał więc do Gostkowa podoficer i zorganizowałem drużynę strzelecką. Ćwiczył nas stary wojak, który był we wsi kowalem. Dostaliśmy stare karabiny – jeszcze z I wojny światowej i takie długie karabiny francuskie sprzed I wojny światowej. Były to bertieri. Miałem wtedy 16 lat i byłem wychowany w duchu patriotyzmu. Mój ojciec należał do tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej u Piłsudskiego, za co potem dostał posadę państwową – był listonoszem na poczcie w Otwocku.

W 1939 r. zgłosiłem się na komisję dla poborowych (z rocznikiem 1918) i mając II stopień przysposobienia wojskowego mogłem wybrać rodzaj broni. Miałem chęć zostać pilotem, więc zapisałem się do lotnictwa. Przeszedłem wszystkie badania w Ośrodku Wojsk Lotniczych i dostałem wezwanie na badania do Instytutu Badań Lekarskich Lotnictwa w Warszawie na dzień 5 września 1939 r.

Pod koniec sierpnia odwiedziłem ojca w Otwocku, pokazałem mu wezwanie – bardzo się ucieszył z mojego wyboru – i powiedziałem, że będę potrzebował zdjęcie do legitymacji. Poprosiłem ojca o pieniądze na fotografa. Niestety, gdy poje-

chałem do Warszawy na te badania, nie mogłem stawić się już do Instytutu, bo zastała mnie tam kampania wrześniowa. Zaciągnąłem się jako ochotnik w Ochotniczym Hufcu Obrony Warszawy.

Jednak 26 września 1939 r. była już kapitulacja Warszawy. Zostałem jeńcem. Trafiłem jako robotnik przymusowy do Prus Wschodnich.

Tam przepracowałem trzy lata. Okazałem się niepewny politycznie za to, że zbyt dużo rozmawiałem. Zostałem wywieziony z transportem w głąb Niemiec do lagru w Sachsenhausen. Miałem szczęście i po kilkutygodniowym pobycie wraz z grupą innych Polaków zostałem przewieziony do pracy przymusowej w berlińskiej gazowni.

Tam spotkałem Niemca, który mi zaufał. Razem słuchaliśmy w jego domu Radia Londyn po polsku. To było dziwne, ale od jego kolegi otrzymałem aparat fotograficzny, którym robiłem potem zdjęcia z okresu pobytu w Berlinie. Wcześniej miałem inny aparat kupiony w Prusach. Robiłem nim zdjęcia jeszcze w lagrze, choć było to absolutnie zakazane. Udało mi się jednak uniknąć kilku rewizji i tak szczęśliwie – ja, mój aparat i zdjęcia przetrwały czas wojny i 1945 rok przy spotkaniach z Rosjanami.

Nie czekając wyzwolenia – już pod koniec kwietnia 1945 r. – przy pomocy wojsk radzieckich ruszyliśmy na wschód. Do Szczecina na rowerach, a potem samochodami polskich wojsk. Stamtąd pociągiem towarowym przyjechaliśmy do Warszawy. W Warszawie wiwatowano już zakończenie wojny. Gdy wróciłem do wsi, z której pochodziłem, zastałem rodzinny dom w ruinie. Już po wyzwoleniu – by szukać pracy – razem z kolegą ruszyliśmy więc na Ziemie Odzyskane. Ten kolega, to mój sąsiad po dzisiejsze czasy (w mieszkaniu obok mojego).

W Kwidzynie, w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym zaproponowano nam podróż do Słupska lub do Koszalina. Bliżej był Słupsk, to dlatego tu zatrzymaliśmy się. Miasto nie było aż tak mocno zniszczone – po co było jechać dalej? Potem okazało się, że Koszalin był bardzo zniszczonym, zrujnowanym miastem, bo front wyzwoleńczy tam był wcześniej i dlatego tamto miasto bardziej ucierpiało.

Nieliczni Niemcy pozostali w Słupsku godzili się na rozkazy polskiej władzy. I tak w końcu sierpnia 1945 r. wraz ze wspomnianym kolegą zamieszkaliśmy w jednym pokoju mojego obecnego mieszkania, na trzecim piętrze przedwojennej kamienicy przy ulicy Rybackiej 6 w Słupsku. Wówczas mieszkało tu niemieckie starsze małżeństwo. Gospodarz ów był już bardzo chory i wkrótce zmarł, a jego żona później wyjechała na stałe do Niemiec. Wtedy stałem się najemcą całego mieszkania, a kiedy inna niemiecka rodzina z mieszkania obok wyprowadziła się też do Niemiec, kolega (który dotychczas mieszkał u mnie) stał się najemcą mieszkania sąsiadującego. I tak chłopcy z jednej wsi, spod Przasnysza, są po dziś dzień sąsiadami zza ściany: tu w Słupsku.

Już 1 września zatrudniłem się w słujskiej gazowni, która podlegała pod Miejskie Przedsiębiorstwo Komunalne. Miałem z Berlina legitymację, że tam pracowałem jako robotnik w gazowni i w wydziale opałowym przy przeładunku i transporcie węgla oraz brykietów. No, to teraz w Słupsku przydałem się przy odbudowie i uruchomieniu gazowni (jako pracownik fizyczny, także ślusarz). W listopadzie 1945 r. została uruchomiona gazownia i gaz dostawał się gazociągiem do pierwszych podłączonych ulic. Wcześniej oddano w mieście sprawne urządzenia wodociągowe i kanalizacyjne. Uruchomiono elektrownie i stacje rozdzielcze. Pracowaliśmy za zupełną, za skromne pobory. Uważałem, że dla dobra Ojczyzny trzeba cierpliwie poczekać na lepszy byt. Nie przyjechałem na Ziemię Odzyskaną szabrować i szukać przygodnego szczęścia. Chciałem rzetelnie pracować i przyczynić się do rozwoju miasta Słupska. W 1946 r. wstąpiłem do Polskiej Partii Socjalistycznej. Kierowałem się bowiem przekonaniami i swoim pochodzeniem. Wierzyłem, że ta partia pozwoli mi ugruntować swój los oraz los mojej rodziny; zwłaszcza rodzeństwu chciałem pomagać, bo własnej rodziny jeszcze wtedy nie stworzyłem. Założeniami partii było czuwanie nad członkami i poszanowanie ich pracy. Nie chciałem nic za darmo. Wierzyłem w rezultaty swojej pracy. Nie należałem do karierowiczów, a stanowiska później dostawałem za godne reprezentowanie wypełnianych obowiązków.

W 1950 r. z powodu złego stanu zdrowia zostałem przerwany do Działu Zaopatrzenia w Zajezdni Tramwajowej należącej do Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej. Byłem zaopatrzeniowcem, potem także inkasentem podatku lokalowego w Zarządzie Miejskim, wykonując tę czynność dodatkowo jako pracę dorywczą.

W tym czasie do Słupska przyjechała młoda dziewczyna, zaproszona jako matka chrzestna dziecka do swojej cioci, osiadłej też na mojej ulicy. Jej wujek był mi znany ze wspólnej pracy w gazowni. Dzięki temu poznałem tę dziewczynę, spodobała mi się – i w roku 1951 odbyło się nasze wesele, w domu o dziesięć numerów dalej od mojego domu – tu w Słupsku.

W moim mieszkaniu wcześniej – jak wspominałem – mieszkałem początkowo z poprzednimi niemieckimi najemcami, z kolegą... potem z bratem, którego sprowadziłem do Słupska. Teraz miałem już żonę, której nie chcieli „wypuścić” na stałe do Słupska jej rodzice mieszkający koło Białegostoku. Przekonali się jednak do mnie jako człowieka rozsądnego, odpowiedzialnego, niepijącego alkoholu i niepalącego. Pod tym względem byliśmy z żoną podobni i dlatego przypadliśmy sobie do gustu.

W 1953 r. urodziła się nam córka Wiesława, a trzy lata później – córka Teresa.

W 1954 r. powierzono mi kierownictwo Działem Zaopatrzenia. Dostałem skierowanie na kurs dla kierowników zaopatrzenia w Bytomiu; jadę na ten kurs

i dostaję kwalifikacje. Byłem nagradzany za swoją pracę wielokrotnie z Ministerstwa Gospodarki Komunalnej w Warszawie. Odcinki przekazów pieniężnych zachowałem do chwili obecnej. Słupskie MPGK podlegało wówczas pod Koszalin, a moja praca była doceniana. Załatwiałem jednocześnie sprawy BHP oraz gospodarcze, a pracę biurową z konieczności musiałem wykonywać często do późna w nocy.

Przez wszystkie te lata w życiu moim towarzyszy mi ciągle aparat fotograficzny, a moim hobby jest robienie zdjęć. Dzięki temu mam zdjęcia powojennego Słupska i wielu sytuacji mieszkańców. Utrwaliły one tamte widoki i zdarzenia, a teraz można oglądać, wspominać i porównywać miejsca obecne z tymi sprzed lat.

Do chwili obecnej mieszkam z żoną w mieszkaniu, do którego przyprowadziłem się w 1945 r. Słupsk stał się MOIM NOWYM DOMEM... i tak już minęło ponad 63 lata, a to niemalże trzy czwarte mojego życia. Więc ten DOM okazał się dość trwały. DOM – jako miasto mojego życia. DOM – jako mieszkanie. A także DOM – jako rodzina.

Gryf Pomorski

DŁUGA DROGA DO SŁUPSKA

Do Polski przyjechaliśmy na wiosnę 1946 roku z okolic Winnicy na Ukrainie, gdzie mieszkali moi dziadkowie od wielu pokoleń – z dziada pradiada. Do Winnicy zabrała nas babcia, kiedy mój ojciec po zajęciu przez Rosjan Równego na Wołyniu, został siłą wcielony do Armii Radzieckiej. Po szczęśliwym powrocie ojca z wojny, rodzice starali się dostać do najbliższego transportu do Polski. I tak w marcu 1946 roku wyruszyliśmy – moi rodzice, ja mając osiem lat i mój pięcioletni brat. Ruszyliśmy w daleką podróż w nieznaną...

Jechaliśmy w towarowych wagonach z piętrowymi pryczami. Spaliśmy pokotem z kilkoma innymi rodzinami. Pośrodku wagonu stał piec – koza, który ogrzewał wagon i pozwalał coś ugotować. Nie pamiętam, co mama mogła wtedy gotować, ale pamiętam, że pewna pani miała polską książeczkę dla dzieci i mama uczyła nas z niej wierszyków *Trzeba uszyć babce kapce*, *Spotkał katar Katarzynę* i innych. Do dziś je pamiętam i zawsze kojarzą mi się one z tym wagonem.

Podróż nasza do Polski trwała kilka tygodni, na trasie staliśmy wiele razy po kilka dni. Pamiętam jak przejeżdżaliśmy we Wrocławiu przez Odrę. Wszyscy patrzyliśmy na miasto okropnie zbombardowane, same ruiny, a mój tatuś opowiadał, że tu walczył i zdobywał Wrocław – tędy szedł front na Berlin.

Do Polski jechali z nami ludzie z naszych stron – krewni i znajomi, więc trzymaliśmy się wszyscy razem. Po jakimś czasie dojechaliśmy do małego miasteczka, Łowy Żagańskiej. Tu odłączono lokomotywę od transportu. Ci, co nie wysiedli, nie mieli już wyboru, trzeba było się tu osiedlić. Mieszkaliśmy w wagonie jeszcze około trzech tygodni, gdyż moi rodzice, z wykształcenia nauczyciele, nie mogli się

zdecydować, czy szukać domu w miasteczku – po prawej stronie stacyjki, czy też iść na wieś – po lewej stronie. Zdecydował rozsądek. Ojciec jako osadnik wojskowy dostał krowę i konia. Była wiosna, zwierzęta trzeba było karmić, można było zaorać pole i coś posiać, więc zdecydowali się na wieś. Po roku moja mama zaczęła dążyć do zorganizowania szkoły. Po krótkim czasie szkoła została otwarta, a mama została jej kierowniczką. Ojciec zaś został prezesem Gminnej Spółdzielni. W związku z tymi zmianami przenieśliśmy się do miasteczka, ja poszłam do szkoły – do pierwszej klasy, a po pół roku zdałam do klasy drugiej. Rozpiętość wieku uczniów była bardzo duża, dochodziła nawet do pięciu lat.

Moja mama rozpoczęła poprzez Czerwony Krzyż poszukiwanie zaginionych członków rodziny i przyjaciół. Była to długa lista, na której figurowała również rodzina mego przyszłego męża. Rodzice nasi poznali się w Równem, kiedy to podczas okupacji radzieckiej przeczytali w gazecie ogłoszenie o poszukiwaniu nauczycieli ze znajomością języka rosyjskiego. Ponieważ rodzice mieszkali wówczas w Berdyczowie – rodzinnym mieście mego taty i tam pracowali w szkołach, gdzie językiem wykładowym był rosyjski, zgłosili się z radością widząc w tym szansę na bliższy kontakt z Polską. Wyjechaliśmy z Berdyczowa do Równego w 1940 roku i zamieszkaliśmy w bliźniaku, w którym po drugiej stronie mieszkali rodzice mego przyszłego męża. Zorientowali się szybko, że jesteśmy Polakami. Jako rodzina katolicka załatwili w swojej parafii moim rodzicom ślub kościelny oraz ochrzcenie mnie i mego brata. Naszymi rodzicami chrzestnymi zostali rodzice mego przyszłego męża, a on sam trzymał nad nami wodę święconą ponieważ był ministrantem.

Gdy mój ojciec został zabrany na front, przyjechała po nas babcia z Winnicy i zabrała do siebie. Jechaliśmy wozem, jak cygańskim taborem, kilka dni. Z rodziną mego przyszłego męża straciliśmy wtedy kontakt. Dopiero w 1951 roku moja mama przypadkowo spotkała znajomą z Iłowej, która odprowadzała na pociąg swego brata. Z rozmowy wynikało, że jej brat jest kolegą mego przyszłego teścia, który pracuje w Urzędzie Celnym w Ustce i wszyscy mieszkają w Słupsku. Mama napisała list i bardzo szybko dostała odpowiedź potwierdzającą tożsamość poszukiwanych. Zbliżyły się Zielone Świątki i zostaliśmy zaproszeni do Słupska, wówczas po raz pierwszy zobaczyłam morze.

Mój przyszły mąż zdawał właśnie maturę w Liceum Mechanicznym w Szczecinie i nie mógł przyjechać do domu. Wyjechaliśmy po kilku dniach pobytu. My wyjechaliśmy ze Słupska w nocy, a rano mój przyszły mąż wrócił do domu. Rodzice opowiedzieli mu o naszej wizycie i o ślicznej dziewczynce o niebieskich oczach i długich warkoczach jak Zosia z *Pana Tadeusza*. Wówczas napisał list do moich rodziców, w którym ubolewał nad tym, że nie spotkaliśmy się i zapytał, czy mógłby nas odwiedzić w czasie wakacji. Przyjechał w lipcu z małą walizeczką i dużym akordeonem, gdyż był uczniem szkoły muzycznej. Poznałam wówczas 21-letniego,

bardzo dorosłego jak dla 14-latkę młodego człowieka i tak się zaczęła nasza znajomość. Rozpoczęłam naukę w Liceum Ogólnokształcącym w Żarach, a mój przyszły mąż studia na Politechnice w Gdańsku. Korespondowaliśmy ze sobą 5 lat, widywaliśmy się tylko na wakacjach. Po ukończeniu liceum chciałam iść na studia do Szczecina, ale mój narzeczony przekonał moich rodziców, że studiować będę mogła jako mężatka, gdyż on dostał nakaz pracy do Szczecina.

Był rok 1956 – kwiecień, Wielkanoc – nasz ślub. Mąż ukończył studia na Politechnice. Na wakacje przyjechałam do Słupska, a w październiku mój mąż pojechał do pracy do Szczecina. Jakież było moje zdziwienie, kiedy wrócił jeszcze tej samej nocy i oświadczył, że przestały obowiązywać nakazy pracy i możemy pozostać w Słupsku. Był to słynny Październik, kiedy u władzy był Gomułka. I tak od 1956 roku mieszkam w Słupsku. Zamieszkaliśmy w domu rodzinnym męża z jego rodzicami i babcią. Tam urodziły się nasze dzieci, córka Grażyna w 1957 roku i syn Marek w 1962. Mąż podjął pracę w Spółdzielni Pracy „Metalowiec”, a następnie w Fabryce Sprzętu Okrętowego, gdzie przeszedł wszystkie szczeble kadry kierowniczej, nadzorował budowę „Sezamoru”, a następnie był jego wieloletnim dyrektorem. Mąż był patriotą, także lokalnym i udało mu się zaszczepić to również we mnie. Był społecznikiem, działał w wielu organizacjach i stowarzyszeniach, był Prezesem OR NOT, członkiem Zarządu STSK, jednym z organizatorów Festiwalu Pianistyki Polskiej, który w tym czasie był ogromnym wydarzeniem kulturalnym w Słupsku. Był to okres rodzącej się inteligencji słupskiej zarówno środowisk kulturalnych jak i technicznych. Tworzyła się społeczność lokalna – nasza Mała Ojczyzna. Byliśmy młodzi i pełni zapału. Podjęłam wówczas studia na Uniwersytecie Gdańskim, prawo administracyjne, które ukończyłam w 1977 roku.

Ale życie w kraju było coraz trudniejsze. Do władzy doszedł Gierek. Był Radosom 1976 rok, powstał KOR, a następnie „Solidarność”. Uaktywniło się Wybrzeże, stoczniovcy na czele z Lechem Wałęsą, także słupski „Sezamor” jako jeden z zakładów gospodarki morskiej. Mój mąż będąc dyrektorem całym sercem popierał żądania robotników, był wielkim entuzjastą „Solidarności”. Zaczęły się zamieszki w Gdańsku, w Słupsku również zrobiło się niebezpiecznie. Rozruchy w mieście, powybijane szyby wystawowe, wozy bojowe i interwencja milicji, podpalono Komitet PZPR. Wszyscy żyliśmy w ogromnym napięciu. Poczęła się rodzica słupska „Solidarność”. Uaktywniło się środowisko Armii Krajowej, którego członkiem był mój mąż jako Syn Pułku, ja natomiast zostałam podopieczną tego środowiska. W kościele Serca Jezusowego, „na górze” rozpoczęły się msze za Ojczyznę.

Uczestniczyliśmy w nich gremialnie. Była to cegiełka słupszczan włożona w przemiany, jakie miały nastąpić niebawem. Jednak najpierw był stan wojenny. Zaskoczył mnie w Warszawie u córki, która tam mieszkała. W tym czasie mój mąż wyjechał służbowo 7 grudnia 1981 roku do Holandii i miałam czekać u córki na jego powrót – 12 grudnia. Niestety, nie przyleciał. Lotnisko nie udzielało

żadnych informacji. 13 grudnia rano było już jasne, że jego powrót nie był możliwy. Jaruzelski ogłosił stan wojenny. Została zerwana łączność wewnątrz kraju i z zagranicą. W Słupsku, w domu został mój syn, z którym nie miałam kontaktu. Ja byłam z córką, a on tam sam. Chowałyśmy z córką, w różnych skrytkach „bibułę”, którą często zostawiał u niej ojciec. Chciałam wracać do Słupska, ale aby dostać zezwolenie na wyjazd trzeba było zameldować się tymczasowo w miejscu pobytu. Dopełniałam tego obowiązku w Urzędzie Dzielnicowym córki, spędzając w tłumie cały dzień. W kolejce dowiedziałam się, że na Poczcie Głównej, na Świętokrzyskiej można dostać połączenie międzymiastowe. Brnąc w ogromnym śniegu, w pięknych kozaczkach na szpilkach „Salamandry”, zakupionych w NRD-ówku, szłam pieszo z Pragi do Śródmieścia. Szli wszyscy. Mostem Śląsko-Dąbrowskim, gdyż komunikacja miejska nie funkcjonowała. Po drodze i w centrum widziałam mnóstwo żołnierzy grzejących się przy płonących metalowych koksownikach. Obok nich czołgi i opancerzone samochody bojowe. Kiedy wróciłam do domu, z moich pięknych kozaczków prawie nic nie zostało. Ze szpilek zrobiły się jakieś płaskie buty. Było to jednak mało ważne w obliczu tego, co przeżywaliśmy.

Do Słupska wyjechałam tego samego dnia w nocy. W domu byłam o 5 rano. Ponieważ obowiązywała godzina policyjna siedziałam na dworcu do 6, aby móc wyjść na ulicę. W Słupsku, w porównaniu z Warszawą – sielanka. Cisza i spokój. Dotarłam do domu. Stałam przy furtce i zadzwoniłam. Po dłuższej chwili ujrzałam w oknie twarz syna. Odchyłona firanka gwałtownie opadła, a on pędził jak szalony, żeby mi otworzyć. Padliśmy sobie w ramiona i płacząc nie mogliśmy wydobyć z siebie ani słowa. Nawzajem pytaliśmy o męża, nie wiedząc nic o jego losie. Zaczęliśmy podejrzewać, że po wylądowaniu w Warszawie został na lotnisku internowany. Nie wiedzieliśmy, że i tak miało to nastąpić, tyle że później. Byłam szczęśliwa, że przynajmniej wiem, co z synem, lecz byłam rozdarta, bo w Warszawie zostawiłam córkę samą z małymi dziećmi, ponieważ jej ówczesnego męża – oficera LWP zabrał w nocy z 12-13 grudnia patrol wojskowy i powiózł w nieznanym nikomu kierunku. Obowiązywała pełna mobilizacja.

Wiadomości o moim mężu nie miałam do 23 grudnia. Przez cały ten czas nie wiedziałam, gdzie przebywa i czy żyje. 23 grudnia o godzinie 20 ktoś cicho zapukał do drzwi. Zerwałam się wiedziona intuicją, że to może być ON. Otworzyłam drzwi.

Moim oczom ukazał się człowiek, podobny do mojego męża, choć przypominający bardziej bezdomnego włóczęgę. Zarośnięty, zmęczony, wyczerpany psychicznie przeżyciami i lękiem o nas, bez bagażu, z małą torbą przewieszoną przez ramię. Staliśmy tak, nie mogąc się ruszyć i wykrztusić słowa ze szczęścia i wzruszenia, że znów jesteśmy razem. Mąż poprzez różne kraje i drogi, gubiąc po drodze bagaż dotarł wreszcie 23 grudnia do Polski. Ponieważ nadal był dyrektorem „Sezamoru”, udał się po świętach do pracy. 16 lutego rano o godzinie

6 przyszli po męża. Zobaczyła ich przez okno, siedzących w czarnej wołdze po drugiej stronie ulicy córka, która przyjechała do nas na ferie z dziećmi. Obudziła cicho ojca, który wstał i zaczął się pakować. Poprosił ją o najgrubszą książkę, jaką znajdzie w domowej biblioteczce - była to *Karafka La Fontaine'a* Melchiora Wańkowicza. W tym czasie syn wyjeżdżał do pracy i panowie w skórach zmusili go do wpuszczenia ich do domu. Mąż mnie obudził. Zbiegłam na dół i zobaczyłam „smutnych panów” rewidujących nasze mieszkanie oraz córkę stojącą w szlafroku i nocnej koszuli w drzwiach do pokoju, pomstującą na tych z bezpieki. Jak potem się okazało pod koszulą ukrywała pośpiesznie schowany plakat, przedstawiający wronę – symbol oprawców, który dzień wcześniej mąż przyniósł z pracy. Za taki plakat szło się do więzienia. Mąż poczęstował „Panów” herbatą, aby jeszcze bardziej ich upokorzyć. Znał ich z widzenia, ponieważ od dłuższego czasu za nim jeździli. Gdy pili herbatę, córka wymknęła się na górę i utopiła w wiaderku z namoczonymi pieluchami zakazane odznaki „Solidarności”, a resztę „niebezpiecznych” rzeczy wrzuciła w toalecie za ściankę imitującą kafelki. W związku z powyższym rewizja nie przyniosła oczekiwanych rezultatów i panowie zabrali męża, bez dowodów jego – jak napisali w nakazie internowania „wrogiej działalności na szkodę Polski Ludowej”. Pytaliśmy, dokąd go zabierają – powiedzieli, że na razie na komendę MO. Na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że został internowany wraz z grupą 9 pracowników „Sezamoru” w dawnym niemieckim obozie pracy w Strzebielinku koło Wejherowa. Spodnie bez paska podtrzymywał rękoma. Buty kłapały bez sznurowadeł. Na twarzy miał brodę jak wszyscy internowani. Widzieliśmy się około godziny obserwowani i podsłuchiwani. Rozstaliśmy się nie wiedząc, kiedy i gdzie się znowu spotkamy. Po miesiącu niespodziewanie mąż został zwolniony wraz z grupą z „Sezamoru” i odstawiony do domu. Rozgłośnia Wolna Europa podała, że był jedynym dyrektorem internowanym wraz z robotnikami.

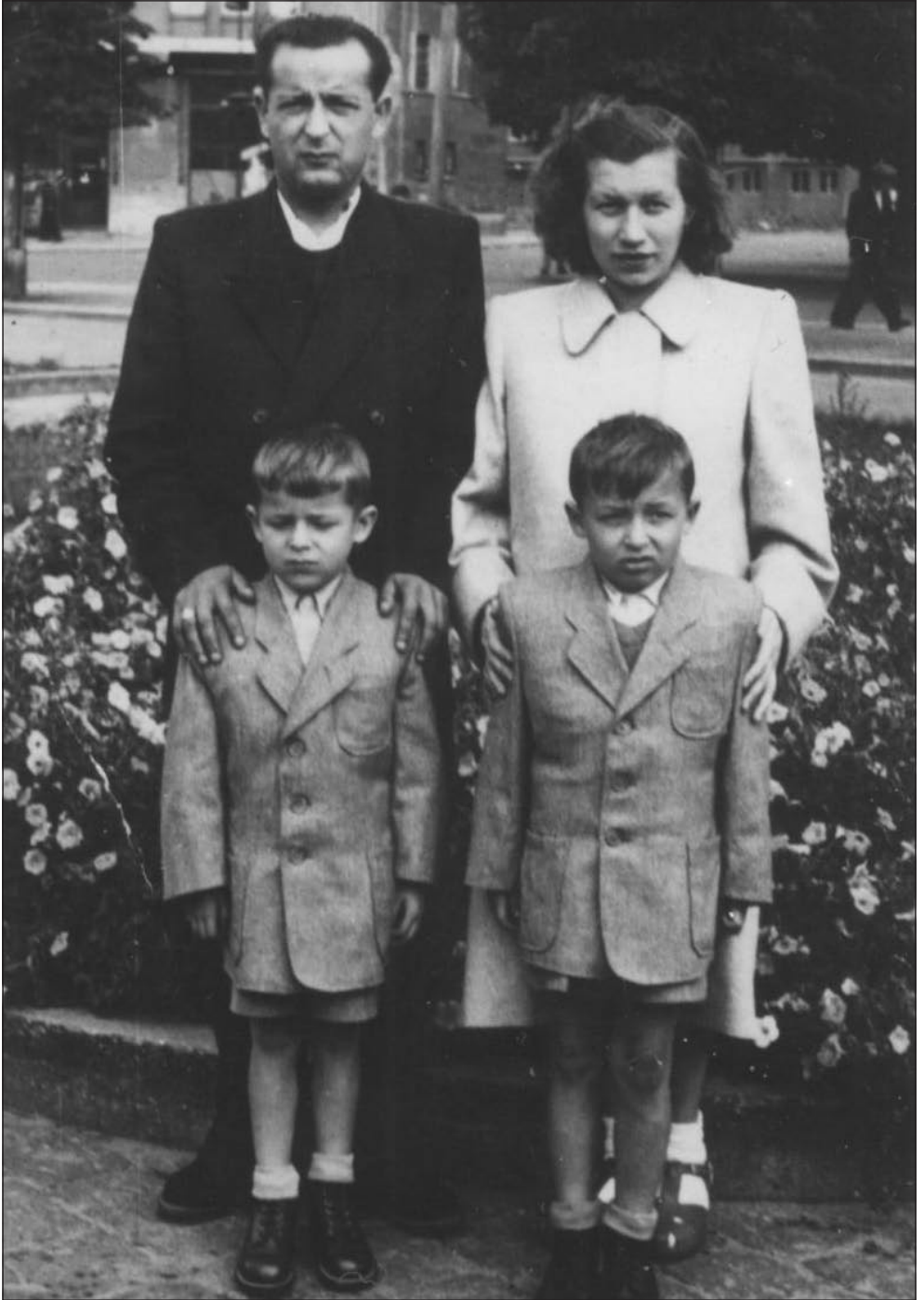
Tak wyglądało moje życie w Słupsku. Przeżycia stanu wojennego wpłynęły bardzo negatywnie na zdrowie mego męża, a choroba z którą walczył przez wiele lat odnowiła się z wielką siłą. Nie udało mu się już jej pokonać. Zmarł 14 czerwca 1986 roku w wieku zaledwie 56 lat.

Mężczyzna, za sprawą którego znalazłam się w Słupsku odszedł na zawsze, a ja zostałam. Wrosłam w to miasto i czuję się słupszczanką. Jak tu przyjechałam miałam 19 lat i jest to moje miejsce na Ziemi. Tu mieszkają również moje dzieci, z których jestem bardzo dumna. Oboje skończyli studia, córka zrobiła doktorat. Mam wnuki i prawnuki. Jestem najstarszą w mojej rodzinie – seniorką!! Jestem jednak wciąż bardzo aktywna i nie patrzę na swoją metrykę wyznając zasadę, że nie metryka świadczy o człowieku. Jestem czynnym uczestnikiem Uniwersytetu Trzeciego Wieku, aby „żyć bardziej i wiedzieć więcej”.

Leszczyna









SWOJE MYŚL, A CO GADAJĄ – SŁUCHAJ

Kiedy siadłam nad kartką papieru i pomyślałam, od czego należałoby zacząć wspomnienia na temat mojego nowego domu, przyszło mi na myśl, że należy zacząć od przyczyny. Co nas zmusiło do poszukiwania nowego domu?... Aby to opowiedzieć, muszę wspomnieć co nieco o mojej rodzinie i o sobie.

Urodziłam się w małym miasteczku w centralnej Polsce. Byłam najstarsza z trójki naszego rodzeństwa. Swój dom lat dziecińczych pamiętam jako bezpieczny azyl, a rodzice byli osobami, które zawsze znalazły radę i pomoc na nasze dziecięce troski i kłopoty.

Oboje rodzice pracowali, spłacając zaciągnięty kredyt na dom wybudowany w 1934 roku. Chowano nas w miłości, ale i dużo od nas wymagano: pracy, porządku i dyscypliny.

Pamiętam bardzo przez nas kochanego dziadka, który zabierał wnuczęta swoich córek, a było nas w różnym wieku aż siedmioro. Poświęcał nam wiele czasu opowiadając o swoim ciekawym życiu, zapoznając z lasem, parkiem, ucząc nazw roślin i zwierząt.

Pamiętam czas przed wojną – mieliśmy już duże radio – słuchano przez nie wieców z Warszawy i ciągle dźwięczy mi w uszach skandowanie tłumów „na Czechy, na Czechy”, gdy zajęliśmy część Zaolzia.

Mama należała do kobiecej organizacji, nazwy nie pamiętam, chodziła na wojskowe i medyczne przeszkolenia, a w domu szyła maseczki z gazy, które miały nas chronić przed atakiem gazowym.

Coraz częściej mówiono o wojnie. Latem 1939 roku – zaczęli do nas przychodzić wieczorami na rozmowy znajomi, nas – dzieci wysyłano wtedy spać. My jednak leżąc już w łózkach, staraliśmy się uchwycić strzępki toczonych rozmów. Mówiono o wojnie z Niemcami. Nasz dziadek mówił wtedy: nie straszcie dzieci. Dziadek bywał w Niemczech, znał ich język i tłumaczył nam, że nie trzeba się bać, bo Niemcy to przecież kulturalny naród.

Babcia opowiadała nam, jak podczas I wojny światowej front rosyjsko-niemiecki był w pobliżu ich domu, a żołnierze wrogich sobie armii spotykali się razem, grali w karty, pili wódkę. Więc wojna nie wydawała się nam taka straszna.

Pamiętam bardzo wczesny ranek 1 września 1939 roku, gdy obudzono nas i poszliśmy czytać rozlepione na słupach afisze o powszechnej mobilizacji. Wybuchła więc wojna z Niemcami. Miałam wtedy niecałe 9 lat.

OKUPACJA

Na motocyklach wjechali do miasteczka niemieccy żołnierze. Nie było walk. Żołnierze byli porządnie ubrani, czysti, uśmiechnięci i przyjaźnie nastawieni do nas – dzieci. Częstoowano nas słodyczami, których nie braliśmy, bo mówiono nam, że mogą być zatrute.

Bardzo szybko okazało się jednak, że gdy powstały posterunki żandarmerii i gestapo, zaczęły się aresztowania, więzienia. Ludzie nagle znikali – nie wiadomo gdzie. O obozach nikt z nas jeszcze wtedy nie słyszał. Wszyscy liczyli na szybki koniec wojny, nikt z domorośłych strategów nie przypuszczał, że wojna i okupacja potrwa aż 6 lat. Właśnie okupacja odcisnęła się najbardziej na naszym dzieciństwie. Nie było już uśmiechów, uprzejmości i słodyczy. Była godzina policyjna, strach, lęk, nocne wizyty i walenie kolbami karabinów w drzwi, zabieranie ludzi często w bieliźnie na przesłuchania, bicie, wywózka i łapanki urządzone na ludzi tak, jak łapano przed wojną bezpieczeństwa psy.

Widziałam ludzi przychodzących do nas, którzy brali od rodziców paczki z żywnością, lekarstwami i pieniędze. Jednak dorosłam na tyle, że o nic nie pytałam. Przez nasz dom przewinęło się wiele osób oczekujących pomocy, w tym uciekający z palącej się Warszawy cywile i powstańcy. Słyszałam i widziałam rzeczy tak straszne, nie mogłam pojąć, jak mogą to robić ludzie ludziom. To nie byli przedstawiciele kulturalnego narodu, o którym opowiadał nam dziadek.

Dane mi było doświadczenie dziecka wojny, spotkałam się z takim złem i okrucieństwem, o jakim się nikomu z nas nie śniło. To było coś znacznie przekraczającego moje możliwości pojmowania.... do dziś miewam koszmary senne, chociaż od tych wydarzeń minęło ponad 60 lat!

Chciałam to napisać, aby ktoś czytający to zrozumiał, dlaczego wejście Rosjan do nas 17 stycznia 1945 roku ludność przyjęła jako wyzwolenie, nie zmianę okupanta. Rosji i Rosjan nie znałam, niewiele wiedziałam na temat naszej wspólnej historii. Znałam i przeżyłam 6 lat okupacji, strachu, łapanek, wywózki do pracy. Znałam zło, które przyniosła nam i światu wojna, rozpętana przez Niemcy.

Dlatego wejście Rosjan traktuję jako wyzwolenie spod niemieckiej okupacji, pozbycie się strachu i lęku o życie własne i swych najbliższych, możliwość wyjścia z domu o każdej porze dnia i nocy.

Gdy wieczorem w kościele ksiądz zaintonował pieśń Boże coś Polskę – to większość zebranych płakała, kończyła pieśń słowami „Ojczyznę wolną pobłogosław Panie”, chociaż niektórzy śpiewali „Ojczyznę wolną racz nam zwrócić Panie”.

SZUKANIE NOWEGO DOMU

17 stycznia 1945 roku życie całej naszej rodziny legło w gruzach i to dosłownie. Bomby poprzedzające przejście frontu zniszczyły całkowicie sklep i mieszkanie przy nim, oraz dom, który rodzice wybudowali w 1934 roku. W trakcie bombardowania nasza mama została ciężko ranna. Szpital był przepełniony rannymi żołnierzami. Cywile, w tym i nasza mama, leżeli w pomieszczeniach klasztoru na siennikach ze słomą na podłodze. Brakowało wszystkiego: jodyny, leków, bandaży i jedzenia.

Wszyscy zostaliśmy w tym, co mieliśmy na sobie. Młodsze rodzeństwo pozostawiliśmy u znajomych, a tato ze mną wrócili do miasta i zaczęliśmy wyciągać z rumowiska gruzów wszystko, co mogło nam się przydać. Pieniądze nie miały wartości. Środkiem płatniczym stały się wyroby ze złota, alkohol i papierosy. Duża trzydrzwiowa szafa złożyła się jak przydepnięte pudełko zapalek, ale dzięki temu wszystko wewnątrz niej ocalało.

Znaleźliśmy mieszkanie bez dachu i tam znosiliśmy to, co zdołaliśmy wyciągnąć z gruzów. Nie było szyb, był za to styczniowy mróz. Robiliśmy wszystko, by pomóc naszej mamie, szukając pomocy nawet u Rosjan. Po jakichś 3 tygodniach mama wróciła do tego naszego domu bardzo jeszcze słaba, ale żyła. Najważniejsze, że była z nami. Gdy zaczęła się wiosna i pojawiły się deszcze, zakrywaliśmy tylko duże łóżka rodziców pożyczoną plandeką, żebyśmy chociaż spanie mieli suche, bo wszędzie z sufitów ciekła woda.

Nie było możliwości mieszkania w takich warunkach. Plakaty na mieście głosiły o konieczności zagospodarowania przyznanych nam ziem zachodnich. Tato wybrał się więc w maju 1945 roku szukać dla nas nowego domu. Gdy zobaczył zniszczenia Gdańska i Gdyni, pojechał dalej na dachu wagonu i wylądował

w Słupsku. Była tu już wojskowa rosyjska i polska administracja, dużo wolnych mieszkańców bez właścicieli, dużo niemieckich kobiet i dzieci.

Tato wrócił po nas, zabrano to co niezbędne i duże zapasy żywności i rodzice w czerwcu, a ja w końcu lipca, przyjechałam do Słupska.

Pamiętam nasze zażenowanie, gdy w asyście milicjanta z papierkiem w rękę przyszło się do cudzego mieszkania i oświadczyło, że mamy prawo tu wejść, mieszkać, zająć czyjeś miejsce w fotelu czy łóżku, spać w cudzej pościeli, jeść i pić z cudzych naczyń. Zamieszkaliśmy ze względów bezpieczeństwa w pobliżu innych Polaków. Właścicielka mieszkania, starsza już pani, usunęła się do jednego pokoju.

Cały czas towarzyszył mi strach, bo wiele osób mówiło, że będzie nowa wojna. Niemcy, których wtedy poznałam, nie byli już ani dumni ani uśmiechnięci. Nie wzbudzali strachu i lęku. Byli cichymi i zastraszonymi ludźmi, jak my za okupacji.

Nasza mama szybko doszła do porozumienia z frau Golman, która stała się naszą kucharką i gospodynią, jadła z nami, uczyliśmy się wzajemnie języków. My polubiliśmy ją, a ona nas.

Paradoksem było to, że krępujące nas, ale wspólne mieszkanie Polaków i Niemców wychodziło tym ostatnim na dobre, bo chroniło ich przed gwałtami i szabrownikami, którymi byli zarówno Polacy, jak i Rosjanie.

I tak, jak kiedyś bałam się Niemców i okupacji, tak zaczęłam żałować kobiet i dzieci niemieckich. Szczególnie dzieci, którym niektórzy dokuczali. Wszak wojna była, powinna być – domeną mężczyzn; dlaczego tak bardzo musieli cierpieć cywile?

NORMALIZACJA

Sytuacja w Słupsku i na świecie się normalizowała. Nowa wojna nie wybuchła. Niemcy wyjechali. Zaczęła się odbudowa. Dostrzegłam wtedy różnicę w poziomie wyposażenia mieszkań, kultury życia. W wielu niemieckich domach były instrumenty muzyczne. Zaczęłam szukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego my jako naród byliśmy w stosunku do nich tak zacofani.

W 1949 roku zdałam maturę, oboje rodzice już pracowali na państwowym, rodzeństwo się uczyło. W Słupsku byli ludzie z różnych zakątków Polski. Spotkałam koleżanki i kolegów starszych ode mnie, ludzi o różnych poglądach politycznych. Dowiedziałam się wówczas wielu nowych dla mnie rzeczy, o których nie wiedziałam. Wiedliśmy długie nocne spory, kto bardziej przyczynił się do powstania niepodległej Polski, chociaż nie była całkiem suwerenna, ale była jednak państwem uznanym przez cały świat, rządy zachodnie i była aktywnym członkiem Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Nawet nie wszyscy starsi pamiętają długi okres zimnej wojny. Mówiono, że Ziemię Zachodnie były nam dane tylko w tymczasową administrację, że granicę na Odrze i Nysie uznał rząd niemiecki i kanclerz Schmidt dopiero w 1971 roku, o ile dobrze pamiętam.

Można nie lubić ZSSR, ale trzeba pamiętać o tym jak było. Mówiło się, że Niemcy tu wrócą, a gwarantem naszych granic zachodnich był jednak Związek Radziecki.

ODBUDOWA

Mój nowy dom i moje miasto odbudowywało się i rozrastało. Powstały nowe dzielnice mieszkaniowe, nowe zakłady pracy, Fabryka Obuwia zatrudniająca 4 tysiące ludzi, Famarol zbudowano w nowym miejscu, Słupskie Zakłady Sprzętu Okrętowego, Fabryka Cukierków „Pomorzanka”, która wymyśliła i wypuściła na rynek ptasie mleczko.

Zbudowano tysiąc szkół na tysiąclecie, nowe żłobki, szpitale, przedszkola. Ruszyło spółdzielcze budownictwo mieszkaniowe. Powstały szkoły wieczorowe, zmuszono ludzi do doksztalcania się, bo już nie chęć szczerą a wiadomości decydowały o awansie. Można się dziś śmiać z bloków mieszkalnych budowanych z wielkiej płyty. Wówczas budowano tak nie tylko w Polsce, bo był to najszybszy i najtańszy sposób zaspokojenia głodu mieszkaniowego. Gdy spadł śnieg, wokół bloków roiło się od dzieci na sankach.

Życie nie było łatwe, brakowało tak wielu rzeczy... Pracowało się i chodziło do szkoły 6 dni w tygodniu, a nie jak teraz 5. W niedziele natomiast wprowadzono tak nie lubiane przez nas czyny społeczne. Szkoły wysyłano jesienią na wykopki ziemniaków, a pracowników do odśnieżania, latem do pomocy PGR-om. Oczyszczano cegły z zaprawy i wywożono ją do odbudowy Warszawy. Porządkowaliśmy teren wokół nowo wybudowanej szkoły, obecnie Akademii Pomorskiej i obsadzaliśmy go zielenią.

Nie na darmo nazywano Polskę najweselszym barakiem w obozie socjalizmu. Choć życie nie było lekkie, ludzie byli względem siebie bardziej otwarci i przyjaźni, niż obecnie. Ludzie pracowali, kochali się, pobierali, rodziły się dzieci, było weselej w pracy, niż dziś.

Nie było tak, jak się to przedstawia teraz, jakby ludzie tylko spiskowali, donosili, byli więzieni, bali się bardzo urzędu bezpieczeństwa.

Przede wszystkim zlikwidowano analfabetyzm, w czym ja mam też swój udział. Odbudowywano zniszczony wojną kraj, Warszawę, drogi i mosty, odrabialiśmy nasze straszne zapóźnienia cywilizacyjne. Byłam wtedy taka dumna, że mój

kraj znaczył coraz więcej w Europie i na świecie. Polska należała do Organizacji Narodów Zjednoczonych, która przyjęła m.in. plan Adama Rapackiego o utworzeniu strefy bezatomowej w Europie.

Nastąpił ogromny rozwój kultury. Mieliśmy najlepszą w Europie szkołę filmową w Łodzi, gdzie w skromnych warunkach tworzone cenne filmy. Mieliśmy wspaniały teatr telewizji, a gdy przed spektaklem miał krótkie wprowadzenie i omówienie sztuki Stefan Treugutt, robił to tak sugestywnie, jakby mówił z osobna do każdego słuchacza.

W Słupsku wymyślono Festiwal Pianistyki Polskiej, którego wierną słuchaczką byłam przez pierwsze 25 lat jego istnienia. Dzięki temu mogliśmy usłyszeć w naszym Słupsku takie sławy, jak Halina Czerny-Stefańska, Regina Smendzianka, Władysław Kędra czy Witold Małcużyński.

Ludzie nie pracowali z sympatii dla komuny, tylko dlatego, że tworzyło się coś potrzebnego i dobrego dla siebie i swoich dzieci. Wspólne wyjazdy, zabawy i pikniki integrowały załogę. Zdarzały się zresztą i zabawne historie.

Nie pamiętam daty, ale zebrano szkoły i zakłady na Placu Zwycięstwa przed ratuszem na wiecu poparcia czegoś tam. Były oczywiście transparenty i odpowiednie plansze z napisami niesione na kijach. Starszy pan dostał taką planszę, na której przyklejono litery tworzące napis: WITAMY POSŁÓW ZIEMI KOSZALIŃSKIEJ. Było to więc przed tym, nim zostaliśmy województwem słupskim. Stańliśmy na placu, kije oparto o ziemię i nagle ludzie z uśmiechem zaczęli patrzeć na starszego pana. Nikt nic mu nie mówił. Po kilkunastu minutach podeszło do niego dwu smutnych panów i zabrało go razem z transparentem do gmachu na Kilińskiego (UB). Potem zaczęła się spokojna rozmowa, dlaczego on, starszy pan, sprzeciwia się władzy ludowej. Człowiek zaprzeczył, nadal nie rozumiał o co chodzi. Wtedy kazano mu głośno odczytać niesiony przez niego napis. Okazało się, że swawolny wiatr oderwał jedną słabo przyklejoną literkę ze słowa i pan niośł transparent o treści: WITAMY OSŁÓW ZIEMI KOSZALIŃSKIEJ. Skończyło się na słownym pouczeniu, starszy pan nie miał innych przykrości z tego powodu. Wszyscy jednak, którzy to widzieli, uśmieali się serdecznie.

Dziś w dobie nadmiaru rzeczy, które możemy kupić w sklepach, nikt kto tego nie doświadczył na własnej skórze, nie zrozumie mojej radości z białej bluzeczki uszytej ze spadochronowego nylonu, czy pierwszej zakupionej w słupskim domu towarowym pary polskich już, wyprodukowanych w Gorzowie, stylonów w lekko fioletowym kolorze. I radości, gdy na talon kupiliśmy sobie radio AGA z magicznym zielonym oczkiem, gdy mogliśmy wieczorem słuchać wiadomości, muzyki i radiowego teatru (a był taki).

PRZEMYŚLENIA

Jestem wdzięczna rodzicom za to, że mimo zmiennych losów potrafili zachować dystans do doznanych nieszczęść, życzliwość dla ludzi, pogodę ducha i wiarę, że jutro będzie lepiej. Nie płakali nad utratą tego co mieli, ale cieszyli się, że wszyscy żyjemy.

Oboje całe życie ciężko pracowali, wiele stracili w roku 1939 w czasie ucieczki, a wszystko 17 stycznia roku 1945. Oboje przeszli przez więzienia gestapo i już po wyzwoleniu przez więzienie urzędu bezpieczeństwa. Nigdy jednak nie mówili z nienawiścią o tych, którzy wyrządzali nam krzywdę. I nie pozwalali nam dzieciom żywić do nich nienawiści. Dbano o naszą naukę i kładziono nam do łepetyń, że trzeba uczyć się, czytać, słuchać innych i dużo rozmawiać, szukać argumentów na poparcie własnego zdania. Wiedza, którą zdobywa się dzięki nauce, pozostanie w głowie, bez względu na wojny i zawirowania losu. Człowiek, który ma wiedzę, łatwiej pokonuje trudności i znajduje wyjście z różnych życiowych problemów. Czy udało mi się przekazać to swoim dzieciom i wnukom?

Przeżyte ponad 3/4 wieku ośmiela mnie do napisania tego, jak widziałam i widzę wiele rzeczy. Zdaję sobie sprawę, że to nie jest obecnie trendy, że wielu myśli inaczej. Nie chcę przekonywać nikogo, by widział to tak samo, jak ja. Ale też nie chciałabym, by na siłę, nachalnie zmuszano mnie do przyjęcia innych poglądów. Nie myślę o sobie, że jestem mądra, że mam monopol na prawdę. Wiem, że tylko z różnorodności i różnicy zdań może powstać coś dobrego.

Przypomniało mi się góralskie powiedzenie: co gadają – słuchaj, swoje myśl, a kuferek zamknij (czyli pieniędzy nie sięgaj). Wcale nie jest to takie głupie.

Nie wszystko w latach 1945 – 1989 było złe i nie wszystko, co jest teraz uzyskuje moją aprobatę. Praca jest niezbędna człowiekowi, aby czuł się w pełni człowiekiem, potrzebnym rodzinie i społeczeństwu. Każdy winien ją wykonywać najlepiej, jak potrafi. Źle się dzieje, jeśli pracy i godziwego zarobku trzeba szukać poza granicami kraju.

Szukałam w życiu odpowiedzi na wiele zadawanych sobie pytań i przyznaję, że nie na wszystkie znalazłam odpowiedź. Im jestem starsza, tym bardziej zdaję sobie sprawę, jak niewiele wiem o otaczającym mnie świecie.

Wiem jednak na pewno, że:

- Wojna jest jedną z najgorszych rzeczy, które dotyczą ludzkość, bo wyzwała w normalnych zdawałoby się ludziach najgorsze instynkty i okrucieństwo.
- Każda walka kończy się przy stole rokowań. Ktoś uznaje się za pokonanego, a przeciwnik za zwycięzcę. Dlaczego więc nie usiąść do tego sto-

łu wcześniej i kolejnymi kompromisami nie doprowadzić do zażegnania konfliktu? Dlaczego trzeba do tego dojść po przelaniu morza krwi i totalnego zniszczenia ludzi i majątku?

- Oglądałam uroczystości związane z rocznicą powstania warszawskiego. Panowie, którzy wojnę i walkę znają najczęściej ze słyszenia, gloryfikują tę walkę mając podatną młodzież hasłami i wartościami.
- Dlaczego pomija się zupełnie śmierć 200 tysięcy ludzi, cywili i powstańców? Nie mówi się o tym, że walka to ból, strach, lęk, cierpienie, brud, głód i zmęczenie do granic utraty przytomności. Przebieranie młodzieży w powstańcze i niemieckie mundury, udawanie walki, oklaski publiczności to dla mnie profanacja powstania i tych co polegli. Złożenie kwiatów, zaduma, modlitwa – tak! Ale nie taka zabawa w wojnę. Bohaterowie powstania leżą na cmentarzach, a ci którzy je wywołali, dożyli swego życia w dobrobycie poza granicami kraju.
- Dlaczego pierwszego Polaka, który był mądry przed szkodą i zapobiegł walce bratobójczej i morzu krwi, ciągnie się po sądach, chce odebrać emeryturę, na którą zasłużył całym swoim życiem służąc ojczyźnie takiej, jaka była, bo inna być nie mogła, a bandytom i zdrajcom stawiamy pomniki?
- Dlaczego wysoki urzędnik naszego kraju mówi publicznie rzeczy typu: hołota stworzyła ustrój dla hołoty, spieprzaj dziadu, ta małpa w czerwonym? A potem dziwi się, że odnoszą się ludzie do niego samego bez należytego uszanowania?
- Dlaczego słowa ludzi mądrych, jak kardynał Wyszyński, Aleksander Małachowski czy Giedroń, których nie można posądzać, że byli fanami ustroju, tak do niewielu trafiały głów? A oni mówili o tym, że trzeba pracować w warunkach takich, jakie nam stworzono.
- Chyba większość ludzi wie i rozumie, że na całym świecie władza ma środki przymusu i wszędzie opozycja ma z władzą kłopoty. Dlaczego więc się dziwimy, że u nas było i jest tak samo?

Nie byłam żadną działaczką społeczną, ani nie zajmowałam w życiu żadnych ważnych stanowisk. Starłam się zawsze to, co robiłam, robić najlepiej, jak potrafię. Tę zasadę starałam się przekazać swoim najbliższym.

Znajomością świata i wiedzą już dawno przerosły mnie, i dzieci i wnuki. Obcowanie z nimi daje nam, dziadkom, wiele radości. Jestem szczęśliwą babcią moich ukochanych wnuków. Czasem tylko myślę o tym, aby obecne pokolenie młodych nigdy więcej nie zaznało wojny, walki, strachu i upokorzenia, które było udziałem mojego pokolenia.

Od pracy i jej jakości każdego z nas zależy dobrobyt i znaczenie naszej ojczyzny w świecie. Myślę o tych milionach ludzi, którzy swą pracą odbudowali kraj, infrastrukturę, którzy pracując tak wiele, otrzymywali za swą pracę tak mało. Każdy jednak z tych bezimiennych obywateli i my, którzy jeszcze żyjemy działaniem, lepszym czy gorszym, nie zdając sobie z tego sprawy, tworzyliśmy i tworzymy nadal dobrobyt i historię Polski.

Może ten wkład był mały, ale tworzyliśmy jednak HISTORIĘ. Starajmy się naszym dzieciom i wnukom pozostawić po sobie kraj i świat chociaż trochę w lepszym stanie, niż go zastaliśmy.

Szczęśliwa babcia

PRZYJECHALIŚMY NA POMORZE

Listopad 1946 roku. Ze stacji kolejowej w Grodnie wyjeżdża transport repatriantów – Polaków do Polski. W jednym z wagonów jest moja rodzina. Radzieccy pogranicznicy ściśle kontrolują, czy nie ma osób obcych. W wagonach oprócz ludzi był inwentarz żywy i pasza, stąd możliwość ukrycia się osoby nie posiadającej odpowiednich dokumentów ewakuacyjnych.

Jako kilkunastoletni chłopiec byłem ciekawy jak wygląda granica państwowa i wjazd do Polski. Wiedziałem, że granica jest niedaleko Grodna. Pociąg z wagonami towarowymi był podstawiony na tzw. wąski tor i mógł bezpośrednio wjeżdżać do Polski, bez przeładunku. Pamiętałem Polskę z okresu przedwojennego.

Nakaz – zamknąć wagony – i pociąg ruszył. Rosyjscy pogranicznicy dojechali z nami do granicy. Pociąg przystanął i oni wysiedli. Otworzyliśmy drzwi wagonu i patrzyliśmy, jak przejeżdżamy granicę i wjeżdżamy do „naszej Polski”. Było widać jak w innych wagonach było tak samo – ludzie wychylali głowy.

Pierwszy postój był w Białymstoku. Zostaliśmy mile przyjęci. Do pociągu przyniesiono pojemniki z posiłkiem. Była smaczna zupa. Organizował to Państwowy Urząd Repatriacyjny. Pierwsze, na co zwróciłem uwagę, to żołnierze w polskich mundurach z orzełkami na czapkach. Jechaliśmy na Ziemię Odzyskaną przez Warszawę. W Warszawie na bocznicę staliśmy przeszło dobę. Widziałem duże zniszczenia. Morze gruzów. Myślałem wtedy o okropnościach wojny.

O powstaniu warszawskim nic wówczas nie wiedziałem. Tam, gdzie mieszkalem w pow. wołkowyskim gazety rosyjskie niczego nie pisały.

Dalsza podróż przez różne miasta trwała przeszło tydzień. Na niektórych stacjach postoje trwały nieraz cały dzień. Powiedziano nam, że jedziemy na Pomorze.

Dojechaliśmy do Szczecinka, później do Białogardu, Koszalina, Sławna i na koniec do Słupska. Na każdej z wymienionych stacji myśleliśmy, czy już nas będą wyładowywać. Przecież byliśmy już na Pomorzu.

Był grudzień 1946 roku. W Słupsku odstawiono pociąg na bocznicę i kazało się wyładowywać. Po wyładowaniu, mienia nasze przewieziono do baraków przy obecnej ul. 3 Maja.

Byliśmy tam przeszło tydzień. Państwowy Urząd Repatriacyjny rozpoczął osiedlanie przybyłych repatriantów. Ponieważ mój ojciec był rolnikiem i pozostawił gospodarstwo rolne, został osiedlony we wsi Wierzchocino gm. Głównicyce. (Wieś ta leży na szlaku ze Słupska do Smołdzina przez Zelkowo, Choćmirowo, Witkowo i jest oddalona od Słupska o ok. 27 km.) Otrzymał gospodarstwo rolne o obszarze 15 ha. Budynek mieszkalny i inne zabudowania były zabytkowe. Był to nieduży dawny dworek. Budynek mieszkalny był dość obszerny. Lewą stronę zajmował Niemiec-rolnik posiadający wymienione gospodarstwo rolne, a stronę prawą Niemiec – leśniczy. Za budynkiem głównym był jeszcze stary dom mieszkalny – oficyna należąca do gospodarstwa rolnego.

Oprócz wymienionych rodzin mieszkali jeszcze dwie rodziny niemieckie-uciekierów z Prus Wschodnich. Jedna rodzina mieszkała w pokoju na poddaszu, a druga w oficynie. W lewej części budynku należącym do gospodarstwa rolnego było mieszkanie składające się z 2 dużych pokoi, przedpokoju i komórki. Po zajęciu przez nas tego mieszkania Niemiec – gospodarz z rodziną przeniósł się do mieszkania w oficynie. Tam były w sumie 3 pokoje i kuchnia. W prawej części głównego budynku – mieszkanie leśniczego, składało się z 3 pokoi. Kuchnia była duża w środku budynku, dla obu rodzin. W kuchni była obmurowana studnia z wstawioną pompą. Pompa była sprawna, a woda dobra.

Razem z Niemcami mieszkaliśmy do lata 1947 r. W całej wsi było wtedy jeszcze dużo Niemców. Wielu osiedleńców Polaków mieszkało razem z Niemcami. Do dzisiaj mam w pamięci jak niemieckie dzieci przychodziły do nas i przynosiły obierki od ziemniaków, a my im dawaliśmy mleko. Przywieźliśmy ze sobą kilka krów, dlatego mieliśmy mleko dla siebie i część mogliśmy przeznaczyć dla innych. Obierki wykorzystywaliśmy na paszę dla inwentarza.

Gospodarz – Niemiec miał syna w moim wieku. Zaprzyjaźniłem się z nim. On mnie uczył słówek niemieckich, a ja jego polskich. Po wyjeździe pisał do mnie. Współżycie między nami, a mieszkającymi Niemcami było zgodne. Na wiosnę

1947 r. nawet pomagali nam przy zagospodarowaniu ziemi, która leżała ugiorem. Gospodarz – Niemiec radził, gdzie co posiać i posadzić. Pomagał przy sadzeniu ziemniaków, brukwi i sianiu zboża. Myśmy dawali im mleko.

W miesiącach letnich 1947 r. prawie wszyscy Niemcy ze wsi wyjechali za Odrę. Mieszkających u nas Niemców odwoziłem parokonnym wozem do Główniczyc, gdzie była ich zbiórka. Na mieszkanie po byłym leśniczym Niemcu przybył leśniczy Polak. Był to człowiek bezduszny i konfliktowy. Uważał, że on w tym budynku jest najważniejszy i musi być wszystko tak jak on chce. Nie ukrywał, że jego celem jest wyrzucenie nas i zajęcie całego obiektu na leśnictwo. Zamknął dostęp do kuchni i wody. Twierdził, że możemy korzystać z kuchni w oficynie, a po wodę chodzić do sąsiadów. Żadne skargi pisane przez nas nie dawały rezultatu. Lekceważył wszelkie nakazy władz. Trwało to ponad rok. Widząc, że nie osiągnie celu, odszedł. Na jego miejsce przyszedł leśniczy – starszy człowiek, z którym stosunki układały się bardzo dobrze. Za wsią, w stronę lasu, było gospodarstwo rolne z ładnymi budynkami. Ponieważ mieszkający tam rolnik opuszczał gospodarstwo, przejęło je leśnictwo. Leśniczy wyprowadził się z naszego budynku. Cały budynek mieliśmy do swojej dyspozycji.

Wierzchocino w owym czasie było wsią dość atrakcyjną. Mała rzeczka dzieli wieś na dwie części. W jednej i drugiej części wsi były wodociągi sprawnie działające. Ludzie mieli w swoich zagrodach wodę w kranach. Do budynków naszego gospodarstwa woda z wiejskiego wodociągu nie była doprowadzona. W 1947 roku prawie wszystkie gospodarstwa były zajęte przez Polaków. Wśród rolników był duży zapał do gospodarowania. We wsi były 2 prywatne sklepy. W pobliskich: Smołdzinie i Gardnie Wielkiej były sklepy rzeźnicze i inne. Rolnicy mogli swobodnie sprzedawać żywiec i inne artykuły rolnicze. Wkrótce jednak wprowadzono obowiązkowe dostawy zboża, ziemniaków i żywca. Powstała Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska” – przejmująca całość handlu. Za dostarczone produkty, z dostaw obowiązkowych płacono mniej niż na wolnym rynku. Rolników to w znacznym stopniu zniechęcało do intensywnego gospodarowania. Kojarzono to ze wzorami radzieckimi, znanymi przez repatriantów. Wśród osadników byli tacy, którzy przejęli wcześniej atrakcyjne gospodarstwa jednoosobowo. Nie mieli zamiaru gospodarować, ale wykorzystać materialnie na swój sposób. Za odpowiednie „odstępne” oddawali gospodarstwo innym. Zwykle wcześniej je „oszabrowali” wywożąc meble i inny sprzęt. „Odstępne” (odpowiednio umówiona kwota pieniędzy) traktowano wtedy jako coś normalnego. Strony jechały do urzędu powiatowego i gospodarstwo przepisano na drugiego osadnika. Takich przypadków we wsi znałem kilka.

Zima 1947 roku. 19 stycznia 1947 r. wybory do Sejmu Ustawodawczego. Pamiętam nasiloną propagandę głosowania na tzw. Blok Demokratyczny, a w rozmowach między sobą ludzie mówili, że to głosowanie na PPR, na komunistów. Przeciwnym było PSL z Mikołajczykiem. Dla pilnowania porządku było zorganizowane ORMO (Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej) – przeważnie z członków PPR. Czasem przyjeżdżali milicjanci z posterunku w Głównych. Wybory wygrał „Blok Demokratyczny”. Ludzie komentowali różnie, między innymi mówili o fałszerstwie. Ludność polska we wsi składała się z repatriantów i osadników z różnych województw Polski. Później przybyło parę rodzin „Ukraińców” z akcji „Wisła”. Byli spod Sanoka i Leska. W mowie potocznej określano repatriantów jako „zabugowcy”, innych jako „centralniacy” lub „Ukraińcy spod Sanoka”. Współżycie różnych grup ludności było na ogół zgodne, chociaż nie brakowało różnych uszczypliwych słów, jednych przeciwko drugim. Każda grupa miała swój sposób bycia, język i obyczaje. Najszybciej integracja w poprawności używania języka polskiego kształtowała się u dzieci i młodzieży.

W latach 40. ubiegłego wieku młodzieży na wsi było dużo. W Wierzchocinie była dość duża sala do zabaw i imprez. Organizowane były zabawy, na które ścigała też młodzież z okolicznych wsi jak Witkowo, Siecie, Żelazo i innych dalszych. Zawsze sala była pełna. Czasem po spożyciu alkoholu wynikały bójki, ale bez większych następstw. Czasem bywał jakiś milicjant i wtedy było spokojniej. Więcej było małych potańcówek, organizowanych przez miejscową młodzież. Przeważnie przygrywał na akordeonie miejscowy rolnik Konstanty Mastalerz. Jedna z koleżanek grała na mandolinie na spotkaniach towarzyskich. Prawie codziennie wieczorami młodzież się spotykała w domach lub latem na powietrzu. Śpiewano, grano we flirt (flirtowano), opowiadano dowcipy, zawiązywały się sympatie. Były też śluby i wesela – tradycyjne z orszakiem drużbów. Koniecznie do kościoła trzeba było jechać bryczkami, zaprzęgniętymi w dwa konie.

U niektórych gospodarzy były poniemieckie bryczki, które za niewielką opłatą wypożyczano. Ambicją drużbanta było wieźć swoją druhną bryczką do kościoła. Wesela były w domach – z obfitym jadłem i pićmi do białego rana, a na następny dzień młodzi organizowali poprawiny. Oprócz zabaw, na scenie w sali młodzież wystawiała sztuki teatralne. Dwie z nich pamiętam. Były to „Zaloty na kwaterze” oraz „Poseł czy kominiarz”.

Organizowaliśmy też „herody” w czasie świąt Bożego Narodzenia. Chodziliśmy z „herodami” do innych wsi. Ja miałem rolę Anioła.

We wsi była szkoła powszechna. W okresie jesienno-zimowym były zorganizowane kursy dokształcające w zakresie 7-klasowej szkoły powszechnej. Uczęszczała na nie młodzież niepodlegająca obowiązkowi szkolnemu. Między innymi ja. Uczyli: p. Malicka – kierownik szkoły i p. Midura – nauczyciel. Wśród młodzieży

powołana została organizacja „Służba Polsce”. Należec do niej musieli wszyscy w odpowiednim wieku. Co jakiś czas przyjeżdżał instruktor i prowadził szkolenia. Raz na miesiąc lub częściej musieliśmy chodzić do Głównicy na szkolenia – przeważnie ideologiczne. W gminie był do tego odpowiedni instruktor.

W 1950 roku dostałem powołanie do brygady S.P. i nakaz wyjazdu do pracy na budowy socjalizmu. Specjalnym pociągiem towarowym zawieziono nas, junaków ze Słupska, Koszalina, Stargardu Szczecińskiego i Szczecina na Śląsk, do 23 brygady P.O.S.P. Brygada znajdowała się w miejscowości Wysoki Brzeg, niedaleko Mysłowic. Pracowaliśmy przy różnych wykopach służących do budowy elektrowni „Jaworzno II”. Praca odbywała się tylko ręcznie przy pomocy łopat, taczek i wagoników, na które ładowaliśmy urobek. Pchaliśmy te wagoniki po prowizorycznie ułożonych torach do ich wyładowania. Jeden dzień w tygodniu było szkolenie wojskowe. Był letni miesiąc i było bardzo gorąco. Do picia była gorzka, czarna kawa i to nie zawsze w wystarczającej ilości.

Rok 1950 zapoczątkował plan 6-letni budowy przemysłu ciężkiego. Namawiano nas, by jechać na budowę Nowej Huty. Poprzedni plan 3-letni był planem odbudowy obejmującej lata 1947-1949. Na szczęście mogłem wrócić do domu.

Moja praca koncentrowała się w gospodarstwie rolnym ojca. Brałem udział we wszystkich pracach polowych i w gospodarstwie domowym. Jak wspomniałem było 15 ha ziemi oraz 2 konie, 5 krów, owce, świnie, drób. Wszystkie prace polowe trzeba było wykonywać przy pomocy koni i ręcznie. Opisywanie wszystkich prac zajęłoby dużo miejsca. Praktycznie cały dzień byłem zajęty.

W styczniu 1948 roku siostra wyszła za mąż i nie mieszkała już z nami. Byłem w domu najstarszy. Troje młodszego rodzeństwa uczęszczało do szkoły. Matka (macocha) chorowała i niewiele mogła pracować. Zastanawiałem się... co dalej.... Obowiązkowe dostawy – coraz większe, gnębiły rolników mających większe gospodarstwa. Niewywiązywanie się w terminie groziło aresztowaniem lub wzywaniem do UB „na rozmowę”. Po roku 1948 zaczęto mówić o spółdzielniach produkcyjnych. Początkowo nikt nie wierzył, że w Polsce będą organizowane „kołchozy” jak w ZSRR. Repatrianci ze Związku Radzieckiego wiedzieli, co one znaczą.

Rok 1950 to czas nasilonej propagandy organizacji spółdzielni produkcyjnych. Bogatsi rolnicy nazywani byli „kułakami”. Ja z innymi kolegami chodziliśmy do pana Ościka słuchać radia „Londyn”. Miał on dobry radiodbiornik, bo był specjalistą od naprawy tych aparatów.

W 1950 r. miałem już swój radiodbiornik – nowy „Orion” produkcji węgierskiej. Udało się go kupić. Młodzieży powoli na wsi zaczęło ubywać. Szukano

pracy poza rolnictwem. Niektórzy rolnicy myśleli o opuszczeniu gospodarstw. Przychodził do mnie młody nauczyciel. Razem słuchaliśmy radia i dyskutowaliśmy na różne tematy. Namawiał mnie do kształcenia się i pracy w tym zawodzie. Skorzystałem z jego rady. Rok 1950 był ostatnim rokiem mojego zamieszkania w Wierzchocinie. Ojciec był zaliczony do kułaków, więc nie widziałem sensu dalej być na gospodarce i pracować w rolnictwie.

1 lutego 1951 roku opuściłem mój „nowy dom”. Zacząłem się uczyć i pracować w innym zawodzie. TO JUŻ JEST INNA HISTORIA. Ojciec gospodarstwo opuścił w 1953 roku. Kilku innych rolników z tej wsi też tak uczyniło. Po ojcu nikt gospodarstwa nie objął. Ziemia przeszła na Państwowy Fundusz Ziemi, a budynki uległy zniszczeniu. Dom z początku XVIII wieku, a stodoła z XVII wieku. Ludzie miejscowi rozebrali to zabierając drzewo na opał, a z murów cegłę. Nic z tego domu nie zostało.

Wieśniak









OBRAZY W OKRUCHACH

Razem z dużą grupą warszawiaków przyjechaliśmy do Słupska w 1945 roku. Rodzice na tę okoliczność zaopatrzyli mnie w nowe czerwono – granatowe półbuty, które podstawiłam pod rynnę z ciekącą deszczówką, żeby bardziej błyszcząły.

Pociąg, który nas wiozł z Warszawy do Słupska na pewnym odcinku był ostrzeliwany. Pamiętam, że trzeba było schować się pod ławki w wagonie i tak przetrwać ten ostrzał. Nic mi nie wiadomo o ofiarach tego incydentu. W starym dowodzie osobistym moje zameldowanie ma datę 1945 rok 17 lipiec w Słupsku ulica Gen. Roli – Żymierskiego 36/7. Mieszkanie przydzielone mojej rodzinie było duże: około 120 metrów kwadratowych na trzecim piętrze, z balkonem od ulicy i dużym zapleczem od podwórka w postaci okazałego zadbanego ogrodu z drzewami owocowymi. Podwórko odgrodzone było murowanym płotem od jeszcze większego terenu z miejscami tylko zadaszonych pomieszczeń. Sądzę, że były to stanowiska dla koni, gdyż teren był rozległy i wyglądał na jakąś zajezdnię konną, ale nie wiem, co tam naprawdę było przed naszym przyjazdem. Dla nas, dzieciaków było to miejsce wspaniałych i wymyślnych zabaw.

Przez jakiś czas na tym dużym obszarowo terenie przebywały rodziny przesiedlane z terenów Ukrainy, oczekując na przydział stałego zamieszkania w Polsce pod patronatem Państwowego Urzędu Repatriacyjnego tzw. PUR-u.

W naszej świadomości byli to ludzie, o których mówiło się wówczas, że są to rodziny związane z bandą UPA, a więc odpowiedzialni za bestialskie mordy dokonywane na Polakach zamieszkujących tereny wschodnie Polski. Ludzie ci byli

małomówni jacyś, zamknięci w sobie i nieufni. Tak ich zapamiętałam, gdy jako dzieciak biegałam wśród nich. Z tych też powodów nie nawiązałam żadnych przyjaźni z rówieśnikami.

Przez krótki czas mieszkaliśmy razem z niemieckimi lokatorami. To była trójka starszych osób. Dwie kobiety i mężczyzna. Nazywał się Alfred Baumgarten. Oni zajmowali wspólnie część mieszkania, a my duży pokój. Nie byli nastawieni do nas przychylnie i to dało się odczuć, a ja tę nieprzychylność odczuwałam szczególnie, po prostu się ich bałam. Do dziś pamiętam żebrzących, mówiących po niemiecku ludzi „bitte stiken ein brot” – „proszę o kawałek chleba”. Mama zawsze się czymś podzieliła.

Znakiem, że mieszkanie jest już w dyspozycji Polaków było wywieszanie biało-czerwonej flagi.

Po latach zrozumiałam sens zamieszkania w budynku wielopiętrowym i to na najwyższym piętrze. Wówczas zasiedlenie domku jednorodzinnego było niebezpieczne zwłaszcza dla cywilów. Po mieście grasowały bandy rabusiów i dla doraźnych korzyści materialnych, a także ze względów politycznych dochodziło do morderstw. Cywilni mieszkańcy ze względu na zakaz posiadania broni, nie mieli czym nawet postraszyć bandziorów.

Tato mój miał zawód mechanika, ślusarza, hydraulika a w czasie wojny zajmował się rusznikarstwem na potrzeby Armii Krajowej. Jako jeden z niewielu przybyłych wówczas do Słupska rodaków posiadał zdobyte jeszcze przed wojną uprawnienia rzemieślnicze w tych zawodach. Kontynuował więc swoją pracę w ten sposób, że wydobywał z gruzów z ludźmi różne maszyny i urządzenia techniczne. Potem je remontował dla potrzeb ówczesnej gospodarki słupskiej. Najwięcej ich było na spalonej przez Armię Czerwoną starówce.

Furią niszczenia objęte były: obecna ulica Mostnika, Grodzka i cały rozległy teren w okolicy kina Milenium oraz kościoła Mariackiego.

Chodząc z rodzicami po gruzach tej dzielnicy znajdowaliśmy wiele różności. Mnie najbardziej ucieszył znaleziony wózek dla lalek. Był drewniany z bocznymi szybkami, ale bez kółek. Zamiast lalek, których nie miałam, układałam w nim kolorowe szmatki.

Obecna ulica Francesco Nullo była miejscem wypadku mojego ojca i bardzo niebezpiecznym incydentem dla nas wszystkich.

W czasie wydobywania z gruzów wielkiej maszyny drukarskiej został przez tę maszynę przygnieciony. Przypadkowo przejeżdżający tamtędy furman, zmuszony siłą, zawiózł tatę do szpitala wozem drabiniastym na ulicę Sienkiewicza 8 – bo tam znajdował się wtedy szpital. Tato doznał złamania kręgow piersiowych i wspianiałym lekarzom zawdzięcza to, że nie został kaleką do końca życia. Na tejże ulicy F. Nullo, nad samą rzeką, znajdował się dobrze zagospodarowany, a przydzielony nam ogród warzywny. Tam (też obecnie) znajduje się budynek z czer-

wonej cegły – w pobliżu Baszty Czarownic. Stacjonowała tam jednostka Armii Czerwonej. Od naszego ogrodu dzielił ją wysoki, drewniany parkan. W tych domkach zamieszkiwały jeszcze w tamtych czasach rodziny niemieckie, a że był to teren jednostki radzieckiej, więc mieszkańcy – a raczej mieszkanki tych domów traktowane były przez tych żołnierzy bestialsko i brutalnie, o czym świadczyła porzrzucana w koło i na naszej działce również odzież i przedmioty osobiste tych kobiet. Nigdy jednak nie spotkałam tych ludzi.

Nas też spotkało tam niebezpieczeństwo. Pewnego dnia, a była to niedziela letnia, wbiegł do ogródka pijany żołnierz radziecki i z pepeszy strzelał do nas na oślep. Ja wpadłam ze strachu w krzaki pokrzyw, mój brat schował się za krzak porzeczek, a mama trzymając dwuletnią siostrę na rękach próbowała go odobruchać, mówiąc: – I ty, mój brat chcesz do mnie strzelać? Pomyślałam wówczas, że przybył mi nowy wujek. Pewnie ta strzelanina skończyłaby się tragicznie, ale moje wrzaski usłyszał wartownik zza płotu. Wpadł do ogródka, chwycił strzelającego za rękę i kazał nam uciekać krzycząc: – uciekaj pani, uciekaj!... Nie wiem, jak skończyła się ta szarpanina, ale za naszą uciekającą grupą padały jeszcze – na szczęście – niecelne strzały.

Przy dworcu miały początek dwie linie tramwajowe nr 1 i 2. Oddzielone wysepką, takim niby peronem. Obie zaczynały swą trasę wzdłuż obecnej ulicy Wojska Polskiego. Linia numer 2 skręcała w lewo w obecną al. Sienkiewicza, Kilińskiego, koło cmentarza aż do stadionu. Linia nr 1 natomiast skręcała w prawo i wiodła przez ulicę Armii Krajowej, Henryka Pobożnego, a koniec trasy był przy Lasku Południowym. Obecny Park Słupszczan wtedy jeszcze nie istniał. Tam wówczas był budynek, który w mojej pamięci zachował się pod nazwą „Domu Kolejarza” i usytuowany był w parku. Na obecnej ulicy Starzyńskiego istniał zabytkowy zajazd poczty konnej, który był jeszcze na początku lat siedemdziesiątych. Uważam, że nierozsądne było likwidowanie tego obiektu. Również nierozsądne było likwidowanie teatru starego z pięknym, stylowym wnętrzem. Dziś jest tu kamień upamiętniający twórcę esperanto – Ludwika Zamenhofa.

Ulicami zgruzowanego miasta uczęszczałam na lekcję religii do nieistniejącego już budynku sióstr zakonnych przy starych murach obronnych obok kościoła Świętego Jacka. Wówczas gruzy starówki w okolicach obecnego kina Milenium, a zwłaszcza kościół Świętego Mikołaja (obecnie jest tam biblioteka) były wielką frajdą. W tych właśnie gruzach próbowało się smaku zapalonego po kryjomu papierosa i urządzaliśmy ćwiczenia na odwagę. Odważny był, kto potrafił wspiąć się po schodach dzwonnicy tego zburzonego kościoła. Schodów było dużo, były kręte i w tej wąskiej przestrzeni było ciemno i naprawdę niebezpieczne. Mnie się udało ten strach pokonać tylko dwa razy.

Dla rodziców Warszawa była zawsze wielką miłością i często powtarzali, że jeszcze bodaj na kolanach a do niej powrócą. Niech tylko coś w tym kraju

się zmieni i AK-owcy nie będą musieli się ukrywać, to spełnią się ich marzenia. Ale tego nie doczekali.

Wielkim patriotycznym wydarzeniem w naszym mieście było odsłonięcie pierwszego w Polsce pomnika Powstania Warszawskiego. Uczestniczyłam z rodzicami w tej uroczystości. Stojąc w tłumie dorosłych osób zapamiętałam rozłożyste drzewo kasztanowca, pod którym staliśmy. Pamiętam, że z wielkim wzruszeniem zgromadzeni tłumnie ludzie śpiewali pieśń o Warszawie: „Warszawo, ty moja Warszawo, tyś treścią mych marzeń i snów...”. W moim domu mówiło się, że cegły do budowy ściany tego pomnika przywożone były przez kolejarzy ze zburzonych domów Warszawy – ale czy tak było, to nie wiem. Nie pamiętam jak długo, ale przez kilka lat o godzinie siódmej i piętnastej w mieście wyły syreny wzywając ludzi do pracy. Również dźwięki dzwoniących tramwajów tworzyły swojską atmosferę miasta, podobną do tej, jaką pamiętam z Warszawy.

Na wakacyjny wypoczynek wysłano mnie na kolonie. W pamięci utkwiła mi zorganizowana przez TPD kolonia w Gardnie w roku 1948. Umieszczono nas nad samym jeziorem w wielkim pawilonie. Niedaleko nas usytuowany był obóz harcerek z Łodzi. Zaprzyjaźniliśmy się z nimi, organizowaliśmy wspólne ogniska. Gdy wesołe i bez troskie wyruszały na jezioro motorówką z przyczepionymi do niej łodziami rybackimi, to nikt z nas nie sądził, że widzimy się po raz ostatni. W czasie naszej ciszy poobiedniej słyszeliśmy wrzaski i krzyki od strony jeziora, ale sądziliśmy, że to okrzyki radości. Dopiero, gdy przyplłynęły wpław do brzegu dwie druhny, dowiedzieliśmy się o tragedii zbiorowego utonięcia ponad 40 osób. Natychmiast rozpoczęto akcję ratunkową, a my z całą salą kolonistów zaczęliśmy się modlić o jak największą ilość ocalonych. Dziś w Gardnie stoi kamień informujący o tej tragedii. Przyczyna tego zdarzenia interpretowana była tak: łańcuchami do motorówki były przyczepione trzy łodzie. Jedna z nich załadowana osobami przechyliła się i pociągnęła na dno resztę. Po tym tragicznym wydarzeniu został mi uraz do czarnej jak otchłań wody, bo taka jest w jeziorze Gardno.

Gdy na początku lat 60 na starówce rozpoczęto prace związane z budową nowych domów mieszkalnych, na ulicy Grodzkiej odkopane zostały kości ludzkie. Wtedy byłam studentką i po zdanym egzaminie z anatomii umiałam rozpoznać po budowie kości płeć człowieka. Według mnie przeważały kobiety. Potwierdzałyby to informacje, że na tym terenie znajdował się kiedyś klasztor i mogło tam być miejsce pochówku zakonnic. Nie bez powodu miasto Słupsk w starych dokumentach określone było „małym Paryżem”, gdyż faktycznie było piękne, zagospodarowane i funkcjonalne, wtopione w pielęgnowaną zielen parków i ogrodów oraz niedeptanych trawników. Było to miasto czyste i pomimo zniszczeń wojennych jeszcze piękne – szkoda, że to piękno tak bezmyślnie likwidowały kolejne ekipy włodarzy miasta.

Swoją edukację rozpoczęłam w przedszkolu, a potem w Szkole Podstawowej nr 3 im. Marii Konopnickiej w Słupsku – patronki walczącej o polską szkołę w czasach zaborów, ale w atmosferze wstępowania Polski do Unii Europejskiej – Konopnicka przestała być atrakcyjną patronką, a może wstydlivym symbolem i szkole nadano imię Schumana. Podobno bardziej pasuje do budynku, w którym zamiast siedmio- a potem ośmioklasowej szkoły podstawowej jest teraz gimnazjum.

Moja droga do tej szkoły wiodła przez teren obecnego przedszkola na ulicy Wileńskiej. Wówczas było tam gruzowisko, które w ramach czynów społecznych uczniowie odgruzowywali, ponieważ wówczas szkoła musiała spełniać również wymogi przekształcenia młodych umysłów. Służyły temu codzienne apele przed lekcjami, na których dyżurny uczeń odczytywał prasówkę z określonej gazety. Nie mogło tam zabraknąć informacji o doskonałości narzuconego nam ustroju i świetlanej przyszłości krajów w przyjaźni „z sierpem i młotem”. Apel kończył się odśpiewaniem Międzynarodówki. Pamiętam kilka incydentów, jakie na tle politycznym wydarzyły się w szkole. Na jednej z lekcji chłopak siedzący w ławce przy ścianie – a ławki były nawet ośmioosobowe – wydułbał oczy Stalinowi w gazetce ściiennej. Awantura była straszna. Chłopaka potępiano publicznie na apelu i relegowano go ze szkoły. Był on moim sąsiadem zza ściany i wiem, że gorliwy ojciec za ten czyn wyrzucił go z domu. Inne wydarzenie to aresztowanie Hirka Dobrowolskiego, którego oskarżono o przynależność, czy nawet organizowanie z rówieśnikami jakiejś tajnej organizacji zagrażającej ustrojowi państwa. Chłopak – uczeń szóstej klasy musiał być wielkim zagrożeniem dla ustroju państwa, bo spotkały go straszne represje. Nie wiem nic o jego losach obecnych.

W pierwszych latach po wojnie (w każdym dniu nauki szkolnej) podawano nam do picia tran, aby nie było mdłe to przynosiło się z domu na zakąskę cebulę i sól. W ramach dożywiania otrzymywaliśmy paczki z UNRRY. Zawierały one dużo smakołyków, witamin, czekolady, mleka w proszku i wiele różnych wartościowych odżywek, ale najfajniejsza była guma do żucia i oranżada w proszku. W szkole podstawowej i średniej obowiązywało umundurowanie jednolite. Szczególnie w szkole średniej obowiązywały tarcze szkolne na lewym rękawie i obowiązkowo noszonym berecie. Przerwy w szkole podstawowej zagospodarowane były przez dyżurujących nauczycieli. Organizowali oni różnego rodzaju zabawy na korytarzu lub boisku szkolnym. Niektóre z nich pamiętam do dziś, na przykład „wejdz w kółko mój kwiatku”, „mam chusteczkę haftowaną”, „ta Dorotka, ta malusia”, „chodzi lisek koło drogi”.

Wszyscy uczniowie byli zapisywani do ZHP. Najmłodszy byli zuchami, starsi harcerzami, a najstarsze klasy miały obowiązek należeć do ZMP. Na jednym ze szkolnych pikników z okazji Dnia Dziecka, mój tato w rozmowie z panią od historii usłyszał na temat mojego brata: – Pana syn niewiele wie o Rewolucji Październikowej. Niech pan coś z tym zrobi! Tato odpowiedział: – Gdyby nie znał

daty bitwy pod Grunwaldem lub tego, co wydarzyło się w roku 1920, to miałbym pretensję!. A pani wówczas – Pan nie wie z kim pan rozmawia!?!... Tato: – No, właśnie wiem i dlatego to mówię!

Żadnej politycznej konsekwencji nie było.

Z wielkim sentymentem wspominam lata nauki szkolnej, tak podstawowej, jak i średniej pomimo, że nie należałam do grupy zbyt lubianych dzieciaków. Prawdziwą „kuźnię” zdobywania wiedzy była wówczas pani Irena Tomaszewska. W jej mieszkaniu na ulicy Reymonta odbywało się „zbiorowo indywidualne” uzupełnianie wiedzy z wielu przedmiotów, a wyglądało to tak: przy dużym dębowym stole siedziało kilku niedouków z różnych szkół, klas i przedmiotów. Każdy wykonywał zleczone przez panią profesor (tak zwracaliśmy się do niej) ćwiczenia umysłowe. Jeden pisał wypracowanie, inny rozwiązywał zadanie matematyczne, ktoś inny poprawiał klasówkę z języka obcego i wszystkim ta wspinała kobieta potrafiła pomóc. Zagrożona powtarzaniem trzeciej klasy liceum swą niewiedzą matematyczną i ja trafiłam pod jej skrzydła. Dzięki korepetycjom uwierzyłam, że z matematyką można się zaprzyjaźnić.

Wszystkim nam zapadły głęboko w pamięci obowiązkowe pochody pierwszomajowe, koniecznie ze szturmówkami, których nikt nie chciał nosić. Marsz krokiem defiladowym przed trybuną honorową, która obsadzona była działaczami i sekretarzami partii kończył pochód i każdy jak mógł, aby nie podpaść nauczycielom, po kryjomu pozbywał się pierwszomajowych rekwizytów. Po pochodzie pędziło się do samochodów, z których sprzedawano deficytowe artykuły spożywcze.

Okruchy wspomnień są fragmentami z mego dzieciństwa i dorosłości. One związały mnie z tym miastem mocno, zmuszając do podziału uczuć między Słupskiem i kochaną Warszawą.

I tak już zostanie.

Kasztan

GEODETA – FACHMAN OD GRUNTÓW

W lipcu 1954 r. ja – dwudziestolatek zgłaszam się, z dyplomem Technikum Geodezyjnego w Poznaniu i dwuletnim nakazem pracy w Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Koszalinie (Wydział Rolnictwa i Leśnictwa, Oddział Geodezji i Urzędzeń Rolnych).

Sympatyczny dyrektor oddziału inż. Piotr Łuczowski dojeżdżający do pracy ze Słupska, przydziela mnie pod kuratelę „człeka o gołęmbim sercu, też kresowiaka” – jak mawiał – Ignacego Oleszczuka zamieszkałego także w Słupsku.

Pałętamy się – pogoda, niepogoda – przez całe lato, jesień, zimę i przedwiosnie – po wsiach rozległego województwa koszalińskiego, aby wdrażać nowoczesne, czyli socjalistyczne formy rolnictwa indywidualnego poprzez scalanie, wymianę gruntów (działek) tudzież zakładanie rolniczych spółdzielni produkcyjnych. Kolosalny zysk ze zwiększenia areału użytków dzięki likwidacji, nieraz szerokich do dwóch metrów miedz, na których z rzadka ciche grusze siedziały. Początkowo pomieszkowałem kątem u swego szefa, naprawdę gołębiego serca, czyniąc w ratuszu starania o przydział M-1. Aż je otrzymałem przy ul. Lelewela. Teraz poczułem się słupszczakiem całą gębą, bo ze znanych mi miast województwa: Białogardu, Koszalina, Sławna, Świdwina tudzież Bytowa, Miastka i Złotowa, najbardziej podobał mi się Słupsk, o którym z całym przekonaniem mówiłem „to miasto z charakterem”!

Już jako wyzwolony czeladnik, czyli technik geodeta, samodzielnie wdrażałem socjalizm który, wtedy był „młodością i przyszłością świata” na koszalińskich wsiach aż do Polskiego Października 1956. Wtedy zacząłem parcelować „koł-

chozy” w takich wsiach jak Dobiesław, Jeżyce i wiele innych na terenie powiatu sławieńskiego.

Niebawem założyłem rodzinę, posypały się córki: Hania, Iza, Dasia w powiększonej kawalerce przy ul. Lelewela. Z tych trzech tylko jedna mieszka w grodzie nad Słupią. Najstarsza w Koszalinie z mężem Adasiem, najmłodsza w Termoli (Italia) z mężem Lino (Nicolino). Ja, samotny z wyboru emeryt od 1997 r. pasjonuję się badylarstwem na 10 arach w sołectwie Bierkowo. Stróżem mych owoców i warzyw jest ON – owczarek niemiecki, mój jedyny utrzymanek, od czerwca mego roku emeryckiego.

Rok 1967 i lata następne to regulacja mienia rolnego w granicach administracyjnych miasta Słupska. Projekt opracował inż. geodeta Tadeusz Szpecht – była to bardzo żmudna i czasochłonna robota. Mnie jako stałemu mieszkańcowi Słupska i społecznikowi (honorowy dawca krwi i nobilitowany przez NOT Srebrną Odznaką za Zasługi w Dziedzinie Geodezji i Kartografii) powierzono kontynuację tej pracy: nadzór nad wyznaczeniem na gruncie projektu przez Koszalińskie Przedsiębiorstwo Geodezyjne, zapoznanie rolników z proponowanymi działkami zamiennymi jak najdalej od centrum miasta, zebranie uwag i ewentualnych alternatywnych życzeń.

Były burzliwe dyskusje, momentami bunt. Dla rolników mających swe zagrody w kwartale ulic: Na Wzgórzu, Gdańska, Gdyńska i Wiejska zaprojektowano osiedle nowych „sadyb” aż pod Redzikowem (wtedy Rędzikowem) na co Rada Regulacyjna (przedstawiciele „włościan”) pod przewodnictwem Henryka Berlińskiego zgłosiła kategoryczne veto. Doszło do spotkania na „szczyt” w słupskim ratuszu: przewodniczący RR, przedstawiciel Wydziału Rolnictwa i Leśnictwa PWRN w Koszalinie dr Stanisław Grubowski, przewodniczący Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Słupsku dr Jan Stępień.

Ruszyło generalne przeprojektowanie: osiedle zagród rolnych wytypowano po obu stronach ulicy Klonowej (obecnie Osiedle Słowiańskie domki 1-rodzinne, bo żaden rolnik tu się nie pobudował), ekwiwalentne (zamienne) działki rolne przeniesiono z obrzeży bliżej miasta i kilka innych zmian, których wyznaczenie na gruncie miałem wątpliwy zaszczyt dokonać osobiście. Geodeta to taki fachman, który sercem był z rolnikami a rozumem z władzą miasta, dzięki czemu każdemu z włościan mogę prosto spojrzeć w oczy a na wniosek władz zostałem „umedałowiony” krążkiem „Za Zasługi dla Województwa Słupskiego” (rok 1975).

Maso

TRAMWAJEM DO PRZESZŁOŚCI

W 1945 r. wraz z rodziną przyjechaliśmy do Słupska z Łodzi. Miałam wtedy 9 lat.

Pamiętam, że jechaliśmy bardzo długo wagonami towarowymi bez drzwi i okien, a w nocy było bardzo zimno. Wysiedliśmy wraz z innymi ludźmi w Słupsku, który wtedy nazywał się „Stolp”. Na ulicach leżały gruzy i zgliszcza, ślady po wojnie. Ulica W. Polskiego jakby na zachętę dla przybywających, była najmniej zniszczona.

Ruszyliśmy w miasto w poszukiwaniu mieszkania. Ludność niemiecka z lękiem spoglądała na przybywających osadników. Opuszczone przez Niemców mieszkania były zdewastowane porozbijane były sprzęty i meble. Puste mieszkania w ocalałych po wojnie domach zajmowali przybywający osadnicy. Zajęliśmy mieszkanie na ul. Podgórnjej.

Z innych opuszczonych mieszkań znosiliśmy różne ocalałe sprzęty i meble potrzebne do codziennego życia. W tym samym budynku, na naszym piętrze mieszkała niemiecka rodzina, z którą się z czasem zaprzyjaźniliśmy. Moja rodzina planowała osiedlić się na wsi, ale nic z tego nie wyszło. Pamiętam jak pewnego dnia pojechaliśmy z inną polską rodziną furmanką na wieś w poszukiwaniu jakiegoś ocalałego gospodarstwa nadającego się na zamieszkanie.

Nic z tego nie wyszło, bo w gospodarstwach ocalałych zamieszkiwały rodziny niemieckie i ze strachu przed przybyszami wywieszali na drzwiach wejściowych informacje z napisem „Tyfus”. To miało odstraszać przybywających osadników oraz grabieżców, gwałtocieli – bo i tacy się trafiali. Przenocowaliśmy w jakimś

niemieckim gospodarstwie u bardzo starych ludzi. W nocy słycać było pojedyncze strzały oraz krzyki pijanych i dobijających się do drzwi żołnierzy. Z ledwością doczekaliśmy do rana i wróciliśmy z powrotem do Słupska.

Moja mama bardzo się bała i nie chciała już nigdzie szukać niczego. Zaczęła urządzać to mieszkanie, do którego weszliśmy na pierwszą noc.

I tak się zaczęło to moje życie w Słupsku. Powoli gruzy zaczynały znikać z ulic. Ludzie sami oczyszczali ulice. Ludność musiała z czegoś żyć. Kwitł więc handel, czym się dało. Na Starówce, gdzie dziś karmimy gołębie, był rynek. Można było kupić i sprzedać dosłownie wszystko. Jakiś grajek przygrywał na akordeonie, innym razem ktoś grał na harmonijce ustnej, herbata z samowara, gorące bliny, sznoki (drożdżówki), bimber, dywany i wiele, wiele innych rzeczy oferowali głośno sprzedawcy. I tak powoli zaczynało żyć miasto. Zaczęto otwierać szkoły, uruchamiać zakłady pracy takie jak browar piwny na ul. Kilińskiego, rozlewnię oranżady też na ul. Kilińskiego, powstawały piekarnie, zakłady fryzjerskie, otwarto kino „Polonia” i kilka pierwszych małych knajp. Potem wyremontowano restaurację. „Staromiejską” dawną Centralną, Franciszkańską, a tu gdzie dziś mieści się restauracja „Metro” było Kasyno Oficerskie. Na dzisiejszej ul. Szczecińskiej i 3 Maja były zgłiszczka i nieużytki. Ludzie oczyszczali te miejsca i zakładali działki ogrodnicze. Wyżywienie mieliśmy mało urozmaicone, ale i wymagania mieliśmy niewygórowane. Ludzie cieszyli się tym, co mieli, byli sobie życzliwi i serdeczni. Na dzisiejszej ul. Findera był „Caritas”. Prowadziły go siostry zakonne, wydawano tam posiłki darmowe dla dzieci i młodzieży szkolnej.

Powoli miasto zaczynało żyć coraz lepiej. Uprzątnięte z gruzów miejsca zastępowano budową nowych domów i choć dziś te domy często są krytykowane, w tamtych czasach wzbudzały podziw i wiele rodzin marzyło, żeby dostać takie „nowe mieszkanie w bloku”. Dorastałam w tym mieście i nawet nie zauważałam tych wszystkich zmian, które z dnia na dzień rosły. Rozrywki w mojej młodości – to kino, czasem potańcówki w Domu Kolarza, który mieścił się po przeciwnej stronie PKO na ul. 9 Marca. W Domu Kolarza odbywały się prawie wszystkie akademie. Był też zespół baletowy, bez którego nie mogły się obejść żadne uroczystości. Ja też do niego należałam. Potem nastała moda „ tranzystorów”. Spacerowało się po południu po deptaku, czyli po ul. W. Polskiego z tranzystorem pod pachą. Niewiele było rozrywek dla młodzieży, więcej dla dorosłych. Restauracji i knajp, jak na tamte czasy było sporo. Restauracja „Targowa” na ul. Wolności (dziś nie ma już po niej śladu) to była prawdziwa „mordownia” i druga tego typu baza dla smakoszy alkoholu to restauracja „Ludowa” na ul. Tuwima (też nie ma po niej śladu). Na tym miejscu wybudowano dzisiejszy „Świt”.

Ale przecież były także ciekawsze miejsca, których już dziś nie ma np. teatr, który mieścił się na dzisiejszej ul. Jana Pawła. Karuzela, która stawała w pobliżu teatru. To była wielka radocha dla dzieci i młodzieży... Indiańska wioska nad

stawkiem, gdzie latem w niedzielę całe rodziny szły na spacer na piwo, oranżadę, czy lody. Dziś z perspektywy czasu wspominam to z sentymentem.

Obecnie młodzież ma tak wiele możliwości, ale mało szacunku dla siebie i dla innych.

W moich czasach zdarzało mi się czasem bardzo późno wracać z pracy do domu, ale nigdy się nie bałam. Dziś nie mam takiej odwagi, aby wieczorem wyjść z domu.

Szybko minął czas mojej młodości. Tutaj się wychowałam, wyszłam za mąż. Mam troje dzieci i sześcioro dorosłych już wnuków.

Czuję się spełniona. Czy szczęśliwa? Z tym szczęściem to różnie w życiu bywało, ale gdybym mogła cofnąć czas, to niewiele bym chciała zmienić w swoim życiu.

Czas nieubłaganie biegnie do przodu i coraz bardziej zacierają się obrazy z przeszłości.

Ruiny domów, zniszczone mosty już dawno zmieniły swój wygląd. W Słupsku kursowały dwie linie tramwajowe. Jedna sprzed dworca kolejowego-końcowy przystanek na ul. Kaszubskiej blisko stadionu. Druga linia także sprzed dworca kolejowego - do końca ul. Arciszewskiego. Po kilku latach zlikwidowano tramwaje zastępując je autobusami.

Teraz od kilku lat stoi w Słupsku na ul. Nowobramskiej tramwaj, jak gdyby pomnik z tamtych lat.

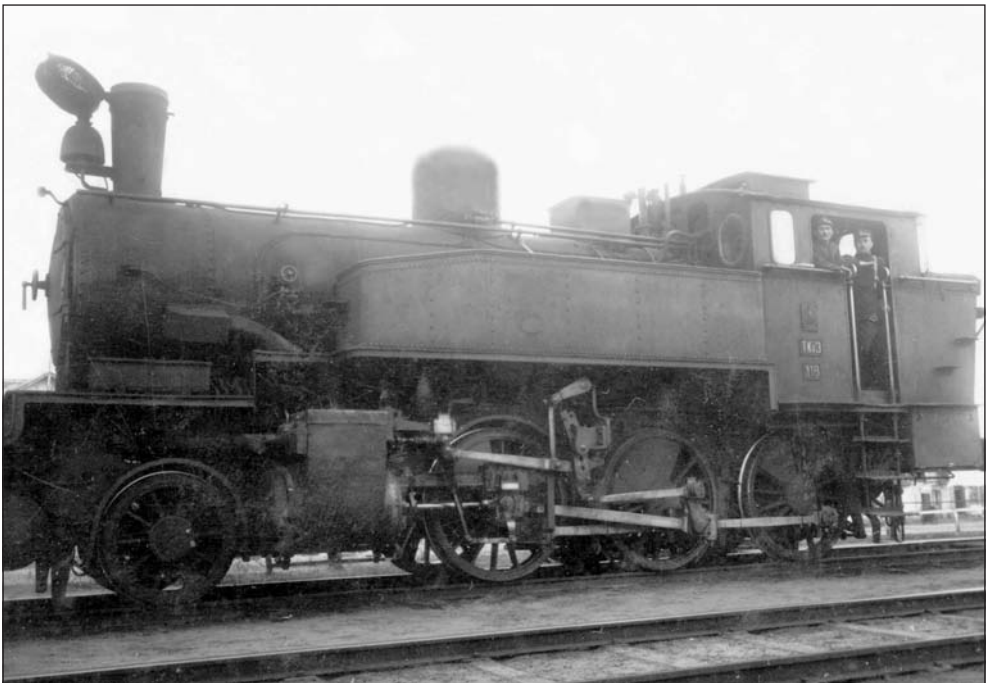
Kiedy przechodzę obok tego tramwaju, zawsze przypominają mi się tamte lata, lata co minęły jak sen. Domy, ulice, parki – „prawie” wszystko się zmieniło, z trudem już odnajduję ślady z „tamtych lat”. Tylko wspomnienia są zawsze te same, chociaż trochę jakby zamglone upływem czasu. Wiem, że teraz, kiedy jestem u schyłku życia, to często wracam do wspomnień. Czasem łza się w oku zakręci, bo „co minęło i nie wróci więcej”. Żal odchodzić i nie zobaczyć, co jeszcze w tym mieście się zmieni.

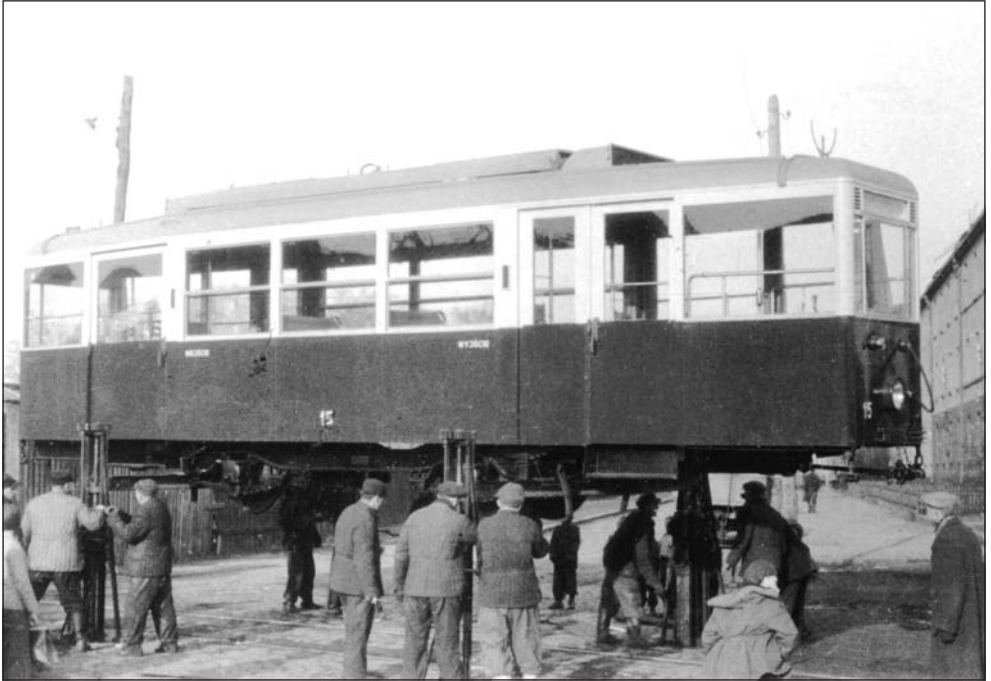
Żyłam tutaj i zmieniało się moje życie tak jak zmieniało się to miasto. Tylko, że ono z każdym rokiem pięknieje, a ja wręcz odwrotnie, ale cóż taka jest kolej rzeczy.

Halszka









TRZY DOMY

Ato już 63 lata! Właśnie 15 października 1945 r. stanęłam po raz pierwszy na Ziemi Słupskiej. Miałam zaledwie 21 lat. Przyjechałam tu ze swym ojcem – Franciszkiem Bystrzyńskim.

Dlaczego właśnie Słupsk? No, cóż! ...spróbuję to opowiedzieć...

MÓJ PIERWSZY DOM

Pierwszy mój dom rodzinny znajdował się w Janowcu Wlkp., gdzie urodziłam się i spędziłam z rodzicami oraz siostrą Felicją, najpiękniejsze lata mojego dzieciństwa. Miasto zaledwie 5-tysięczne, czyste, prężne, zagospodarowane – taka prawdziwa wielkopolska miejscowość .

Po skończeniu Szkoły Powszechnej rozpoczęłam w roku 1938 naukę w Gimnazjum Kupieckim w Gnieźnie, przerwana brutalnie przez wybuch wojny. Dzieciństwo moje przebiegało w ciepłym rodzinnym. Wychowano mnie na zasadach miłości do Boga i Ojczyzny. Patriotyzm dominował w naszym domu, gdzie tatuś, jako osoba urodzona w zaborze niemieckim, a później uczestnik Powstania Wielkopolskiego przekazywał nam umiłowanie do swego narodu i docenianie wolności. Dlatego też wpoił nam szacunek do osoby Józefa Piłsudskiego, docenianie wszystkich zrywów powstańczych. Zachęcał nas również do czytania naszych wieszczów narodowych.

Przynależność do harcerstwa od 1934 r. jeszcze bardziej rozwijała mój patriotyzm w myśl hasła: „Ojczyzna – Nauka – Cnota”. Wakacje spędzałyśmy z siostrą w posiadłości naszej babci w Gąsawie na Szlaku Piastowskim, tj. Biskupin, Wenecja, Żnin, Marcinkowo, Kruszwica.

I tu właśnie zastała nas 1 września 1939 r. – wojna. Wraz z innymi uciekinierami na wozach konnych uciekaliśmy przed Niemcami jak najdalej od granicy wierząc, że po krótkiej walce zwyciężymy Niemców i wrócimy do domu. Rozpoczęła się nasza ciężka niewola. Już 11 listopada 1939 r. ojciec wraz z dziesięcioma innymi patriotami został uwięziony jako zakładnik. I nastał ten tragiczny dzień grudnia 1939 r. W godzinach rannych wtargnęło do naszego mieszkania trzech uzbrojonych żandarmów niemieckich i wydało rozkaz, aby w ciągu 15 minut opuścić mieszkanie, zabierając ze sobą tylko bagaż podręczny. Zaskoczeni, nieprzygotowani (to był I transport) wpadliśmy w panikę, nie wiedząc co zabrać. Słowa „schnell” i „loos” przypominały o bezwzględnym pośpiechu. Pod karą śmierci kazano oddać wszystkie posiadane pieniądze. Po kilku dniach pobytu w zatłoczonej sali dostaliśmy rozkaz na piśmie, opuszczenia w ciągu 48 godzin granic „Warthegau” (woj. poznańskie) i wyjazd do Generalnej Guberni. Znow pod karą śmierci. Los zapędził nas do Końskich .

MÓJ DRUGI DOM

I tu właśnie był ten mój drugi przymusowy już dom, w którym wraz z rodziną przeżyłam ciężką, ponad pięcioletnią okupację niemiecką. Bardzo trudny był to okres; bez mieszkania, sprzętu i braku wszystkiego musieliśmy przetrwać ten okres prymitywnego życia.

Praca, konspiracja, nauka na tajnych kompletach wypełniały ten trudny okres strachu i niepewności .

Aż wreszcie upragnione wyzwolenie i powrót na stare śmieci, tj. do Janowca. Jednak nasze mieszkanie było zajęte, a z dorobku rodziców nic nie zostało. Wprawdzie przydzielono nam inne mieszkanie, jednak to nas nie zadowalało.

Propaganda zasiedlania Ziemi Zachodnich, masowa migracja spowodowała, że wybraliśmy się z ojcem na poszukiwanie nowego miejsca. Pojechaliśmy do Gdańska, następnie do Szczecina, gdzie odstraszył nas rozbój żołnierzy radzieckich na ulicach i w domach. I w drodze powrotnej w pociągu ktoś powiedział, że wysiada w Słupsku i radzi nam też to zrobić. No i zaczęło się to moje, następne życie w nowym mieście.

MÓJ NOWY TRZECI DOM

Przybyłam tu, jak wspomniałam 15 października 1945 r. Wprawdzie pierwsze wrażenie było przynębiające, miasto w 40 % leżało w ruinach i gruzach, na ulicach przeważnie pijani żołnierze radzieccy... „zimno i do domu daleko” – ale działała solidarna informacja między osiadłymi tu już Polakami. Ktoś proponował nocleg, wskazał możliwości uzyskania posiłku. Był punkt Państwowego Urzędu Repatriacyjnego czyli PUR, gdzie można było uzyskać jakieś informacje. Jakież moje miłe zaskoczenie, że tu spotkałam swojego dobrego znajomego z pracy i konspiracji w AK z Końskich pana Włodzimierza Rogozińskiego, który był już tutaj Dyrektorem Szkoły Podstawowej Nr 2 przy ul. Henryka Pobożnego. Skierował mnie zaraz do pracy w Tymczasowym Zarządzie Państwowym – TZP, później zwanym Urzędem Likwidacyjnym. Przydzielono mnie do sekretariatu, a później pracowałam w księgowości. Poinformował mnie też o tym, że mieszka tu już rodzina państwa Wazaczów, znajomych z Końskich. Udzielili nam tymczasowej gościny. Pan Franciszek Wazacz był później nauczycielem języka angielskiego w tujszych szkołach średnich.

Ojciec wrócił do Janowca, by załatwić wszystkie formalności związane z przeprowadzką.

Ja otrzymałam mieszkanie przy ul. Kołłątaja 9, skąd po dwóch miesiącach przeprowadziłam się na ul. Poetów 10, obecnie Krasińskiego. Tam też przybyli moi rodzice z siostrą Felicją w dniu 12 grudnia 1945 r. Tatuś uruchomił warsztat krawiecki i życie zaczynało się normalnie rozwijać. Nawiązywałam coraz szersze znajomości, napływało coraz więcej ludzi. Młodzież po latach niewoli, korzystając z wolności była żądna wszystkiego – nauki, zabawy i pracy nad odbudową kraju i swego miasta Słupska. Stąd też we wszystkich zakładach pracy, które kolejno powstawały, organizowano dobrowolne akcje porządkowania naszego miasta. I jakoś nikt się od tej pracy nie wykręcał, a wręcz uważał ją za swój obywatelski, patriotyczny obowiązek.

Pamiętam odgruzowywanie Starówki, Starego Rynku, okolic kościoła Mariackiego, wreszcie jego wnętrza, do którego porządkowania już nie wystarczały tylko ręce i łopaty, tu był potrzebny sprzęt cięższy. Jak wiadomo kościół Mariacki był miejscem składowania mebli przeważnie miękkich, jak: tapczany, materace, fotele. Prace przy odgruzowywaniu i inne prace wykonywałam z chęcią i satysfakcją, że oto kawałek po kawałku otrzymujemy sprzątnięty teren czy obiekt. Łączyliśmy się nieraz w grupy i rywalizowaliśmy, kto większy teren odgruzował. I już chyba w połowie 1946 r. odbył się na Starym Rynku pierwszy targ, na który przywożono głównie produkty rolne z okolicznych wsi, oraz sprzedawano inne przedmioty takie jak: odzież, porcelanę i kryształ, które często jeszcze mieszkający tu Niemcy przynosili na sprzedaż. Handel kwitł, powstawały sklepy, głównie

spożywcze, a w tym sklep pana Kamińskiego przy ul. Dworcowej 1 „Pod Kolumnami”. Życie się rozwijało, przybywali nowi ludzie. Niestety, między tymi przybyłymi byli też tzw. „szabrownicy”, którzy grabili i okradali mieszkania, a zrabowane przedmioty wywozili w celach uzyskania zarobków. Moi współpracownicy z TZP mieli za zadanie inwentaryzację mieszkań niemieckich i ich zabezpieczenie. Meble i sprzęt przydzielano komisyjnie osobom już tu osiadłym odpowiednio je oceniając. Pierwszym dyrektorem był pan J. Charzewski, a później pan Jabłczyński. Pracując w sekretariacie, a później w księgowości obserwowałam ciężką i odpowiedzialną pracę tych pracowników terenowych, którzy starali się uczciwie podchodzić do swej pracy .

Później urząd nasz miał nadzór nad transportem Niemców do ich ojczyzny. Odbywało się to w sposób humanitarny, inaczej niż przy naszym wypędzeniu przez Niemców w grudniu 1939 r. z Janowca Wielkopolskiego.

W lutym 1946 r. p. Leonia Strzelczyk powołała do życia i uruchomiła Liceum Kupieckie i Administracyjne, które na początku mieściło się na ul. Łukasiewicza 1, w miejscu obecnego Urzędu Telekomunikacji. Pierwsze zapisy kandydatów zgromadziły 81 osób młodzieży z różnych stron Polski, a i poziom przygotowania do klas licealnych też był zróżnicowany. Wielu pochodziło z utraconych Kresów, po tzw. „dziesięciolatce” w systemie radzieckim. Dużą grupę stanowiła też młodzież po czterech klasach gimnazjum, tzw. „małej maturze”, którą to naukę często zdobywaliśmy na tajnych kompletach, czyli tajnym nauczaniu pod okupacją niemiecką, do której to grupy i ja należałam. Nauka nasza była trudna; nie mieliśmy żadnych podręczników, zeszytów ani papieru. Notatki z wykładów zapisywaliśmy najczęściej na makulaturze z drukiem niemieckim po jednej stronie. Ale mieliśmy zapał i chęć do nauki, a przede wszystkim wspaniałych wykładowców i wychowawców z panią Leonią Strzelczyk, dalej panie: Toczyńska, Wysocka, Zaborowska, Gończawa, Bukowska, wreszcie panowie: Kwapisz, Jurewicz, Bogdanowicz, Gończ, Blew, Zubrzycki. Przekazywali oni nam gruntowną wiedzę przedmiotową na najwyższym poziomie. Wielu z nas pokończyło studia i zajmowało wysokie stanowiska, zwłaszcza na polu ekonomicznym i gospodarczym .

Przytoczę tu cytat ze słów Stanisława Staszica, patrona tej szkoły:

„Prawdziwa człowieka szczęśliwość
Dobrej edukacji najpierwszym być celem powinna”.

W lutym 2006 r. obchodzono 60-lecie szkoły, uroczystość na której i ja miałam przyjemność jako jedna z pierwszych absolwentek kilka słów powiedzieć.

Ale oprócz nauki byliśmy też młodzieżą, która przez pięć lat była pozbawiona różnych uciech i rozrywek. Gdy skończyła się wojna to i zabawy nie były nam obce. W ówczesnym „Colloseum” – Domu Kolejarza przy zbiegu dzisiejszych

ulic Starzyńskiego i Łajming odbywały się cotygodniowe zabawy. Skupiały przy dźwiękach orkiestry, przeważnie kolejowej, rzesze młodzieży żądnej zabawy. Organizowano też już wówczas kursy tańca, głównie klasycznego. Napływali nowi obywatele, życie kulturalne zaczynało iskrzyć; jakieś imprezy, odczyty też już się odbywały. Prywatna biblioteka państwa Kosów przy Al. Sienkiewicza, dawniej Popławskiego cieszyła się wielkim powodzeniem, zwłaszcza wśród młodzieży.

Stary Teatr przy ul. Jagiełły, później rozebrany, zapraszał wielu znakomitych aktorów, muzyków, piosenkarzy oraz wystawiał gościnnie sztuki teatralne, a nawet operowe i operetkowe. Utworzył się też miejscowy zespół teatralny, który cieszył się wielkim powodzeniem

Ale niestety i nieszczęścia mnie nie omijały. Zadowolenie i satysfakcja ze zdanej w czerwcu 1947 r. matury przyćmione zostało śmiercią obojga naszych rodziców w lipcu tegoż roku. Ich wczesna śmierć była spowodowana tragicznymi przeżyciami w czasie okupacji. Pierzchły marzenia o studiach, trzeba było myśleć tylko o pracy. Ale życie szło dalej. Już dla mnie wkrótce zaświtała iskierka szczęścia i w sierpniu 1948 r. wyszłam za mąż i przeniosłam się do Sławna, gdzie mój mąż – Julian zajmował stanowisko architekta miejskiego w tamtejszym Urzędzie Miejskim. Jednak już po roku *wróciliśmy do Słupska, gdyż to właśnie miasto wybrałam sobie za następną rodzinne miejsce na ziemi. Zamieszkaliśmy przy ul. Arciszewskiego 37, gdzie dotąd mieszkam. Tutaj też rodziły się nasze dzieci – Maria, która ukończyła tutejszą uczelnię i była nauczycielką matematyki w Szkole Podstawowej Nr 7, a od ubiegłego roku jest na emeryturze. Jej córki a moje wnuczki – to Anna, która też skończyła tę uczelnię – Geografię i Ochronę Środowiska – i pracuje w swoim zawodzie. Basia ukończyła Uniwersytet Kardynała Wyszyńskiego – Instytut do Spraw Rodziny i pracuje, realizując swe wykształcenie w Warszawie. Syn Adam ukończył Politechnikę Gdańską i tam założył rodzinę, tam też pracuje. Starszy mój wnuk Michał rozpoczął w tym roku studia na Politechnice Gdańskiej, a młodszy Paweł kończy w tym roku szkolnym gimnazjum. Dzieci i wnuki dość często mnie odwiedzają.*

Tutaj też mieszkając pracowałam zawodowo na różnych stanowiskach, tu przeżywałam swe radości i smutki, tutaj z mężem przeszłam długą drogę 56 szczęśliwych lat. I tutaj w tym mieście – najpierw w kościele, a później w Pałacu Ślubów przeżywałam w gronie rodziny i przyjaciół 45, 50 i 55-lecie pożycia małżeńskiego. Niestety, mój mąż w wieku 91 lat odszedł ode mnie na zawsze 13 czerwca 2004 r., pozostawiając mnie w wielkim smutku i samotności.

Ale chciałabym się jeszcze cofnąć i opisać koleje życia w tym moim nowym domu.

Wracam do spraw życia kulturalnego, jakie toczyło się na tych ziemiach. Największym wydarzeniem w życiu artystycznym naszego miasta na skalę krajową był I Festiwal Pianistyki Polskiej. Impreza ta została zainicjowana przez Słupskie

Towarzystwo Społeczno-Kulturalne przy wydatnej pomocy i poparciu władz samorządowych z panami – Janem Stępnem, Wojciechem Grzelązką, Kazimierzem Świdorskim i innymi oraz Koszalińskiej Orkiestry Symfonicznej i Wojewódzkiego Wydziału Kultury. Miało to miejsce w czasie „Dni Słupska”, tj. na początku września 1967 r. Projekt zorganizowania Festiwalu wyszedł od znanego kompozytora p. Andrzeja Cwojdziańskiego, ówczesnego kierownika artystycznego i dyrygenta Koszalińskiej Orkiestry Symfonicznej. Jemu to, znającemu dobrze nasz entuzjazm do pracy społeczno-kulturalnej i zamiłowanie do muzyki możemy zawdzięczać realizację Festiwalu.

Inauguracyjnego otwarcia I FPP dokonał ówczesny Wiceminister Kultury i Sztuki Zygmunt Garstecki. Festiwal przygotowany był bardzo starannie i pieczołowicie. Koncerty prowadził Jerzy Waldorff, który czynił to z wielkim wdziękiem, znajomością tematu, dowcipem i z pełną garścią informacji z historii polskiej pianistyki. Byłam na tym inauguracyjnym koncercie. Natomiast II Festiwal Pianistyki Polskiej we wrześniu 1968 r. miał dla mnie jeszcze więcej uroku, gdyż oprócz koncertów fortepianowych w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym, w Sali Rycerskiej naszego muzeum odbywały się koncerty klawesynowe. Nastrój XIX-wiecznej muzyki wzbogacony został odpowiednimi do epoki strojami, w które ubrani byli uduchowieni wykonawcy. Poparte to jeszcze dowcipnym słowem Waldorffa sprawiło, że słuchający upojeni byli niezapomnianą muzyką. Jako uzupełnienie całości został zawieszony na całej zachodniej ścianie sali rycerskiej tuż przed II Festiwalem – Gobelin zatytułowany „Historia”, a utkany wg projektu Heleny Gałkowskiej przez Spółdzielnię Pracy „Wanda” w Krakowie. Przedstawia poczet królów polskich z dynastii Piastów, Jagiellonów i królów elekcyjnych (od Mieszka I do Stanisława Augusta Poniatowskiego). Nad nimi widnieje postać kobieca symbolizująca Polskę, orzeł piastowski oraz 20 chorągwi księstw, ziem i województw polskich. Przyznam się, że nie opuściłam ani jednego festiwalu i przynajmniej na dwóch koncertach z każdego musiałam być obecna. Okazuje się, że w naszym mieście mamy wielu melomanów i sala na wszystkich koncertach jest po brzegi wypełniona.

Interesowałam się i dalej interesuję działalnością Koła Przyjaciół Regionu STSK z niestrudzonym p. dr Józefem Cieplickim. Takie nazwiska jak panowie Śpiewakowski i znany mi jeszcze z Końskich dr med. Alfons Modrzejewski, Wrembel, panie Foremna i Mertkowa były filarami działania tego Koła w latach sześćdziesiątych, które dotychczas działa.

Religia w moim życiu też odegrała znaczną rolę. Już na samym początku pobytu spotkałam tu wielkiego kapłana ks. Jana Zięję, który jako pierwszy ksiądz katolicki objął na przełomie maja i czerwca 1945 r. kościół Św. Ottona. Jako czynnik integrujący społeczeństwo polskie kościół stał się miejscem spotkań. I ja miałam

szczęście słuchać kazań i rad nam udzielanych przez wielkiego kapłana. Przyczynił się on do uruchomienia następnych kościołów: Serca Jezusowego i Św. Jacka. W latach pięćdziesiątych i następnych byłam mocno związana z kościołem Serca Jezusowego, aż do otwarcia kościoła pw. Jana Kantego, tj. do roku 1991. Ksiądz Wincenty Lesiak skierował mnie na jednoroczny kurs do Kurii Biskupiej w Koszalinie, po czym z rąk Jego Ekscelencji Księdza Biskupa Ignacego Jeża otrzymałam w lutym 1978 r. Misję Kanoniczną.

Obecnie jestem związana z parafią pw. Jana Kantego, gdzie od początku obserwowałam ciężką i mozolną pracę ks. Antoniego Tofila – proboszcza tej parafii przy wznoszeniu i upiększaniu świątyni. Jestem pełna uznania i szacunku, tym bardziej że potrafił przez 17 lat zintegrować parafian i każdego darzył duchowym wsparciem i pomocą. Niestety, od czerwca 2008 r. ku naszemu zmartwieniu cieśzy swą obecnością parafian w Koszalinie.

Pracując kolejno w Ubezpieczalni Społecznej, Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Handlu Obuwem i Przedsiębiorstwie Robót Instalacyjno-Montażowych, na różnych stanowiskach zapragnęłam zająć się też inną dziedziną działalności. Dlatego też podjęłam zaoczne studia o kierunku Oświaty i Kultury Dorosłych w Koszalinie. Uzyskałam licencjat w roku 1969. Temat mej pracy dyplomowej to „Powstanie i rozwój Muzeum Regionalnego w Słupsku”. Największe zasługi w uruchomieniu muzeum, pierwotnie w Nowej Bramie, a później w Zamku Książąt Pomorskich miała p. Maria Zaborowska. Ona to porządkowała i dokumentowała ocalałe zbiory i jako ówczesny kierownik Wydziału Oświaty, Kultury i Sztuki Zarządu Miejskiego szukała dalej rozrzuconych wszędzie eksponatów.

W dniu 12 maja 1965 r. nastąpiło upragnione przez mieszkańców inauguracyjne otwarcie Zamku Książąt Pomorskich. Miałam szczęście znaleźć się w tej prawie 3 tys. rzeszy czekających gości miejscowych, krajowych i zagranicznych. A w dniu 8 września 1968 r. został oddany do dyspozycji Działu Etnograficznego Muzeum Pomorza Środkowego – Młyn Zamkowy. Uroczystego przecięcia wstęgi dokonał ówczesny Wiceminister Kultury i Sztuki Zygmunt Garstecki.

W latach 60. pracowałam na stanowisku instruktora kulturalno-oświatowego w Garnizonowym Klubie Oficerskim, gdzie miałam możliwość zapraszać polskich pisarzy i poetów na spotkania autorskie, m.in. gościliśmy też naszych miejscowych autorów. Był Anatoliusz Jureń, Marta Aluchna Emelianow, której posiadam tomik wierszy pt. „Wiem i nie wiem” z dedykacją oraz Czesław Kuriata z Koszalina.

Równolegle byłam też członkiem Towarzystwa Wiedzy Powszechnej i moim zadaniem było głoszenie prelekcji w różnych ośrodkach terenowych, w świetlicach „Ruchu”, szkołach, jednostkach wojskowych i innych punktach. Główne tematy moich spotkań to „Historia Pomorza Zachodniego” i „Kultura życia codziennego”, które w owym czasie cieszyły się tu wielkim powodzeniem. Byłam

też członkiem PTTK z uprawnieniami przewodnika turystycznego. Oprowadzałam wycieczki po naszym mieście i regionie oraz pilotowałam wycieczki krajowe. A było o czym mówić. Civitas Christiana jest też miejscem moich spotkań z wybitnymi naukowcami, politykami i duchownymi, a coroczne „opłatki” z udziałem ks. biskupa to przeżycie wielkie.

Spotykamy się też corocznie w Harcerskim Kręgu Seniorów w Janowcu Wlkp. z druhami-seniorami z Poznania, Gniezna, Bydgoszczy i innych miejscowości. W dniach 23-25 maja 2008 r. gościliśmy w naszym mieście harcerzy-seniorów z całej Polski. Uroczysty apel poprzedzony mszą św. w kościele Św. Jacka odbył się w południe 25 maja na Placu Zwycięstwa z udziałem również tutaj młodzieży Związku Harcerstwa Polskiego. Przyświeca nam zawsze hasło: Bóg-Honor-Ojczyzna! Obecni też byli przedstawiciele władz miejskich.

Na zakończenie zacytuję hymn Słupska do słów L. Pastwy, a muzykę skomponowała Helena Bezeg ówczesna dyrektorka Państwowej Szkoły Muzycznej. W latach 60. śpiewaliśmy go i dziwię się, że obecnie jest zapomniany, a przecież on najlepiej odtwarza umiłowanie do tego naszego pięknego Grodu. Cytuję:

„Pieśń ta o mieście Piastów
Niechaj rozbrzmiewa jak dzwon.
Niech płynie ponad miastem
Dźwięcznej melodii ton.
Tyś urok krzyżacki zrzucił
Nadszedł to wroga kres
I Biały Orzeł wrócił
Wrócił po wieczny czas.
Słupsku, Słupsku grodzie nasz prastary
Nastały Twoje dni.
Z ratusza, z zamku niech grają fanfary,
Niech hejnał radości brzmi.
Dzisiaj na Słupskiej Ziemi
Kwiatów zakwita sto
Niech uśmiech kwitnie z nimi,
Przeszłością wszelkie zło.
Tu wróg już nie zawita
My dźierzym przecież straż,
Więc rośnij i rozkwitaj
Kochany Słupsku nasz!”

OD SPALONEGO DOMU DO SPÓŁDZIELCZEGO MIESZKANIA

Nasz dom rodzinny spłonął na początku września 1939 roku, w czasie niemieckich nalotów. Przez Kurów biegła trasa Warszawa-Lublin-Lwów i do Rumunii, którą ewakuowała się ludność Warszawy oraz transportowano skarby narodowe Polski. Nagle w ciągu kilkunastu minut zostaliśmy bez domu, dobytku, dosłownie bez niczego. Ocalała butelka soku wiśniowego. Pamiętam doskonale. Okupację spędziliśmy w małym domku pośpiesznie skleconym z drewna.

Pamiętam następujący epizod. Tacie udało się kupić pół tuszy wieprzowej, którą tymczasem umieszczono w kuchni za piecem. Wieczorem przychodzi niemiecki oficer z pytaniem, gdzie schowaliśmy świnie. Rodzice zaklinają się, że żadnej świni nie ma i nie było. Dobrze poinformowany Niemiec nie ustępuje. Rodzina porażona strachem milczy. Nagle trzyletnia siostra bierze oficera za rękę mówiąc: – Panie Szwab, ja panu pokażę to mięso!...

Po wyzwoleniu Lublina tatę powołano do wojska. Wędrowkę wojenną zakończył w Szczecinie po sforsowaniu Odry. W listopadzie 1946 roku dołączyliśmy z mamą do ojca w Gdańsku. Po ukończeniu 5. klasy wysłano mnie do Rabki, po 8-miesięcznym pobycie w sanatorium wracałam już do Wicka Morskiego, gdzie służbowo przeniesiono tatę.

Wicko Morskie – zupełnie pustkowie, sami wojskowi ewentualnie z rodzinami, morze, plaża, jezioro, lasy, lotnisko i mnóstwo różnego sprzętu nie wyłączając zniszczonego samolotu doskonale nadającego się do wymyślania zabaw. Czasami głupich jak np. wieko od kufra służące do żeglowania po jeziorze. Poja-

wiła się też mina głębinowa, którą moje dwie siostry z innymi próbowały rozbroić kamieniami.

Do szkoły dojeżdżaliśmy wojskową karetką pogotowia lub po prostu odkrytym samochodem dostawczym. Niekiedy udało się namówić kierowcę na małą awarię samochodu. Były więc wagary lub przynajmniej dłuższe spóźnienie na lekcje.

Gdańsk, Rabka, Wicko to krótkie przystanki w oczekiwaniu na prawdziwy dom.

Tatę przeniesiono do marynarki wojennej w Ustce, gdzie jak się okazało, zamieszkaliśmy na stałe. Szkołę podstawową rozpoczętą w Kurowie zakończyliśmy z siostrą w Ustce.

Do ogólniaka na Mickiewicza dojeżdżałyśmy do Słupska pociągiem. Osiem lat później tę szkołę ukończył również brat.

Po ukończeniu studiów w 1958 roku wróciłam do domu, podjęłam pracę dojeżdżając do Słupska jedenaście lat i wreszcie otrzymałam upragnione mieszkanie spółdzielcze, lecz wszystkie wolne chwile spędzałam w domu, wykupionym na własność przez brata.

Jest to nasz rodzinny dom, wyremontowany pięknie wspólnymi siłami. Z dużym ogrodem, na obrzeżach Ustki przy lesie, gdzie wraz z siostrą i rodziną brata spędzamy wolne chwile.

Teresa

TEKTUROWA WALIZECZKA

Urodziłam się w Gdyni. Szkołę średnią ukończyłam w 1955 roku w Gdańsku. Na podstawie „nakazu pracy” skierowana zostałam do pracy w Fabryce Cukierków „Pomorzanka” w Słupsku. Spakowałam więc niezbędne rzeczy w tekturową walizkę o wymiarach 50 cm x 60 cm i udałam się w podróż w nieznanym mi świecie.

Ponieważ pochodziłam z biednej i wielodzietnej rodziny, ponadto byłam najstarsza z rodzeństwa, rodzice nie wyposażyli mnie w środki finansowe, bo ich nie mieli.

Wyjechałam bez pieniędzy – wyłącznie z biletem kolejowym i nadzieją, że jakoś to będzie! Cieszyłam się, że mogę rozpocząć moje „dorosłe” życie samodzielnie, niedaleko od rodzinnych stron, ale również daleko od najbliższych.

1 września 1955 r. zjawiłam się w gabinecie dyrektora „Pomorzanki”, który nie ukrywał swojego zdziwienia patrząc na młodą, siedemnastoletnią piękną i pełną optymizmu dziewczynę, która zamierzała zamienić wielkomięską Gdynię na peryferyjne miasto na tzw. „Zachodzie”.

Moim zawodem wyuczonym był „technik normowania pracy w przemyśle spożywczym”. Po krótkiej rozmowie z dyrektorem pojawił się na jego ustach przyjazny uśmiech. Dał mi odczuć, że będę bardzo potrzebna, a nawet niezbędna w tej dużej, bo około 500-osobowej załodze, gdyż około 80% czynności – to prace ręczne, wymagające poprawnej organizacji pracy i ustalaniu norm.

Po rozmowie z księgową – wręczono mi pożyczkę w wysokości jednomiesięcznego wynagrodzenia (było to wówczas 602 złote), które miałam spłacać po 50 zł

miesięcznie. Byłam wówczas najszcześliwszym człowiekiem! Pierwszy raz miałam swoje pieniądze i mogłam nimi dysponować oraz wydawać na swoje potrzeby.

Wymienialiśmy wtedy z dyrektorem swoje optymistyczne nadzieje. On w zakresie mojej przydatności zawodowej, a ja moją szansę na „nowe życie” w nieznanym mi środowisku.

W „Pomorzance” kadra kierownicza była wówczas bardzo uboga – jeden inżynier jako główny technolog, jeden technik statystyk w dziale ekonomicznym, jeden technik chemik w laboratorium, no i oczywiście ja (wszyscy z nakazów pracy).

Mimo zachęty finansowej i nie ukrywam atrakcyjności branży, zaczęły pojawiać się problemy – szczególnie mieszkaniowe, które mogły wówczas przesądzić o powrocie do Gdyni. Byłam jednak konsekwentna w dążeniach do wymarzonego celu – samodzielności. Poza tym nie miałam do czego wracać!

Dyrektor rzucał codziennie hasło – u kogo dzisiaj będzie nocować nasza młoda koleżanka? Doszło do tego, że prawie codziennie przemieszczałam się z moją „walizeczką” do innego domu różnych pracowników „Pomorzanki”, by zaliczyć nocleg, by się umyć i stawić do pracy. Migracja noclegowa trwała około pół roku. Była to dla mnie uciążliwa szkoła życia, a jednocześnie mająca swoje dobre strony. Poznawałam ludzi z „Pomorzanki”, zaprzyjaźniłam się z wieloma, stawałam się lubiana i aktywna.

Zaliczyłam noclegi w różnych częściach miasta i u różnych ludzi. Między innymi przy ulicy Gen. Pankowa (obecnie Paderewskiego), Gen. Roji (obecnie Sygietyńskiego), Wyspiańskiego, Niedziałkowskiego, Przemysłowej, Kołłątaja, Ks. Brzóska, Spacerowej, Wita Stwosza.

W międzyczasie dyrekcja „Pomorzanki” postarała się o pokój z przydziału Urzędu Miasta. Po półrocznej tułaczce otrzymałam nareszcie własny pokój przy ul. Wyspiańskiego gdzie w mieszkaniu 5-pokojowym mieszkało pięć obcych rodzin razem z dziećmi i dodatkowo jednym muzykiem. „Kołchoz”! Z perspektywy czasu stwierdzam jednak, że żyliśmy wszyscy w zgodzie bez większych konfliktów. Jedna osoba z tych rodzin mieszka tam nadal, ale ma dziś całe to mieszkanie.

Własny pokój, podwyżka wynagrodzenia do wysokości 676 zł, to był krok ku stabilizacji życiowej i postanowieniu pozostania w Słupsku.

Musiałam zainwestować spore pieniądze w wyposażenie pokoju mieszkalnego, kupić buty (pamiętam za 260 zł na „słoninie”) no i jeść. Ale na jedzenie nie starczyło już pieniędzy! Kupowałam 5 bułek dziennie i to było całe moje jedzenie. Gdy było troszkę lepiej kupowałam pasztetową, salseson i inne tanie wyroby. Często chodziłam do „Baru mlecznego”. Przyznaję dzisiaj, że jadłam słodczyce z „Pomorzanki”, półprodukty i inne surowce, które rekompensowały moje niedobory żywieniowe. Większość pieniędzy wydawałam na ubiory. Ta dość trudna sytuacja finansowa mobilizowała mnie do szycia dla siebie różnej odzieży i spowodowała, że jako samouk szyję dla siebie do dzisiaj. Nigdy nie korzystałam z usług

krawcowej.

Praca moja w „Pomorzance” była wysoko oceniana i doceniana. Mimo kontrowersyjnych czynności zawodowych (ustalanie norm pracy i stawek za wykonywanie pracy) cieszyłam się uznaniem i szacunkiem wśród załogi i współpracowników. Czułam się dowartościowana i zaczęłam powoli angażować się w życie kulturalne miasta. Przy „Pomorzance” działał klub przyzakładowy, gdzie odbywały się spotkania literackie oraz spotkania ze znanymi ludźmi, potańcówki, odczyty i inne zajęcia kulturalne. Zorganizowałam i prowadziłam dla dzieci pracowników „Pomorzanki” zespół rytmiczno – taneczny. Wstąpiłam do zespołu estradowo – tanecznego przy Wojewódzkim Domu Kultury w Koszalinie. Dojeżdżałam dwa razy w tygodniu na próby, wracając z powrotem o 1 godzinie w nocy do Słupska, śpiewałam w chórze przy PKS-ie w Słupsku, grałam w piłkę siatkową w „Czarnych” na ul. Ogrodowej. Aktywnie i czynnie włączałam się w różne zajęcia poza pracą zawodową. W okresie późniejszym (miałam już dwoje dzieci) należałam do zespołu estradowo – tanecznego przy Fabryce Mebli w Słupsku na ul. Jaracza.

Powoli zaczęłam awansować zawodowo, edukując się poprzez 2-letnie specjalistyczne szkolenia, kursy III-go stopnia wtajemniczające mnie w zagadnienia ekonomiczne. Łatwość przyswajania sobie różnych wiadomości i umiejętności powodowała, że namawiano mnie do podjęcia studiów.

W 1967 roku zdecydowałam się na nowy rozdział w życiu – zaoczne studia na Politechnice Szczecińskiej. Wydział Inżynierijno – Ekonomiczny. Byłam już wówczas mężatką z licznymi obowiązkami. Powoli wycofywałam się z dotychczasowych zajęć o charakterze artystycznym, poważnie traktując obowiązki studenta.

Zaczęłam się „dusić” w „Pomorzance”. Męczył mnie brak możliwości awansu zawodowego. Zbyt duża zawiść wśród koleżanek powodowała, że zaczęłam myśleć o zmianie pracy. Miałam już wówczas dwoje dzieci, a studia stały się tak absorbujące i zajmowały mi tyle czasu, że odczuwałam trudności bardzo dotkliwie. Mąż też studiował zaocznie – więc pomocy nie miałam prawie żadnej. Nie poddawałam się jednak. W 1969 roku odeszłam z „Pomorzanki” i podjęłam pracę w handlu słupskim. Był to okres, kiedy Słupsk znajdował się w województwie koszalińskim

Zajmowałam się techniką handlu, reklamą i organizacją funkcjonowania sklepów specjalistycznych branży obuwniczej, galanterii skórzanej i odzieży skórzanej w takich miastach jak: Koszalin, Słupsk, Kołobrzeg, Wałcz, Szczecinek, Świdwin, Białogard, Sławno, Złocieniec, Połczyn Zdrój, Ustka, Drawsko Pomorskie. Praca była ciekawa, interesująca i dawała mi wiele satysfakcji.

Zostałam wyróżniona odznaką honorową „Za zasługi w rozwoju województwa koszalińskiego”. W 1973 roku ukończyłam z wynikiem bardzo dobrym dwustopniowe studia uzyskując tytuł mgr ekonomii. Ukończone studia, багаż doświadczeń wyzwoliły we mnie cechy przywódcze i pozwoliły mi pełnić rolę „szefa”.

Wykształcenie, obiektywizm, mądrość i uroda – to atuty, które spowodowały, że zostałam zauważona przez władze miasta Słupska jako kandydatka do awansu zawodowego w skorumpowanym wówczas spółdzielczym handlu słupskim. Dwie wielkie „afery”: mleczarska i mięsna w PSS „Społem” w Słupsku spowodowały, że musiało odejść ze stanowisk kierowniczych wielu ludzi.

„Społem” to była wielka i prężna organizacja handlowa, która dominowała na rynku w zakresie handlu detalicznego (sklepy) i hurtowego (związanego z żywnością) produkcji masarskiej, piekarniczej, wód gazowanych, barów, restauracji, stołówek, usług społeczno – samorządowych, lokali gastronomicznych, inwestycji handlowych i innych.

22 stycznia 1974 roku zaproponowano mi stanowisko wiceprezesa ds. handlu. Miałam wiele obaw i wątpliwości, czy spełnię pokładane we mnie nadzieje.

Pierwszy raz spotkałam się ze spółdzielczą formą organizacji handlu. Wszyscy dobrze mi życzący podziwiali moją odwagę – gdyż stanowisko to przyjął.

Pracowałam bardzo ciężko, często ponad siły, kosztem rodziny i dzieci. Po południu obsługiwałam zebrania członkowskie, na których społeczeństwo miasta Słupska wymuszało realizację wielu postulatów żywieniowych i poprawę zaopatrzenia. Podejmując ważne decyzje musiałam być czujna i odpowiedzialna. Wielokrotnie zastanawiałam się nad sensem pracy, która eksploatowała mnie ponad możliwości. Mężczyźni stosowali wobec siebie tolerancyjne układy zarówno w zakresie finansowym jak i organizacyjnym. Wykorzystywano i badano mnie, czy sobie poradzę?! Radziłam sobie i trwałam w tym „kieracie” przez 4 lata.

Po prostu musiałam – chciałam udowodnić, że stać mnie na więcej... i więcej i... więcej! W ocenie subiektywnej – satysfakcji jednak nie miałam. Stałam się osobą „znaną” w handlu słupskim. Społeczeństwo odbierało mnie raczej pozytywnie i wtedy zrozumiałam, że moje losy związane są do końca życia ze Słupskiem. Myślałam jednak coraz częściej, by zrezygnować z funkcji i zmienić pracę na mniej odpowiedzialną.

W 1975 roku Słupsk został miastem wojewódzkim. Nastąpiła integracja w handlu. Wszystkie organizacje handlowe o charakterze państwowym połączyły się w jedno duże przedsiębiorstwo: „Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego” (WPHW) podległe wojewodzie z jedną dyrekcją i siedzibą w Słupsku.

Była to dla mnie szansa, by odejść ze „Społem”, WPHW zaproponowało mi stanowisko głównego specjalisty ds. ogólnohandlowych. Byłam bardzo szczęśliwa, gdyż mogłam nareszcie pracować z oddaniem, bez obciążeń psychicznych.

Miałam dużą praktykę w zakresie zagadnień, które mi powierzono (technika i organizacja handlu, reklama, odbiór jakościowy, reklamacje, reglamentacja) i innych poza zaopatrzeniem w towary.

W1981 roku umarł z-ca dyrektora WPHW. Jest to okres rozregulowanego rynku w zakresie zaopatrzenia, okres ścisłej reglamentacji większości towarów i trudności w prawidłowym zaopatrzeniu rynku. W grudniu ogłoszono „stan wojenny”. Wbrew mojej woli powołano mnie na I zastępcę dyrektora WPHW (nakazowo). Musiałam wziąć się do pracy, by udowodnić że stać mnie na „dużo” i jeszcze „więcej”, ponieważ obdarzono mnie zaufaniem. Na kobiety można przecież zawsze liczyć! Połączono więc moje dotychczasowe stanowisko z funkcją dyrektora i obciążono obowiązkami, które dotyczyły całości spraw WPHW na terenie województwa śląskiego. WPHW po integracji odpowiadało za zaopatrzenie rynku w zakresie 15 podstawowych branż o charakterze przemysłowym oraz w zakresie usług dla ludności (w tym również napraw gwarancyjnych, reklamacyjnych) i zagospodarowywanie towarów nadających się do napraw.

„Rynek” był „pusty” – brak było podstawowych artykułów branż agd, rtv, mebli, sprzętu zmechanizowanego, papierniczych i wielu, wielu innych. Musiałam zająć się nie tylko zaopatrzeniem w te artykuły, lecz również reglamentacją towarów rozdzielanych centralnie. Wprowadziłam bodźce materialnego zainteresowania dla wszystkich pracowników, którzy sprowadzali dodatkowe zakupy towarowe na rynek śląski. Osobiście jeździłam po Polsce na różne giełdy, targi i do przemysłu, by pozyskać deficytowe towary.

Wydział Handlu Urzędu Wojewódzkiego wystąpił z inicjatywą organizowania „Dni Śląska” w Łodzi i „Dni Łodzi” w Śląsku. Byłam organizatorem tych wymian towarowych i nie tylko. Sprowadzaliśmy z Łodzi tkaniny szczególnie „bistorowe”, dziewiarstwo i odzież za obuwie, ryby itp.

Wyjeżdżałam na targi przygraniczne w Brześciu i Białymstoku. Nawiązywałam tam kontakty handlowe z Ukrainą (Umań, Czerkasy), Rosją (Nowgorod, Archangielsk) i Estonią (Tallin). WPHW sprowadziło kilkanaście TIR-ów z tych kierunków, by uatrakcyjnić rynek przy wymianie „towa za towar”.

Myślę, że pracowałam w WPHW z dużym zaangażowaniem, przyczyniając się do zniwelowania braków towarowych na rynku lokalnym. I tu również, jak uprzednio opisywałam, pracowałam bardzo ciężko – ale ta praca dawała mi wiele satysfakcji. Wyróżniano mnie za operatywność i wyniki wymiany towarowej, a przede wszystkim za przyczynienie się do lepszego zaopatrzenia rynku przez wiele lat mojej pracy w handlu.

Otrzymałam wiele odznaczeń honorowych:

„ZASŁUŻONY PRACOWNIK HANDLU I USŁUG”

ODZNAKA HONOROWA „ZA ZASŁUGI DLA WOJEWÓDZTWA
ŚLĄSKIEGO”

„MEDAL 40-LECIA PRL”

„SREBRNY KRZYŻ ZASŁUGI”

„ZŁOTY KRZYŻ ZASŁUGI”

„MEDAL ZA „ZASŁUGI DLA MIASTA SŁUPSKA”.

Wyróżnienia honorowe nie dawały mi jednak gratyfikacji finansowych. To właśnie wpłynęło na moją stosunkowo niską emeryturę (wielu pracowników WPHW otrzymuje wyższe emerytury ode mnie). No cóż, takie były wówczas realia! Kobiety zawsze traktowało się finansowo niżej od mężczyzn na podobnych stanowiskach.

Kierowanie dużymi zasobami ludzkimi (ponad tysięcznymi) podejmowanie często trudnych decyzji gospodarczych i organizacyjnych, odpowiedzialność za takie decyzje, to ciągły stres i nerwy, to skutki, które pozostają w człowieku do końca życia.

Przepracowałam w tych warunkach 52 lata zawodowo – tylko w Słupsku. Mimo różnych warunków i zawirowań uważam się za osobę spełnioną! Nie żałuję niczego – spełniłam się jako OBYWATELKA tego „pięknego miasta” oraz jako matka i babcia. Jestem osobą szczęśliwą, mam „piękną” rodzinę, która mnie wspiera i „JUŻ” opiekuje w miarę potrzeby.

Chciałabym wnieść jeszcze wiele w życie naszej seniorskiej organizacji tj. Uniwersytetu Trzeciego Wieku, lecz postępujące choroby uniemożliwiają mi aktywne włączanie się w jej działalność. Uczestniczę więc w nich wyłącznie na miarę moich możliwości psycho – fizycznych. Wychowałam i wykształciłam dwoje dzieci, posiadam troje wnucząt i jedną prawnuczkę. Wszyscy mieszkają i mam nadzieję będą mieszkać w Słupsku – bo tu jest ich „DOM”. A ja mimo ukończonych 70 lat życia, dalej jestem „WAŻNA” dla mojej rodziny.

Moja dorosła wnuczka na ostatnie urodziny przeczytała mi takie życzenia:

„NIECH ZEGAR WYBIJA CI SAME SZCZĘŚLIWE GODZINY, BO JESTEŚ NAJWAŻNIEJSZA DLA NASZEJ RODZINY”.

Słupszczanka

WĘDRÓWKA ŚLADAMI PRZESZŁOŚCI

Do Słupska ja, moich troje rodzeństwa i mama trafiliśmy z centralnej Polski we wrześniu 1953 roku, dzięki wspaniałemu wujkowi, który w Słupsku zamieszkał w lipcu 1945 roku.

Od zakończenia wojny prawie w całości łożył na nasze utrzymanie. Ojciec zostawił mamę z czwórką dzieci w lipcu 1944 roku. Wstąpił do wojska, znalazł sobie inną kobietę. Ja wtedy miałam 9 lat, a najmłodszy brat 7 miesięcy. Gdy przyjechałam do Słupska miałam 18 lat.

Zamieszkaliśmy u wujka na pięknej alei Popławskiego (dziś Sienkiewicza). Od września uczęszczałam do liceum imienia Bolesława Krzywoustego. Dyrektorką szkoły wtedy była pani Wanda Król. Pracowali tu wspaniali profesorowie. Między innymi pani Piperówna, która uczyła łaciny i innych przedmiotów. Woźnym – dumą szkoły był pan Wasylko, wspaniały człowiek.

Do szkoły przechodziłam drewnianym mostkiem przez Słupię. Dawno go już nie ma.

W czerwcu 1954 roku zaczęłam moją pierwszą pracę w „Elektrowniach wodnych – Głębokie Jeziora” na ulicy Przemysłowej. Dyrektorowali pan Jabłoński i pan Gaca (budynku tego już dawno nie ma). Pracowało tam wielu wspaniałych ludzi. Jeździłam na inwentaryzację do elektrowni np. Krzynia, Biesowice, Gałęzinowo itd. gdzie pracowali przedwojenni kierownicy tych elektrowni, to były caczuszka, wykafelkowane, lśniące czystością, okolone piękną zielenią. Ciągle mam w uszach ten szum wody spadającej na turbiny.

Od 1 września 1955 roku zaczęłam pracę w nowym zakładzie, gdzie pracowałam 45 lat. Z wielką nostalgią wspominam pierwsze lata pobytu w Słupsku. Bardzo mi się podobało miasto. Pełne zieleni, ale wtedy pełne gruzów, szczególnie w śródmieściu. Droga z al. Popławskiego do kościoła mariackiego prowadziła przez zwały gruzów. Zaczęło się odgruzowywanie miasta. Pracowali przy tym tzw. wozacy, którzy furmankami, a co zamożniejsi platformami zaprzęgniętymi w konie, wywozili gruz.

Gdzie te czasy, kiedy ulice Niedziałkowskiego, Solskiego, Mickiewicza, Reymonta, Armii Krajowej, Buczka, Pankowa i wiele innych były obsadzone drzewami – zielone?

Aleja Popławskiego – teraz Sienkiewicza przed blokami miała zieleńce ogrodzone betonowymi i metalowymi płotkami. Po likwidacji zieleńców betonowe elementy posłużyły na schody, prowadzące do głównej bramy na cmentarz (dziś są nowe, piękne). Część tych elementów stanowią schody od strony stadionu prowadzące do góry, na których można połamać nogi.

Żał mi czasów, kiedy jesienią żołnierze wracający z poligonów, przejeżdżali czołgami, armatami i innymi pojazdami wojskowymi przez ulicę Tuwima, Plac Zwycięstwa i dalej do swoich jednostek uśmiechnięci, a my z entuzjazmem witaliśmy ich klaskając, machając. Oni byli młodzi – ja też. Wówczas w Słupsku było dużo jednostek wojskowych, oficerowie chodzili w mundurach, wysztyftowani z butami lśniącymi, nie trafiało się żeby przeklinali.

Tak jak wspomniałam, mieszkałam przy Alei Sienkiewicza, bywało że w soboty, niedziele w czasie lata ze Szkoły Milicyjnej z ul. Kilińskiego czwórkami maszerowali uczniowie tej szkoły na stadion przy ulicy Zielonej. Idąc donośnym głosem śpiewali w takt marszu: „Hej wy palia, zielonyje palia, krasna kawaleria, sadzitsa na kania – ha.. ha.. ha” lub „Rozpustiła Dunia kosy a za nieju wsie matrosy” itd. Na pewno śpiewali i inne piosenki, ale te utkwiły mi w pamięci. Piszę tak jak je zapamiętałam fonetycznie.

Przy alei Sienkiewicza mieścił się internat szkoły muzycznej. Bywały dni, że uczniowie dawali koncerty przy fontannie, gdzie chłopczyk ścisnął rybę, z której tryskała woda. Trafiało się, że orkiestra kolejowa też tu przygrywała. Dziś chłopczyka pochłonęła cywilizacja, mimo monitoringu, pewnie znalazł miejsce na posesji jakiegoś krezusa. Podobnie jak w centrum miasta – Aleja Wojska Polskiego z bloku na 1 piętrze zniknęła figura Świętej. Przeżyły okupację, komunizm, ale demokracji nie. Przy skwerku na Alei Sienkiewicza (nie tylko) dla tych, co chodzili na skrót wydeptując w zależności od potrzeb dla siebie ścieżki, były powbijane tabliczki z napisem „Śladem ośła trawa nie wyrosła” – działało to na przechodniów w tamtych czasach. Dziś chyba trzeba by było umieścić w takich miejscach miny.

Co to były za czasy, kiedy istniał stary teatr, po którym nie ma śladu?! Tu występowała wówczas znani w Polsce aktorzy m.in. Eichlerówna, Hańcza, śpiewała Maria Mickiewicz – śpiewaczka z Krakowa. Przyjeżdżały teatry czy opera z Gliwic, Bydgoszczy, Bytomia z repertuarem operetkowym i operowym. Występował teatr amatorski – słupski, jeśli dobrze pamiętam była to sztuka antyczna i chyba występowała w niej pani Milewska. Czasami załapywałam się na siedzenie w łoży. Z każdego przedstawienia miałam programy, które przechowywałam przez lata, ale z uwagi na starzenie się i brak miejsca w mieszkaniu, po prostu wyrzuciłam, a teraz przydałyby się choćby dla tych wspomnień. W Słupsku było kilka kin: „Polonia”, „Ustronie”, „Gwardia”, Studyjne w Domu Kolejarza i przy ulicy Jaracza w świetlicy fabryki mebli. W tamtych starych czasach stać nas było na chodzenie do kina. Ja i moje siostry byłyśmy zapalonymi kinomankami. Przed każdym seansem panie portierki sprzedawały foldery. Ja obowiązkowo musiałam mieć taki folder. Miałam ich setki, ponumerowane w kolejności, w jakiej byłam na danym filmie. Spotkało je to samo co i programy z przedstawień.

Miło wspomnieć stary skwer między ulicami Starzyńskiego i 9 Marca, gdzie znajdował się Dom Kolejarza, „Zielona Budka” pana M. Makasiuka, w której sprzedawano wspaniałe ciasta, ciastka, lody – obowiązkowo kupowane na niedzielne popołudnia lub dla gości. Od strony ulicy Starzyńskiego znajdował się pawilonik z artykułami spożywczymi i słodyczami pani H. Golińskiej.

Stary dworzec kolejowy też miał swój urok. W czasie wakacji przyjeżdżało do nas ze środkowej i południowej Polski dużo rodziny, przyciągała ich Ustka. Było zwyczajem, że całą słupską rodziną odprowadzaliśmy gości na dworzec. Żeby wejść z nimi na peron i pomóc znaleźć miejsce, pomachać na odjazd, trzeba było obowiązkowo wykupić peronówkę i przejść przez bramkę, gdzie porządku i sprawdzania czy ma się tę peronówkę pilnował pan kolejarz. Do dziś pamiętam jego sylwetkę. Pracował na tym stanowisku kilka dobrych lat.

Wielką frajdą były wyjazdy do Ustki z dworca PKP. Pamiętam początki; jeździliśmy wagonami towarowymi na stojąco. Niektórym, co znaleźli się w drzwiach tych wagonów, przypadają szczęście siadania na podłodze i spuszczenie nóg. W Ustce przed latarnią stał kiosk słupskiej mleczarni. Tam kupowaliśmy kefir, śmietanę w ćwiartkowych butelkach szklanych i szło się na plażę. Na plaży oczywiście wschodniej znajdował się bar na palach wysuniętych w morze. Oszkłoony – z wewnątrz był widok na morze i plażę z jednej i drugiej strony. Były tam stoliki, przy których można było usiąść, kupić kanapki i zjeść.

Osobny rozdział moich wspomnień z tamtych odległych lat stanowi kawiarnia „Franciszkańska” i restauracja „Metro”. Wujek wprowadzał nas do kawiarni na herbatę, ciastka i lody „Melba” gdzie przygrywał zawsze uśmiechnięty pan Walter Grehl. Siadywał tam samotnie przy stoliku starszy pan, zawsze z książką, którą czytał (o panu tym o ile pamięć mnie nie myli, mówiono że jest lekarzem

lub prawnikiem). Udało się nam podpatrzeć, że książka ta była pisana po chińsku.

Do restauracji „Metro” chodziliśmy na fajfy. Bywalcy zachowywali się kulturalnie, ubrani przyzwoicie, nie słyszało się żeby ktoś wykazywał znajomość „łaciny”.

Wielką wówczas atrakcją były tramwaje, którymi jeździło się do Lasku Południowego i Północnego, gdzie spacerowaliśmy, zbieraliśmy grzyby, poziomki, harcowaliśmy. Było spokojnie i bezpiecznie.

Często chodziliśmy na spacery nad „Stawek” i dalej między stawami w cieniu drzew, aż do ulicy Kaszubskiej. Była tam również polanka, na której opalaliśmy się. Dalej idąc mijało się strumyk i dochodziło się do mostu kolejowego.

W Słupsku było masę sklepów: MHD, PSS i innych. Firmy te zatrudniały wspaniałych dekoratorów (ich sylwetki mam w pamięci), którzy dbali o dekorację wystaw sklepowych. Zmieniały się one w zależności od pory roku lub przypadających świąt państwowych, czy kościelnych. Reklamy były umieszczane w języku polskim, dostępne dla przeciętnego, powojennego Polaka. Teraz całe centrum miasta to banki, komórki i reklamy dotyczące tychże.

Na ulicy M. Buczka we wrześniu na terenie zakładów mięsnych były organizowane przez działkowiczów wystawy płodów rolnych, przywożonych wózeckami. Tłumnie odwiedzane przez słupszczan były ogrodnictwa przy ulicy Szczecińskiej – państwa Kus i Lemcio.

Ponieważ jestem katoliczką, nie miałą rolę zajmował w mym życiu kościół. Przyjechałam za późno, bo nie miałam szczęścia poznać księdza Ziei, ale w domu wujka dużo się o nim mówiło. Wspominam księdza Chmielewskiego, wspaniałego kapłana, długoletniego proboszcza kościoła mariackiego dobrego gospodarza. Wspominam proboszcza kościoła „Serca Jezusowego” – księdza Leśniaka i jego charakterystyczną, dostojną sylwetkę. Pamiętam jak właśnie w tych 50. latach procesje na Boże Ciało szły centralnymi ulicami – Łukasiewicza, Deotymy, Mickiewicza, Wolności, Wojska Polskiego. Na koniec chciałabym wspomnieć o ludziach, którzy w tych latach 50. mieszkali w Słupsku. Zrządzeniem losu do powojennego Słupska ściągnęła z różnych stron Polski (Wilna, Lwowa, Poznań, Warszawy) śmietanka ludzi wykształconych, inteligentnych, prawych – lekarzy, sędziów, adwokatów, nauczycieli, kolejarzy, odpowiedzialnych urzędników, dobrych fachowców, robotników, rzemieślników, kupców, którzy obejmowali różne urzędy istniejących tu wielu zakładów. Szereg nazwisk mogłabym wymienić.

Pamiętam sylwetkę chyba – Przewodniczącego Rady Miejskiej o nazwisku Butowski (może się mylę). Wysoki, przystojny, elegancki (wyglądem porównać by go można z obecnym Prezydentem Słupska) tylko ten Pan chodził po Słupsku pieszo i zwracał uwagę na takie prozaiczne rzeczy jak to, że okienko piwniczne jest zaśmiecone – interweniował, był dobrym gospodarzem na tyle, na ile pozwalały mu tamte czasy. Teraz władze miasta jeżdżą samochodami, więc nie mają okazji

widzieć brudu, który nas otacza. A szkoda! Pointę temu wszystkiemu dałabym taką: „Czas, który minął nigdy już nie wróci”.

Zapewne w tych moich wspomnieniach nie ma nic nadzwyczajnego, ale są to sytuacje, które mi pozostały w pamięci i w skrócie opisałam.

Słupszczanka – Pelagia









POWROTY

Na przełomie 1940-1941 roku mieszkałem w Poznaniu i tam pracowałem. Miałem skończone 20 lat. Jest to okres w życiu, kiedy się rodzą największe marzenia.

Wtedy świat jest piękny, dobry i pełen nadziei. Tymczasem jest wojna. Wszystkie plany życiowe legły w gruzach. Przez wroga jesteśmy zaliczeni do gorszej kategorii ludzi przeznaczonych na wyniszczenie. Nasz zachodni sąsiad zaspokajał „głód przestrzeni, głód ziemi”. Hasło „Drang nach Osten” wymawiane było jak modlitwa.

Pod koniec stycznia 1941 r. przez Niemieckie Biuro Pracy zostałem wysłany na przymusowe roboty. Pracowałem w swoim zawodzie piekarniczo-cukierniczym w małym miasteczku Blesen kreis Schwerin am Warthe. Stare miasteczko! Leżące wśród lasów nad rzeką Odrą. Daleko od głównych dróg, bez linii kolejowej, uniknęło wszelkich zniszczeń na przestrzeni wieków. Wszystko tu stare, ale chędogie. Jakby czas się zatrzymał. Mieszkańcy się nie spieszyli. Najmniejszy kawałek ziemi był uprawiony. W Blesen żyło 1350 mieszkańców. Zniemczonych było dużo polskich nazwisk. Miasteczko rolniczo-rzemieślnicze. Żyło swoim własnym rytmem. Była elektrownia wodna. Naturalnie w dalszym ciągu jest! Krochmalnia, tartak, cztery piekarnie, dwa sklepy mięsne, mleczarnia, dwa młyny wodno-elektryczne, dwa hotele, dwa kościoły: katolicki i ewangelicki. Był też zakład stolarski, szewski, fryzjerski oraz trzy cmentarze: katolicki, ewangelicki i żydowski.

W czasie zbliżającego się frontu ludność niemiecka nie uciekała. Prawie wszyscy zostali na miejscu czekając, co będzie dalej. W miesiącu lutym 1945 roku

przez Bledzew przetaczały się kolumny wojsk radzieckich. Na zachód, gdzie tworzył się front nad Odrą. Co chwilę ktoś z tych żołnierzy pytał, jak daleko do Berlina. Jak usłyszeli, że kilometrów jest sto, to dla nich było bardzo blisko. To tak, jakby zaraz za zakrętem drogi był Berlin. Nie było co się dziwić; za nimi było przejechanych tyle setek kilometrów!

Do końca marca na zachód przetaczały się ogromne ilości wojsk. Był to okres bardzo trudny dla wojsk cywilnych. Nie było żadnej władzy. Nikt za nic nie odpowiadał. Nie było żadnego prawa. Gwałty i mordy były prawie każdego dnia.

W połowie lutego przyjechała do Bledzewa grupa żołnierzy radzieckich. Była to Radziecka Komenda Wojskowa, którą reprezentował major Allejew. Bardzo przyjazny nam cywilom. Był Gruzinem.

Po przejściu frontu zostało kilku Polaków, którzy pracowali jako robotnicy przymusowi. Z tych ludzi Komenda Miasta utworzyła i uzbroiła Polską Milicję, której komendantem mianowała Józefa Wojtczaka. Działalność milicji całkowicie w pierwszym okresie była podporządkowana Komendzie Miasta.

Jak wiadomo, Bledzew leżał w pasie umocnień betonowych, obecnie zwanych „Umocnieniami Międzyrzeckimi”. Toteż w pierwszych dniach wspólnie z żołnierzami radzieckimi braliśmy udział w oczyszczaniu tych bunkrów, w których ukrywały się jeszcze niedobitki hitlerowskich żołnierzy. Służbę w milicji pełnili: Gawroński Józef, Grabski Zygmunt, Kocot Stanisław, Ulanowski Józef, Musiał Zenon, Snopek Teofil, Gozdowski Marcin. W połowie marca zostałem zaproszony do Komendy Miasta, gdzie komendant Allejew oświadczył mi, że tereny pod Odrę będą należały do Polski, bo takie decyzje zapadły w Jałcie. Wobec tego należy utworzyć w Bledzewie Polską Administrację, która współpracowałaby z Radziecką Komendą Wojskową. Major Allejew zaproponował mi funkcję burmistrza. Zaszokowany tą propozycją nie chciałem jej przyjąć. Ale wyperswadowano mi to i obiecano pomoc. Funkcję przyjąłem.

Miałem wtedy 25 lat. Z zawodu byłem piekarzem, a tu teraz w Bledzewie zostałem burmistrzem! Coś niesamowitego! Ale decyzja zapadła. Nie było odwołania. „Wojna” – jak to się wtenczas mówiło. Młodość, patriotyzm, entuzjazm, poczucie obowiązku, zapał do pracy, ambicja – to wszystko, co mogłem ofiarować od siebie. Według źródeł niemieckich, w roku 1793 w połowie stycznia do Bledzewa bez walki wkroczyły wojska pruskie. Granica polsko-niemiecka w owym okresie przebiegała między Osieckiem a Zubmewicą. Do roku 1945 tereny te przez 152 lata należały do Niemiec, a teraz jestem świadkiem powrotu Ziemi Bledzewskiej do Polski. Bardzo to przeżyłem.

Przez te cztery lata, które w Bledzewie przepracowałem miałem takie uczucie, że polskość jest w Bledzewie i w okolicy uspiona. Na każdym kroku tyle polskich nazwisk. Tu i ówdzie u starych mieszkańców Bledzewa można było usłyszeć mowę polską sprzed półtora wieku. Na jej dźwięk doznawało się dziwnego uczucia,

który ścisnął serce. Zdawało się, że z grobu powstała. Co za piękna gwara! W Bledzewie 80% ludności było wyznania rzymsko-katolickiego. Dzwony w kościele ufundowane przez rodzinę Opalińskich przez okres niewoli dzwoniły po polsku.

I stało się! Kule artyleryjskich pocisków oznajmiały powrót tych ziem do Polski. W dwa dni po mojej nominacji zwołałem na rynku zebranie wszystkich mieszkańców. Komendant Bledzewa – Allejew oświadczył wszem i wobec, że od dzisiaj w Bledzewie jest POLSKA WŁADZA i wszyscy mieszkańcy mają się jej podporządkować. Burmistrzem miasta jest Polak (wskazał na mnie podając moje nazwisko). Ja ze swej strony wezwałem wszystkich do respektowania moich zarządzeń i oznajmiłem, że będę surowy, ale sprawiedliwy. Niemcy przyjęli tę wiadomość niby zadowoleni, ale można sobie wyobrazić, co się w ich głowach kotłowało? Odtąd z nominacji władz radzieckich zostałem burmistrzem Bledzewa.

Na Biuro Zarządu Miasta przeznaczyłem budynek na Rynku, gdzie był sklep GS. Na biurowe urządzenia składała się pusta szafa, stół, krzesło i karabin. Na sekretarza mianowałem kolegę Zenona Musiała z zawodu blacharza, tak samo jak ja wywiezionego do prac przymusowych. Nie mieliśmy ani pieczętki, ani instrukcji. Od czego zaczynać? – rodziło się pytanie. Zaczęliśmy od zmiany nazw ulic; naturalnie z niemieckich na polskie. Niemiecki malarz dostawał instrukcję, jak miał napisać. Nie mógł się nadziwić, po co ta robota? Jak te ulice mogą się inaczej nazywać? Przecież to jest nie do pomyślenia!

Dnia 15 czerwca 1945 roku otrzymałem urzędową nominację na burmistrza miasta Bledzewa. Od polskich władz było to pierwsze urzędowe pismo z polską pieczęcią, jakie do Bledzewa dotarło.

Od tego czasu co tydzień odbywały się w starostwie odprawy robocze wszystkich sprawujących jakąkolwiek władzę w powiecie. Pierwszym zarządzeniem było usuwanie trupów i padlin zwierzęcych w celu uniknięcia chorób. Zabezpieczenie mienia w opuszczonych zabudowaniach i urzędach. Walka z szabrownictwem. Życie zaczęło się w jakiś sposób normować.

W ostatnich dniach czerwca do Bledzewa przyjechało kilku żołnierzy polskich i przedłożyli dokumenty upoważniające do wysiedlania za Odrę wszystkich mieszkańców narodowości niemieckiej. W następnych godzinach kazałem ogłosić, że każdy kto czuje się Niemcem zabierze ze sobą rzeczy, które może unieść i będzie wysiedlony za Odrę. Wysiedlonym dałem do dyspozycji cztery konie i dwie platformy w celu zabrania chorych i dzieci. Konie z platformami miały wrócić, ale nie wróciły. Zabrały je jednostki wojskowe. Po wysiedleniu Niemców w Bledzewie zostało bardzo mało ludzi i to gdzieś pochowanych lub zaryglowanych w swych mieszkaniach. Na pukanie, aby otworzyli, odpowiadali, że nigdzie nie pójdą, bo tu się urodzili i tu chcą umrzeć. W miasteczku zostało niewiele ludzi: trzy siostry w Caritasie, kilku milicjantów i burmistrz. Wymarłe miasteczko! Cisza wokół. Jakie to dziwne uczucie! Co robić? Od czego zacząć? Ludzie poszli. Został inwentarz

żywy w zagrodach. Trzeba było uwolnić wszystko, co żyło. Karmić i napoić kilka krów, konie, świnie, kozy, króliki, kury. Psy pospuszczać z łańcuchów. Zaczęliśmy to wszystko komasować w większych gospodarstwach rolnych przy Nowym Rynku, aby w ten sposób było nam łatwiej opiekować się tym dobytkiem i utrzymać go przy życiu. By ratować krowy, trzeba było je doić dwa razy dziennie, bo wymiona nabrzmiała mlekiem...Dojono na bruk tę część mleka, którą nie można było spożytkować. Taki stan trwał kilka dni. Kilku głodnych, brudnych, niewyspanych ludzi karmiło wszystko, co żyło i czekało na osadników.

Z rozpaczą spoglądałem na wschód Polski. Tam tyle miast i wsi, a w nich tyle ludzi, których tu brak.

Pierwszych osadników witaliśmy jak dobroczyńców. Naszą troską było, aby chcieli tu zostać. Mogli wybierać gospodarstwa, jakie chcieli. Oprócz osadników rolników osiedliło się w Bledzewie kilku rzemieślników, którzy uruchomili warsztaty: masarnie, piekarnie, stolarnie, zakład szewski, fryzjerski, krawiecki, aptekę, dwie restauracje. Życie zaczęło się coraz bardziej normalizować.

Pewnego dnia jako osadnik zgłosił się młody człowiek i oświadczył, że przyjechał na ojcowiznę; stanowił ją młyn wodny położony między Sokolą Dąbrową, a Bledzewem. Był to Malich Leon z Wielunia. Jego ojciec w 1918 roku opowiadał się za Polską i musiał Niemcy opuścić. Został kierownikiem Młyna Gospodarczego piastując to stanowisko wiele lat, bo młyn po ojcu był zrujnowany.

Nawiązując jeszcze do wspomnień wcześniejszych – Polacy pracujący na terenie Niemiec musieli nosić na ubraniu mocno przyszytą literę P. Ukraińcy i Rosjanie znak OST, a Żydzi pięcioramienną gwiazdę. Nieprzestrzeganie tego oznakowania groziło dotkliwą karą. W latach wojennych, kiedy w Bledzewie pracowałem, interesowałem się historią Bledzewa: na każdym kroku tyle polskości! Tyle nazwisk polskich, również i na cmentarzu... w zaroślach i przykryte mchem można było spotkać krzyże z żeliwa, a na nich tabliczki z imieniem, nazwiskiem, datą urodzenia i zgonu, napisem proszącym o modlitwę Zdrowaś Mario, albo Ojcze Nasz. Gdy się to czytało, nie można było przejść obojętnie. Przecież to SAMI SWOI! Wołali zza grobu: Zostańcie tu, nie odchodźcie!... Nie! Nie można tego odmówić! Trzeba dać słowo i słowa dotrzymać!

Tu jest Nasz Nowy Dom! Zostajemy!

Wszyscy pierwsi osadnicy już nie żyją, odpoczywają w pokoju.. Słowa dotrzymali!

„Powroty”

NIE ŻAŁUJĘ ŻADNEJ DECYZJI

Przyjechałam do Słupska w marcu 1958 roku w odwiedziny do kuzynki. Mieszkałam w Lęborku i pracowałam w Banku Rolnym jako księgowa. W roku 1951 skończyłam 3-letnią Szkołę Handlową w Szczecinie, z lekcjami księgowości i dwoma językami : angielskim i rosyjskim (ewenement na tamte czasy).

Ojciec z macochą wyjechali do Chełmna Lubelskiego, a ja chciałam się właśnie całkowicie usamodzielnic i rozpocząć NOWE ŻYCIE – stworzyć MÓJ NOWY DOM. Zaczęłam je właśnie w Słupsku. Zamieszkałam w wynajętym pokoju, przy ulicy dawnej Pawła Findera. Pracy w biurze nie dostałam, natomiast były wolne etaty w Domu Towarowym przy Placu Zwycięstwa.

Zaczęłam pracować. W krótkim czasie miałam znajomych, wkrótce poznałam również swojego męża, (był przystojnym chłopakiem) zakochaliśmy się w sobie. Czekał na mnie zawsze po pracy. Chodziliśmy do kina, było wówczas kino POLONIA i ZACISZE, chodziliśmy na spacer, siedzieliśmy do późnych godzin w parkach i kawiarniach. Często bywały koncerty i występy w nieistniejącym już dziś DOMU KOLEJARZA i nad stawkiem.

Podobno Niemcy nazywali Słupsk „Die kleine Paris” ze względu na gwiazdasty układ ulic od placów i ze względu na dużą ilość lokali rozrywkowych, kawiarenek itp.

Myśmy też chodzili na dancingi do lokali. Chodziliśmy na premiery filmów do Polonii i Zacisza. Bywaliśmy na balach sylwestrowych w różnych lokalach. Bywaliśmy w PIORRUSIU na golonce lub w METRZE na sznyclu po wiedeńsku.

Czas po pracy lub w wolne dni zawsze spędzaliśmy razem. Mąż był z pochodzenia Kaszubem, ja urodziłam się w Warszawie, rodzina moja pochodziła z Wilna. Wychowałam się we Włocławku nad Wisłą, ale ojca często przenoszono: uruchamianie cegielni (był z zawodu technikiem-ceramikiem).

Wysłałam za męża w 1959 roku w styczniu. Ślub braliśmy w kościele mariackim, w tym samym roku urodziła się nam córka. Mąż był po szkole zawodowej i pracował jako elektryk w kilku zakładach pracy.

Dalej chodziliśmy na spacer. Na naszych oczach piękniał Słupsk. Odbudowana została zburzona Starówka, odrestaurowano Zamek Książąt Pomorskich. Jeszcze później założono park nad Słupią. Było coraz piękniej, chociaż życie nie było łatwe. Zaczęłam chorować, ale zawsze miałam nadzieję na poprawę bytu mojej rodziny. W roku 1961 urodził się nam syn, ja ze względu na stan zdrowia musiałam przejść na rentę II grupy. Było ciężko, ale ja miałam zawsze w sobie wiele optymizmu. Cieszyłam się dziećmi, chowały się zdrowo, w przeciwieństwie do mnie. Staralam się zaradzić biedzie jak mogłam. Zmarli teściowie, my przejęliśmy 2-pokojowe mieszkanie. W 1963 roku zaczęliśmy naukę w liceum dla dorosłych na ulicy Arciszewskiego. W 1965 roku zdawaliśmy oboje maturę, no i zdaliśmy!

Mąż dostał lepszą pracę, ja miałam jeszcze być przy dzieciach. Później pracowałam w Banku Gospodarki Żywnościowej. Dalej w wolne dni lubiliśmy chodzić na dalekie spacer. lub jeździć do Ustki lub do lasu. Życie jednak nadal było trudne i skromne. Były obowiązki wobec dzieci, trzeba było dwoić się i troić, aby utrzymać rodzinę na choćby skromnym poziomie. Sami robiliśmy remonty, ja szyłam lub przerabiałam ubrania, aby jakoś wyglądać.

Tak żyła większość ludzi mi znanych. Ale dalej cieszyliśmy się, iż jakoś sobie radzimy. W wolne dni jeździliśmy do Ustki lub Krzyni. Kupiliśmy niedrogo używany samochód marki Wartburg starego typu, byliśmy z dziećmi w Niemczech – Berlinie, Neubrandenburgu, w następnych latach jechaliśmy przez Słowację do Budapesztu. To były wspaniałe wrażenia. Słowacy i Węgrzy byli bardzo mili i uczynni w potrzebie. To było niezwykle wzruszające spotkanie się z sympatią naszych „bratanków”.

Budapeszt to piękne urokliwe miasto, Dunaj, Most św. Małgorzaty, Buda, Parlament i ta bardzo duża serdeczność reagowania na biało – czerwoną plaketkę – skrót PL na samochodzie. Byliśmy na Górze Gellerta, skąd wspaniały widok na Budapeszt. Byliśmy również w Pradze i Bratysławie. Zwiedzaliśmy Polskę i nasze urokliwe miasta Kraków, Zakopane, Trójmiasto itp.

To jest teraz odległa przeszłość. Obecnie jestem sama, mąż zmarł w 1987 roku (20 lat temu). W Słupsku urodziły mi się dzieci i wnuki: trzech chłopców

i jedna dziewczynka w Polsce, jedna w Kanadzie. Syn z rodziną jest w Kanadzie, wnuk w Anglii. Dobrze, że choć dwoje mam w Słupsku i często mnie odwiedzają.

Jestem bardzo zadowolona, że właśnie w Słupsku urządziłam SWÓJ DOM RODZINNY. Samo miasto, rzeka Słupia, lasy i jeziora otaczające nasz region dodają uroku i wzbudzają wspomnienia dawnych lat. Smutno jest żyć żałując swych decyzji, ja nie żałuję żadnej.

Jodła

STARYCH DRZEW SIĘ NIE PRZESADZA

Mieszkałam w Warszawie. Tato mój pracował w fabryce platerów Braci Henneberg na ulicy Wolskiej 17. Dużo tam nie zarabiał, tak że nie przelewało się w naszym domu. Kiedy w 1937 r. tatuś jako legionista otrzymał odznaczenie za udział w wojnie, a było to 200 zł rocznie, krótko żyło nam się lepiej. W 1939 roku, gdy wybuchła wojna, my mieszkaliśmy na Wolskiej, gdzie wtedy przeważała architektura drewniana. W pierwszych dniach wojny straciliśmy dom wraz z całym dobytkiem rodziców. Dostaliśmy mieszkanie na starym mieście przy ul. Świętojańskiej 29/31, gdzie w trzech pokojach mieszkały trzy rodziny; było bardzo ciasno. Uczęszczałam do szkoły podstawowej przy ul. Bema, tam ukończyłam siedem klas. Wychowawczynią moją była P. Jasiobęcka, która wciągnęła mnie do Szarych Szeregów. Po ukończeniu szkoły podstawowej w 1942 r., za pośrednictwem tej pani, skierowano mnie do AK. Złożyłam przysięgę w obecności mojej pani oraz dr Jaruckiego, nie wiem czy było to jego nazwisko, czy pseudonim.

I tak zaczęła się moja praca konspiracyjna: roznoszenie ulotek, przekazywanie wiadomości, przenoszenie broni, pisanie na murach znaków Polski Walczącej, wysyłanie paczek do obozów jenieckich. Pobierałam tajne nauczanie w szkole handlowej przy ul. Chłodnej. Kiedy wybuchło powstanie, nie dotarłam do mojej placówki, którą miałam wyznaczoną na Tamce. Zgłosiłam się do najbliższego zgrupowania, które mieściło się przy ul. Dzielnej 63 i tu brałam udział w powstaniu. W jedenastym dniu powstania, dostałam się do obozu przejściowego w Pruszkowie.

Z Pruszkowa przewieziono nas do Oranienburga, gdzie po spędzeniu jednej nocy zostałyśmy przewiezione do Ravensbrück. Byłam tam sześć tygodni, potem zostałyśmy skierowane do obozu Buchenwald w Altenburgu, do fabryki amunicji, gdzie byłam do zakończenia wojny. Wyzwolili nas Amerykanie i umieścili w barakach po pracownikach wolnościowych. Wkrótce zostałam skierowana do szpitala z rozpoznaniem „opuchlizna głodowa”. Po kilku dniach miałam być wysłana do Szwecji, gdzie mieli mnie leczyć.

Kiedy powiedziałam to jednej współwięźniarce, ta odradziła mi wyjazd, mówiąc że wezmą mnie do pufu /dom publiczny/. Ja uwierzyłam i pierwszym transportem przyjechałam do Polski. Po przyjeździe do Warszawy poszłam na ul. Pawia, gdzie wcześniej mieszkałam. Myślałam, że będzie tam kartka o jakimś kontakcie z rodziną, nie było nic. Spotkałam panią Adamczewską, która zaprosiła mnie do swego mieszkania. Po umyciu się i położeniu spać, ta pani poszła na NKWD zgłosić, że ma akówkę w domu. Zwierzyła się sąsiadce, która przystawiła drabinę, obudziła mnie i zabrała do swojego mieszkania. Kiedy oni przyjechali, nie było mnie w jej mieszkaniu, i tak ocalałam. Sąsiadka, która mnie ocaliła, wieczorem zaprowadziła mnie na kolejkę WKD. i tak dobrnęłam do cioci, która mieszkała w Komorowie. Od cioci dowiedziałam się, że mama z siostrą są w Głownie, a tatuś wyjechał na Ziemię Odzyskane do Słupska. Napisałam list do mamy. Ona szybko przyjechała i z nią pojechałam do Głowna. Za dwa dni był transport do Słupska i tym transportem 24 czerwca 1945 r. przyjechałam do tatusia. I tu było moje zaskoczenie. Mój kochany tatuś pracował w UB jako rusznikarz, gdyż podał swój zawód wyuczony. Po jakimś czasie rozgrzeszyłam go z tego postępowania. Mieszkałyśmy na ul. Kilińskiego 35, mieliśmy trzy pokoje z kuchnią, ubikacja na korytarzu, łazienki nie było, ale był to dla nas luksus. Najgorzej było z żywnością, sklepów nie było, pierwszy sklep otworzył pan Kamiński przy ul. Wojska Polskiego 1.

Ja poszłam do pracy w stołówce starostwa na rogu ulic Wojska Polskiego i Starzyńskiego (późniejszy budynek pogotowia). Kiedy trochę się poprawiłam, bo po powrocie ważyłam 36 kg, pan Domaradzki przeniósł mnie do teatru jako kasjerkę, gdzie pracowałam do chwili otwarcia restauracji przy dworcu PKP. Tam kucharzem był pan Jan Czarnecki, który dowiedział się, że mam anemię i on wyleczył mnie z niej. Mielił wątrobę i surową kazał mi jeść.

04.06.1946 r. wyszłam za mąż i zamieszkałam na ul. Rybackiej 15, było to mieszkanie dwupokojowe, ale było nam bardzo dobrze. Po jakimś czasie przeprowadziliśmy się na ul. Kilińskiego 20 i tu urodziłam swoje pierwsze dziecko (Tadeusz). Kiedy dowiedziałam się, że jest wolne mieszkanie, tu gdzie mieszkali rodzice, przeprowadziłam się też na Kilińskiego, ale nr domu był 35. Byłam bliżej rodziców.

Pracowałam w PSS na lotnisku w Redzikowie, później w Szkoleniowych Zakładach Obuwia przy ul. Jaracza i w Północnych Zakładach Obuwniczych, przy

których budowie pracowaliśmy. Pracowałam do 1979 roku, wtedy przeszłam na rentę chorobową.

W tamtym czasie wyjechali moi rodzice, a ja zajęłam po nich mieszkanie na ul. Krajewskiego i tu mi było bardzo dobrze, miałam dwa pokoje i wszystkie wygody. Ale ja chyba urodziłam się pod złą gwiazdą, bo nigdy nie mogę się cieszyć z dobrego.

W 1974 roku mąż dostał zawału serca, ja zaczęłam też chorować.

Dzieci moje stopniowo odchodziły z domu. Najpierw ożenił się syn Bogusław, następnie Tadeusz, po nim Włodzimierz. Ostatnia wyszła za mąż córka Henryka, która mieszkała razem z nami.

Kiedy syn Włodzimierz dostał mieszkanie w Łodzi, scedował księżeczkę mieszkaniową na mnie i w ten sposób zamieszkałam na ul. Andersa. Był to początek lat 80. i tu mieszkam do obecnej chwili. Jestem bardzo zadowolona i znów moja nieszczęśliwa gwiazda w 1996 r. się odezwała. Umiera mój mąż, zostaję sama, mam śliczne mieszkanie, ale jestem sama.

Dzieci jak to dzieci – mają własne problemy, są też już dziadkami, a babcia jest nikomu niepotrzebna, musiałam szukać innego rozwiązania.

Zapisałam się na Uniwersytet Trzeciego Wieku, mam indeks nr 21, tak że od samego początku; wciągnęła mnie Danuta Wiewiórkowska i bardzo się ucieszyłam, bo tu spotkałam panią Urszulę Wyrwę, z którą kiedyś pracowałam, a ona bardzo serdecznie przyjęła mnie do swojego grona. I tu wiem, że na wszystkie młodsze koleżanki mogę liczyć.

Mam 82 lata i bardzo potrzebuję pomocy koleżanek, z którymi jestem bardzo żyta.

W tym roku pojechałam do Warszawy, gdzie mam dwie bratowe, bo z pięciorga rodzeństwa zostałam sama.

Jedna z moich bratowych zaproponowała, aby zostać w Warszawie, ale ja jej powiedziałam, że Warszawa mi się nie podoba, gdyż najładniejszy jest mój Słupsk i gdyby pałac mi dawali w Warszawie nie opuszczę mojego miasta, do którego przyłożyłam rękę żeby było takie jakie jest. Rosjanie przecież zniszczyli prawie całe miasto, pozostało tylko kilka ulic, a teraz ono znowu jest piękne. Powstało dużo nowych ulic jak: Sobieskiego, Westerplatte, 11 Listopada, w których zamieszkuje więcej ludzi, jak w 1945 r. było ludności w całym Słupsku.

Z każdym rokiem widzę duże zmiany w rozbudowie domów oraz dróg, które z każdym rokiem są ulepszone, remontowane i poszerzane. Wszystko, co powstało w moim mieście jest robione z rozmysłem i dbałością o starą architekturę.

Słupsk z miasta przemysłowego zmienił się na handlowe, co polepszyło warunki bytowe ludzi, gdzie jest mniej dymu i pyłów, lżej się oddycha.

W ostatnich czasach posadzono więcej zieleni. Gdzie tylko można sadi się kwiaty, bardzo mi się podobają ronda, wprowadzenie nowej architektury oraz roz-

budowa całego miasta. Teraz Słupsk jest rozbudowany. Wybudowano nowe osiedla, jak w pierwszej kolejności osiedle Westerplatte, następnie rozbudowano ulicę Szczecińską, która kończyła się przy ulicy Grottgera, obecnie jest rozbudowana aż do skrzyżowania z Kobylnicą. Ulica Madalińskiego nie jest końcem Słupska, tak jak ul. Arciszewskiego, gdzie zbudowano uczelnię, a wkoło niej nowe osiedla, aż po lasek.

W budowie jest nowy szpital, którego budowa zaczęła się od rządów PZPR i dotychczas nie został ukończony, co mnie bardzo martwi, gdyż oddział położniczy został przeniesiony do Ustki. Szkoda, że nie rodzą się słupszczanie, a ustczanie. Ja mam szczęście, że wszystkie moje dzieci są rodowitymi słupszczanami, ale prawnuczki rodziły się w Ustce.

Należę do Koła Pierwszych Słupszczan. Od samego założenia pierwszym przewodniczącym był pan Szafranek, a po jego śmierci to stanowisko objął pan Downar-Zapolski, po którym funkcję przejął pan Bytnerowicz, a kiedy i on zmarł, stanowisko to objęła Jadwiga Drapińska –Trznadel, która jest obecnie naszą przewodniczącą i z pracy wywiązuje się bardzo dobrze.

Organizuje dużo spotkań z władzami Słupska, bardzo często spotykamy się z Prezydentem Słupska Maciejem Kobylńskim, który informuje nas o nowych zamiarach w rozbudowie Słupska oraz zmianach, jakie mają nastąpić w najbliższych czasach. Martwi mnie jednak obwodnica, z którą nie mogą dojść do porozumienia, która stoi w martwym punkcie, ale może za życia mojego coś się ruszy, może wreszcie ktoś wpadnie na mądre rozwiązanie tego pilnego problemu.

Teraz muszę przejść do sprawy starego cmentarza – jest to sprawa, która cieszy nas starszych. Obecne kierownictwo bardzo zadbało o wygląd i czystość, oświetlenie, estetykę. Jest bardzo zadbany. Nie sypie się nam piach do butów, gdyż wszystkie dróżki są wybrukowane. Jest czysto i ładnie, co jest zasługą nowego zarządu.

Czuję, że żadnego miasta innego nie pokocham tak, jak kocham moje drugie miasto życia, gdyż zawsze pierwszym będzie miasto mojego urodzenia – Warszawa, do której bym już nie wróciła. Ale najważniejszym moim miastem, w którym położę moje prochy jest to, w które włożyłam dużo mojej pracy. Tu założyłam rodzinę i tu urodziły się moje dzieci.

Tu przechodziłam radości i smutki moich młodzieńczych lat. Tu się zestarzałam, tu patrzę na rozkwit mojego kochanego miasta. Na wszystkich nowych przyjaciół, których zyskałam w ostatnich latach, którzy pomagają mi w ciężkich chwilach mojego życia. To wszystko spowodowało, że tak bardzo pokochałam Słupsk i od 1945 roku do chwili obecnej nie opuszczam go. Dlatego tak długo żyję i według jednego z naszych wieszczów: „Starych drzew się nie przesadza”.

MÓJ NOWY DOM

Słowo „dom” to tylko trzy litery, ale jakże ogromną ma siłę. DOM to JA, to moja rodzina – dzieci, wnuki prawnuki, to moje MIASTO i moja OJCZYZNA.

Jestem szczęśliwa, że to wszystko mam, choć nie było zawsze łatwo. Towarzyszą mi wspomnienia, historie humorystyczne, wesołe, smutne, a niekiedy bardzo bolesne. Dziś wiem, że „budowę” mojego domu rozpoczęłam już jako 14-letnie dziecko przyjeżdżając do Słupska.

Był miesiąc lipiec 1945 roku. Jechaliśmy towarowym wagonem jako repatrianci z za Buga na Zachód. Pociąg zatrzymywał się na różnych stacjach, odstawiany był na bocznicę, potem znowu jechał dalej. Podróż od Lublina do Słupska trwała osiem dni. Gdy w Słupsku pociąg znów został odstawiony na bocznicę, rodzice moi wyszli na miasto, a kiedy wrócili padło jedno zdanie. „Tu zostajemy”.

Na drugi dzień ojciec zgłosił się do PUR-u z prośbą o pomoc w uzyskaniu mieszkania. Pod wskazane adresy udałam się razem z rodzicami. Moje pierwsze spotkanie ze Słupskiem pamiętam do dziś: dużo radzieckich żołnierzy z karabinami, paru mężczyzn z opaskami biało-czerwonymi na rękawach, żadnych Niemców. Na ulicy Dworcowej (dziś Aleja Wojska Polskiego) gdzieś z okna powiewała biało-czerwona chorągiewka – znak, że tam mieszkają już Polacy. Na jednej z kartek była ulica Kościuszki. Udaliśmy się pod wskazany adres. Drzwi otworzyła nam starsza pani – Niemka. Tatuś pokazał „papiery”, że mamy tu zamieszkać: my na piętrze, druga polska rodzina na parterze. Oni (dotychczasowi gospodarze) mają przejść na poddasze.

Pamiętam, jakie szokujące wrażenie sprawiło na mnie to mieszkanie. Dywany na podłodze, na ścianach okazałe kilimy, piękne duże obrazy, pianino, oszklone szafy z kryształami, przepiękna sypialnia. Po tylu dniach mieszkania w wagonie towarowym wydawało mi się, że większego rajy już nie może być na ziemi.

Tatuś rozmawiał ze starszankami po niemiecku, a potem powiedział: „idziemy!”. Gdy wyszliśmy, ja cała szczęśliwa zapytałam, kiedy się wprowadzamy i czemu nie powiesiliśmy chorągiewki biało-czerwonej. Usłyszałam od ojca krótką odpowiedź: „czy widziałaś ich łzy i strach w oczach?; nigdy nikogo nie skrzywdziłem, nie zrobię tego i tym razem”.

Wróciliśmy do wagonu i na własną rękę ojciec zaczął szukać mieszkania. Znalazł. Był to dom blisko poczty, w którym przed nami zamieszkali radzieccy żołnierze. Brakowało w nim okien, nie było żadnego mebla, ani sprzętów. Ojciec dopasował okna i drzwi z pozostałych mieszkań w tym budynku. Po sześciu dniach egzystowania w wagonie wprowadziliśmy się na ulicę Teatralną, gdzie oprócz kupy śmieci nie było nic, ale była woda i dach nad głową. W wagonie też spaliśmy na podłodze, więc brak łóżek nie był żadnym problemem. Wreszcie mogliśmy w naszym domu wywiesić biało-czerwoną chorągiewkę.

Nie mając nic zaczęliśmy organizować nasz własny nowy dom. Zapoznałam się z ulicami, a właściwie gruzami wokół poczty. Któregoś dnia przechodząc ulicą usłyszałam jakieś szmery dochodzące z wewnątrz małego domku tuż za pocztą, a potem wychodzącą przez okno dziewczynę. Ona przestraszyła się mnie, a ja jej. Jak się później okazało, była to Niemka, której chory dziadek mieszkał w tym domku i nie chciał go opuścić. Zaczęłyśmy rozmawiać, ja rozumiałam parę słów po niemiecku, a ona ani jednego słowa nie знаła po polsku. Brak znajomości języka nie był barierą w naszych rozmowach i spotkania były coraz częstsze. Po dwóch tygodniach byłyśmy prawie przyjaciółkami. Razem wchodziłyśmy przez okno, przynosiłyśmy dziadkowi jedzenie, ona – to, co dostała od swojej mamy, a ja – to, co „ukradłam” z domu. W zamian za to dostawałam od swojej niemieckiej koleżanki figurki zwierząt, aniołków, obrazki lub kwiatki w doniczkach. Równocześnie nie zdając sobie z tego sprawy, uczyłam się języka niemieckiego.

Była już druga połowa miesiąca sierpnia. Musiałam zapisać się do szkoły. Wiedziałam już, gdzie jest ulica Bieruta (obecnie Szarych Szeregów), więc pełna obaw i nadziei przekroczyłam próg swojej przyszłej szkoły. W holu przy wejściu na schody stał stół i jedno krzesło zajmowane przez bardzo ładną panią profesor (jak się później okazało, uczyła języka francuskiego). Miałam czternaście lat i świadectwo ukończenia pierwszej klasy Gimnazjum w Bełżycach, zostałam zapisana do drugiej klasy. Były pierwsze dni września. Całą klasą poszliśmy do Centrum Szkolenia Milicji Obywatelskiej i przenosiliśmy globusy, mapy oraz inne pomoce naukowe do naszej szkoły. Ulubionym miejscem w czasie przerw lekcyjnych była kładka na Słupi naprzeciwko naszej szkoły.

W każdą niedzielę zbieraliśmy się pod szkołą i ustawieni w czwórki maszerowaliśmy do kościoła. Była to zasługa bardzo lubianego przez nas księdza Ziei. Doskonale pamiętam datę 15 września 1946 r. Byliśmy wszyscy na placu koło naszej szkoły, gdzie odbyło się poświęcenie pierwszego pomnika w Słupsku, a zarazem jedynego w tym okresie w całym kraju Pomnika Powstańców Warszawy. Odsłonięcia i poświęcenia dokonał nasz ksiądz Jan Zieja. Niestety, nasze wyjścia całą szkołą do kościoła zostały zabronione przez UB.

Szkoła, nowe koleżanki rozluźniły moją przyjaźń i spotkania z Hedwig. Spotkałyśmy się parę dni wcześniej przed jej wyjazdem do Vaterlandu. Dowiedziałam się, że dziadek zmarł, a ona wraz z rodzicami wyjeżdża. Ostatnie nasze spotkanie było przed dworcem. Całe rodziny niemieckie siedziały na ziemi, a obok nich olbrzymie toboły z ich życiowym dorobkiem. Nie było mi ich żal. Przecież tak niedawno ja szukałam nowego domu. Odszukałam Hedwig i dałam jej na pamiątkę własnoręcznie zrobiony pamiętnik na lekcjach robót ręcznych z jakimś wierszykiem. Ona źle się czuła, bo nic dla mnie nie miała. Pożegnaliśmy się nie mówiąc „do widzenia”.

Tatuś zachorował (płuca) i był przez okres sześć miesięcy w szpitalu sanatoryjnym w Smukale. Dostawał 4 tys. zł zasiłku chorobowego, a mamusia pracując zarabiała 5 tys. zł. Wobec tego nasze warunki materialne były głodowe.

W roku 1948 ukończyłam gimnazjum i otrzymałam świadectwo Małej Matury. Mając tak „wysokie” wykształcenie dostałam pracę w Urzędzie Skarbowym (który w tym okresie mieścił się na ulicy Reymonta) i zarabiałam 12 tys. zł. Wracając któregoś dnia z pracy ulicą Niedziałkowskiego zobaczyłam na bramie ogłoszenie: Liceum Handlowe dla Dorosłych przyjmuje zapisy do klasy pierwszej. Zapisałam się i w ten sposób zostałam pracującą licealistką. Było mi bardzo ciężko. Miałam siedemnaście lat. Od godziny ósmej do czternastej pracowałam w biurze (uczących się zwalniano z pracy jedną godzinę wcześniej), a od szesnastej do 21. lub 22. miałam lekcje w szkole. Najgorszym przedmiotem była księgowość... jak zrozumieć słowa: debet, kredyt, uznać, obciążyć lub: winien – ma? Brak mi było podstaw. Nie mogłam również przyzwyczaić się do nowych koleżanek i kolegów – dużo starszych, poważnych, palących papierosy...po prostu nie pasowałam do nich. Tęskniłam za starą szkołą, rówieśnikami i dobrze mi znanym gronem profesorów. Niestety, siła 12 tys. zł była większa od mojej tęsknoty.

Pracując w Urzędzie Skarbowym miałam też miłe towarzystwo. Pamiętam, jak razu pewnego umówiliśmy się, że po kościele pójdziemy na spacer do lasu za stadionem. Jedna z koleżanek nie przyszła i postanowiliśmy pójść po nią. Na ulicy Wyspiańskiego znajomi czekali na chodniku przed kamienicą, a ja jako najbliższa koleżanka poszłam do mieszkania po Halinkę. Drzwi otworzył jakiś pucołowaty mężczyzna w czerwonym krawacie i wciągnął mnie do środka. Przerażona zobaczyłam powyrzucane z szaf ubrania, rzeczy, fruwające papiery i jesz-

cze trzech „bufonów”. W korytarzu stała zapłakana Halinka. Zrozumiałam: to był tak zwany „kocioł”. Podbiegłam do okna i krzyknęłam do oczekujących na dole „kocioł!”. Chwyił mnie pucołowaty ubowiec, zamknął natychmiast okno i zaczął się na mnie wydzierać. Byłam przerażona. Podobnie wpadła „w kocioł” sąsiadka, która przyszła pożyczyć sól i zostawiła same dzieci w mieszkaniu, a także jeszcze cztery osoby. Aby być sprawiedliwą muszę napisać, że nie byliśmy głodni. Zostały przyniesione dwa kosze: jeden z bułkami, drugi z kiełbasą i musztardą. Wypuszczono mnie po 23 godzinach, ale przedtem musiałam przyrzec, że nikomu nic nie powiem, co widziałam, bo inaczej to „w drewnianym kościele spadnie mi cegła na głowę”. Potem, w największej tajemnicy dowiedziałam się od Halinki, że powodem akcji ubowców był fakt, iż jej ojciec przebywa w Ameryce i pisze do nich listy, których podczas rewizji jednak nie znaleźli. Natomiast Halinka została zwolniona z pracy w Urzędzie Skarbowym.

Trudno nie wspomnieć o wykopkach w PGR-ach, na które przez parę lat jeździliśmy całą szkołą, a potem całym zakładem pracy. Były to mimo wszystko wspaniałe radosne dni, a my – przepelnieni ideałami – wierzyliśmy, że robimy to dla siebie.

Jeszcze jako uczennica, a potem pracownik, wiele godzin spędziłam przy odgruzowaniu Starego Miasta. Była to ciężka praca, ale satysfakcja z wyniku rekompensowała nasz trud.

Dalsze moje dzieje przy budowie NOWEGO DOMU, to praca zawodowa (ponad 50-letnia), dzieci i rodzina... W lipcu minie 64 lata jak mieszkam tu, w Słupsku i dziś po tylu latach wiem, że każda opisana historia to cegiełka w budowie nowego domu w mieście, które pokochałam od pierwszego spojrzenia, a które przez wszystkie te lata ciągle pięknieje.

Miłości do tego miasta nauczyłam swoje dzieci i jestem pewna, że one przekażą ją swoim dzieciom, a moim wnukom. Moje krótkie wyjazdy krajowe, czy zagraniczne coraz bardziej mi uświadamiają, że tu jest moje miejsce, tu jest mój dom.

Jana

ISBN 978-83-928540-0-5

